kronika

MIASTA ŁODZI

Zeszyt 2/96

Zarząd Miasta Łodzi
1996

Egzemplarz obowiązkowy
Nr II - 5999 dn. 19 97
II 5999/97

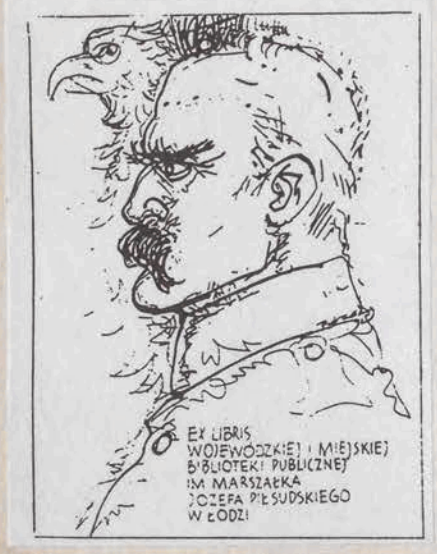

Kronika Miasta Łodzi

2/96

Łódź 1996

Rada Programowa

Kazimierz Badziak, Zbigniew Bokszański, Bolesław Bolanowski, Ryszard Golański, Elżbieta Hibner, Grzegorz Matuszak, Wojciech Michalski, Witold Rosset

Zespół Redakcyjny

Andrzej Rostocki — redaktor naczelny, Andrzej Babaryko — redaktor prowadzący, Zofia Gromiec — sekretarz redakcji, Wojciech Michalski

Projekt okładki

Bogumił Łukaszewski

Adres redakcji:
90-004 Łódź, ul. Piotrkowska 104 p. 07
tel. 38 40 10, fax 38 40 90
Wydawca: Zarząd Miasta Łodzi
Skład: Computext – DTP, Pabianice, ul. Cisowa 15
Druk i oprawa: Dukarnia Wydawnictw Naukowych, Łódź, ul. Żwirki 2

ISSN 1231-5354
Zarząd Miasta Łodzi
1996

fot. Piotr Zdrzynicki

JERZY KROPIWNICKI

Jaką miarą...

Jaką miarą oceniać człowieka? Wielkością jego dokonań? Siłą emocji jakie wzbudzał swym działaniem? Poczuciem bólu i pustki jaką odczuwają jego przyjaciele i współpracownicy? Ilością ludzi, którzy odprowadzali Go w czasie ostatniej drogi osobiście lub przysyłając listy kondolencyjne? A może natężeniem wrogości, jaką nawet po śmierci darzą przeciwnicy?...

Gdy pierwszy raz zobaczyłem Grzegorza Palkę, był on już osobą znaną, publiczną. Młody „kolega magister Palka z Politechniki Łódzkiej" pojawił się wraz z delegacją tejże Uczelni na zebraniu założycielskim organizacji związkowej pracowników Uniwersytetu Łódzkiego. Wybrani na zebraniach wydziałowych uczestnicy tego zgromadzenia mieli rozstrzygnąć, jaka będzie to organizacja. Wynik nie był pewny. Niezwykle elokwentna grupa prawników pod przywództwem cieszącej się ogromnym (i w pełni zasłużonym) autorytetem pani prof. Biruty-Petrykowskiej parła do założenia samodzielnej organizacji uniwersyteckiej, łączącej cechy związku zawodowego i stowarzyszenia twórczego. Sala była podzielona. Część delegatów skłaniała się do tej idei, część z narastającym wzburzeniem przeciw temu protestowała, żądając przystąpienia do NSZZ „Solidarność". Groziło rozłamem — i to zanim jeszcze cokolwiek powstało. Dziś tamte spory i emocje wydają się dziwne — wówczas, we wrześniu 1980, były one nieuniknione. Środowiska uniwersyteckie miały silne poczucie własnej odrębności, a przy tym emocjonalny i nieco hałaśliwy sposób bycia działaczy związkowych z wielkich fabryk budził niepokój i to niezależnie od legendy niedawnych zwycięskich strajków na Wybrzeżu. Wystąpienie Grzegorza Palki, „naszego kolegi magistra", przywróciło sprawom właściwe proporcje. Zarejestrowaliśmy się w Międzyzakładowym Komitecie Założycielskim Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność"... A przecież nie był jeszcze

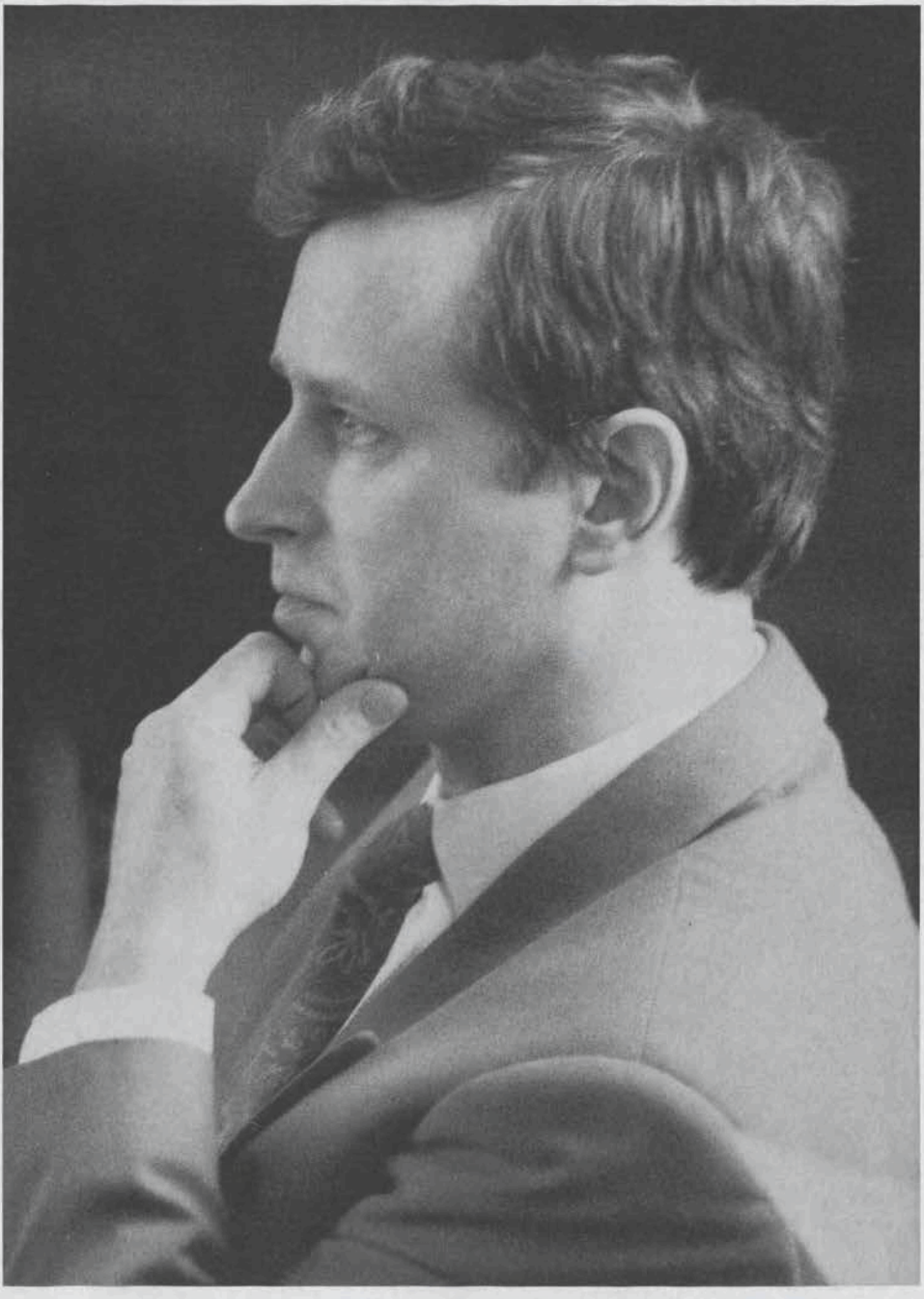

wówczas Grzegorz tym wspaniałym, porywającym mówcą, jakiego pamięta Łódź lat ostatnich.

Grzegorz Palka był już wówczas postacią legendarną: nie dość, że stanął na czele jednej z pierwszych zakładowych organizacji związkowych w naszym mieście i regionie, ale prywatne swe mieszkanie udostępnił regionalnym władzom naszego związku. To tam, w lokalu przy ul. Nawrot, spotkało się dziewięciu przywódców komitetów strajkowych i utworzyło MKZ Ziemi Łódzkiej. Przez prawie miesiąc była to siedziba i punkt informacyjny związku. Docenić odwagę Grzegorza mogą tylko ci, którzy pamiętają lęk towarzyszący wszelkiej niezależnej od władz komunistycznych działalności w tamtym czasie, ci, którzy widzieli krążących po ulicy delegatów zakładów pracy, zbierających się na odwagę, by wejść do lokalu, oraz ci, którym nie zatarł się w pamięci ścisk własnego żołądka... Próg odwagi był tak wysoki, że takie czyny w owym czasie nie wzbudzały jeszcze wówczas żadnej zawiści, a jedynie podziw. Byliśmy dumni, że Politechnika Łódzka, uczelnia, zarejestrowała się w MKZ jako druga, tuż po Miejskim Przedsiębiorstwie Komunikacji (owianym legendą zwycięskiego strajku sierpniowego i mającym swego reprezentanta na słynnej sali BHP w Stoczni Gdańskiej), a jej przedstawiciel został wiceprzewodniczącym MKZ. Czy Grzegorz miał świadomość tego mojego, tego naszego uczucia wdzięczności za uratowanie honoru naszej grupy społecznej? Żałuję, że nigdy nie wyraziłem tej naszej, tej mojej wdzięczności... Od kompleksu w stosunku do Grzegorza i Andrzeja Słowika uwolniłem się dopiero w więzieniu.

Nowa siedziba MKZ (a pierwsza oficjalna) przy ulicy Sienkiewicza na początku października wydawała się olbrzymia, po dwóch tygodniach było w niej już równie tłoczno, jak w tych maleńkich pokoiczkach na Nawrot. W tym tłoku, gwarze i rewolucyjnej gorączce Grzegorz zdawał się oazą spokoju. Tylko te płonące oczy... Nie ulegało wątpliwości, iż to on trzyma organizacyjnie „cały ten interes" — choć nie miał ani charyzmy, ani zdolności oratorskich ani nawet determinacji w autoeksploatacji porównywalnych z Andrzejem Słowikiem. Miał natomiast równie dużo uporu i poczucia odpowiedzialności, a znacznie więcej „inżynierskiego" podejścia do wszelkich problemów. Łączyła, a raczej dzieliła ich wzajemna nieufność. To nie było nic nadzwyczajnego w stosunkach międzyludzkich w czasach PRL. Nie były też żadnym wyjątkiem w samej „Solidarności" walki, jakie toczyli między sobą. Wyjątkowe było to, że w przerwach między starciami potrafili współpracować, oraz że spory między nimi ulegały zawieszeniu, gdy nasilał się konflikt z władzami komunistycznymi.

Decydujące starcie nastąpiło w wyborach związkowych w czerwcu 1981 roku. Wygrał Słowik przed Palką. Następni w kolejności kandydaci uzyskali po kilka procent głosów. W Zarządzie Regionalnym zdecydowaną większość uzyskali zwolenni-

cy Grzegorza. A jednak zdominowane przez Palkę Prezydium potrafiło zgodnie i lojalnie współpracować ze Słowikiem. Grzegorz nigdy nie wypomniał mi, iż w tamtych wyborach poparłem Andrzeja Słowika.

I Zjazd NSZZ „Solidarność" był bezspornym sukcesem Grzegorza. Zaangażował się w kampanię na rzecz radykalnego programu reformy gospodarczej. Stał się liderem i rzecznikiem tych, którzy domagali się odejścia od centralnego planowania. W wyborach do Komisji Krajowej uzyskał największą ilość głosów. Lech Wałęsa zaproponował mu wejście do Prezydium. Został szefem grupy negocjującej z rządem PRL zasady reformy gospodarczej oraz instrumenty gwarantujące jej postęp i nieodwracalność. Jego współpracownicy i eksperci oraz kontrpartnerzy reprezentujący stronę rządową, wśród których nie brakło ówczesnych autorytetów w dziedzinie ekonomii i nauk społecznych, szybko nauczyli się cenić zarówno konsekwencję, jak kompetencję młodego magistra inżyniera z Łodzi.

Wybuch stanu wojennego zastał go w Gdańsku. Po zakończeniu obrad Komisji Krajowej weszliśmy na herbatę do jego pokoiku w hotelu Monopol. Związek wynajmował tam pokoje dla zamiejscowych członków Prezydium KK. Rozmawialiśmy o tej dziwnej sesji, w której Wałęsa nie zabierał głosu a tylko uprawiał za stołem jakąś dziwną pantomimę, o nagłym, pośpiesznym wycofywaniu swych kandydatur do negocjowanej z rządem Rady Społeczno-Gospodarczej przez wybitnych przedstawicieli świata nauki i kultury, o komunikacie odczytanym w TV przez Jerzego Urbana, którego agresywny ton zaskoczył nawet ministrów reprezentujących rząd PRL w negocjacjach, o trudnościach w dodzwonieniu się do Łodzi... Dziennik radiowy o godzinie 1.00, wśród standardowych doniesień z kraju i ze świata, zamieścił lakoniczną informację o zakończonych przed godziną obradach Komisji Krajowej. Ruszyliśmy w drogę do Łodzi. Grzegorz został w Gdańsku. W poniedziałek na Prezydium KK miał referować przebieg negocjacji z rządem oraz propozycje nowej taktyki. Chciał popracować w niedzielę. W dwie godziny po naszym odjeździe do pokoju Grzegorza wtargnęła ekipa SB i ZOMO...

W rok później ogłoszono zwolnienie wszystkich internowanych. W więzieniu w Hrubieszowie oczekiwałem wieści od Grzegorza. Z głośnika dowiedziałem się o jego aresztowaniu, i postawieniu mu, wraz z innymi sześcioma przywódcami NSZZ „Solidarność", zarzutu działania na rzecz obalenia siłą ustroju PRL. Po niedługim czasie od naszych rodzin i od obrońców dowiadywaliśmy się, iż dobrze znosi więzienie i że największą przykrość sprawia mu to, że wśród obciążających materiałów znajduje się zeznanie jednego z najbardziej ongiś radykalnych działaczy, szefa regionu w południowo-wschodniej części Polski... Od więźniów kryminalnych przerzucanych z Aresztu Śledczego na Mokotowie dowiadywaliśmy się o technicznych dokonaniach Grzegorza. Szczególną sławę zyskała kuchenka na margarynę skon-

struowana z puszek po konserwach, zwana „Palka-Pershing II". W kilkanaście miesięcy później, będąc już w więzieniu w Barczewie, dowiedziałem się, iż siedmiu „ekstremistom Solidarności" oraz czterem członkom KSS KOR zaproponowano zwolnienie z aresztu pod warunkiem ich zgody na wyjazd za granicę. Odmówili. Wiedziałem, jak trudna dla Grzegorza była ta dezyzja. Jego syn, Dominik, był ciężko chory. Tylko terapia w ośrodku zachodnim dawała szanse przeżycia...

Wyszliśmy z więzienia w końcu lipca 1984. Grzegorz Palka w Warszawie, Andrzej Słowik i ja w Barczewie. Na Politechnikę nie udało się Grzegorzowi wrócić, pomimo iż w innych uczelniach osoby zwolnione z aresztu przed zapadnięciem wyroku sądowego przywracano do pracy. Grzegorza poinformowano, iż w czasie, gdy siedział w więzieniu, minął okres, w którym powinien był złożyć pracę doktorską. Na taki pomysł, poza łódzką SB i wykonawcami jej poleceń, nie wpadł nikt w całej Polsce.

Po „przedwojennych" urazach Słowika i Palki nie pozostał żaden ślad. Postanowiliśmy działać razem, nie konkurując między sobą i solidarnie dzieląc trud i odpowiedzialność za wyniki. W związku z podziałem stałych zadań Grzegorz wziął na siebie „technikę" (tzn. organizację druku i kolportażu podziemnej „bibuły") oraz odpowiedzialność za finanse. Skrupulatność i nieposzlakowana uczciwość Grzegorza Palki była wręcz przysłowiowa i dawało to pełną gwarancję, że będziemy w stanie rozliczyć się z każdego wydanego grosza. Rzeczywiście, po przywróceniu rejestracji Związku w 1989 roku byliśmy w stanie przedstawić pełne sprawozdanie finansowe z naszej działalności. Postanowiliśmy nigdy nie bywać we trzech w tych miejscach, gdzie groziło aresztowanie. Chcieliśmy uniknąć sparaliżowania działalności. Przyjęliśmy więc zasadę delegowania z prawem dysponowania podpisami nieobecnych. Grzegorzowi przypadło zatem reprezentowanie naszej trójki na spotkaniach organizowanych przez Henryka Wujca i Jacka Kuronia. Po każdym z nich ukazywało się oświadczenie w ważnych aktualnych sprawach publicznych, z podpisami około czterdziestu osób. W tym z naszymi trzema. Dni spotkań były bardzo emocjonujące: zanim Grzegorz wrócił z Warszawy łowiliśmy z Wolnej Europy informacje o treści dokumentu przez nas sygnowanego, by móc odpowiadać na pytania kolegów. W innych okazjach, Grzegorz z równym zaufaniem pozwalał dysponować swoim podpisem. Obok działalności ściśle związkowej uczestniczył Grzegorz w działalności formacyjnej. Miał swój udział w organizacji Duszpasterstw Ludzi Pracy w kościele oo. Jezuitów, księży Salezjanów oraz w parafii Św. Antoniego. Jako prelegent występował również w wielu innych miejscach w Łodzi i poza Łodzią.

Z nas trzech Grzegorz najłatwiej nawiązywał kontakty z ludźmi. Miał też najwięcej zrozumienia dla cudzych słabości i niemożności. Z wyjątkiem jednej rzeczy:

nie tolerował tzw. „azjatyzmu" czy też „moralności tamańskiej", uznającej skuteczność za jedyną miarę czynów, lekceważącej prawdę, honor i dane słowo. Niektóre z rozstań z ludźmi bardzo aktywnymi w działalności podziemnej i skądinąd bardzo zasłużonymi z tego właśnie wynikały. Zgodnie wyznawaliśmy zasadę, że godziwych celów podłością, zdradą i oszustwem osiągnąć się nie da. Wykluczone też było posługiwanie się kłamstwem i pomówieniem w sporach wewnętrznych w Związku. Być może stąd wzięło się złośliwe przezwisko „świętych", jakie niebawem do nas przylgnęło.

Przy tolerancji i wyrozumiałości wobec innych był Grzegorz jednocześnie najbardziej z nas twardy wobec siebie samego. O chorobie jego ukochanego syna dowiedziałem się przypadkiem. Grzegorz nigdy nie potrafił skorzystać ze swych możliwości i kontaktów związkowych w celach prywatnych — choć przez ręce jego przyjaciół i współpracowników przechodziły tony leków, choć zamawiano leki za granicą dla wielu potrzebujących, choć posyłano chorych na leczenie za granicę. „Dlaczego mi wcześniej..." zacząłem pytanie, gdzieś w październiku czy listopadzie 1981 roku. Nie dokończyłem. Wiedziałem, dlaczego...

Na początku grudnia 1984 postanowiliśmy, że jeden z nas pojedzie na manifestację do Gdańska, a pozostali dwaj „obsłużą" rocznicę masakry 1970 i wprowadzenia stanu wojennego w 1981 roku w Łodzi. Zaproponowałem ciągnienie zapałek. „Nie trzeba — powiedział Grzegorz — jadę ja, bo mam już zgodę żony". W jakiś czas poźniej dowiedziałem się, że tę zgodę Jadzia dała będąc w szpitalu. Przebywała tam w związku z chorobą serca i ciążą. To było bardzo kochające się małżeństwo. I oboje mieli ogromne poczucie obowiązku publicznego. „Paczki do więzienia mam zastrzeżone w kontrakcie ślubnym" — zwykł żartować Grzegorz. Coś w tym było: niedawno dowiedziałem się, że ten portret Marszałka Piłsudskiego, który wisiał w gabinecie Grzegorza w Urzędzie Miasta, to był ich pierwszy nabytek po ślubie...

Przeszliśmy wspólnie bardzo długi szlak. Była na nim i działalność podziemna, i aktywność w Duszpasterstwach Ludzi Pracy. Czasem mieliśmy poczucie uczestniczenia w czymś ogromnie ważnym — jak wówczas, gdy poprzez tajny, nielegalny wyjazd Andrzeja Słowika na Zachód udało się przełamać impas i obstrukcję wobec afiliacji NSZZ „Solidarność" zarówno w Światowej Konfederacji Pracy, jak i w Międzynarodowej Konfederacji Wolnych Związków Zawodowych. Ten sukces legł u podstaw rozłamu, jaki został zaszczepiony w Łodzi. Dla niektórych wybitnych działaczy opozycyjnych szczebla krajowego akcentowanie związkowego charakteru NSZZ „Solidarność" było błędem politycznym. Spór pogłębił się, gdy we wrześniu 1986 zebraliśmy ponad dwadzieścia podpisów członków Komisji Krajowej pod żądaniem wznowienia jej działalności, a ostatecznie zaostrzył,

gdy wobec braku pozytywnej odpowiedzi utworzyliśmy Grupę Roboczą Komisji Krajowej. Szybko zaczęła być rozpoznawana jako „fundamentalistycznie związkowa", a jej dokumenty (których projekty najczęściej powstawały w Łodzi) — jako „pisane językiem katolickiej nauki społecznej". Wierność zasadom programowym i lojalność wobec przyjaciół sprawiła, że Grzegorz odrzucił płynące z Warszawy i Gdańska propozycje wejścia do bardziej ekskluzywnych kręgów politycznej opozycji. Zamiast współpracy z nowymi kreacjami, używającymi nazwy związku, postępował wraz z przyjaciółmi kamienistą drogą wznawiania działalności statutowych organów NSZZ „Solidarność". Po wysunięciu żądania przywrócenia działania Komisji Krajowej w 1986 r. nastąpiło wznowienie jawnej, oficjalnej działalności Prezydium Zarządu Regionalnego w 1987, a całego Zarządu Ziemi Łódzkiej NSZZ „Solidarność" w 1988 r. Stawiało to Grzegorza w sytuacji konfliktu nie tylko z władzą komunistyczną, ale również z tymi, którzy uważali się za jedynych uprawnionych reprezentantów „Solidarności" i za takich przez większość zdezorientowanej opozycji byli uważani. Nasi konkurenci polityczni głosili wówczas publicznie na użytek krajowy i zagraniczny, iż „Solidarność" zakończyła swoje działanie jako związek zawodowy oraz że ruch społeczny używający tej nazwy ma inne władze niż te, które wybrano w 1981 r. Odpowiadaliśmy na to, iż związek zawodowy ma rację bytu zawsze, gdy istnieją pracodawcy i pracobiorcy oraz ich prawa i interesy wymagające reprezentacji. Ponadto, uznając za nielegalną decyzję o wprowadzeniu stanu wojennego i rozwiązaniu Związku przez władze PRL, domagaliśmy się poszanowania jego statutu także przez zasłużonych działaczy Solidarności i opozycji antypeerelowskiej. W początkach roku 1989 domagaliśmy się poszerzenia reprezentacji przy „okrągłym stole" tak, by reprezentowane były wszystkie nurty ówczesnej opozycji. Najbardziej bolesnym momentem był ten, gdy jeden z największych moralnych autorytetów naszego miasta orzekł, że mamy wprawdzie bezsporną rację moralną, ale nie mamy racji politycznej, a macierzysta organizacja zakładowa odmówiła swego poparcia lub choćby neutralności... Nie chcę przywoływać tu wszystkich powodów i przejawów ówczesnego sporu, który uzewnętrznił się dwoistością struktur regionalnych w naszym mieście w 1989 roku. Raczej przypomnę, iż Ziemia Łódzka była jednym z niewielu regionów, gdzie rozbicie to udało się przełamać i doprowadzić do wspólnych wyborów. Wielu ludzi dobrej woli ciężko zapracowało na ten wynik, bo przecież spory w rodzinie najtrudniejsze są do załagodzenia. Wtedy potwierdziło się kilka zasad, które wcześniej przyjęliśmy, a którym Grzegorz pozostał wierny do końca swych dni: że dobra polityka to polityka uczciwa, że nie wystarczy mieć rację — trzeba jeszcze przekonać do niej ludzi oraz że kompromis nie musi oznaczać rezygnacji z realizacji celu, a tylko rozłożenie jej w czasie.

Swą działalność związkową zakończył jesienią 1989 roku, na Regionalnym Zjeździe Delegatów, podczas którego wygasła najdłuższa w historii Związku kadencja

Zarządu Regionalnego i jego Prezydium. Na II Krajowym Zjeździe NSZZ „Solidarność" był gościem. W przeciwieństwie do Mariana Jurczyka, Andrzeja Gwiazdy i Seweryna Jaworskiego przyjął zaproszenie. Może dlatego, że pod wnioskiem o jego wystosowanie widniały podpisy Andrzeja Słowika, Jana Rulewskiego i Jerzego Kropiwnickiego... Wierny „Solidarności" pozostał zawsze.

Od jesieni 1989 roku obszar działalności Grzegorza Palki uległ pewnej zmianie. Nie sposób wymienić wszystkie istotne sprawy i zdarzenia, w których uczestniczył aktywnie Grzegorz Palka. Przypomnę tu tylko listę najważniejszych z nich. Najważniejszą była decyzja przyjęcia stanowiska Wiceprezydenta-Wicewojewody i zamiar kandydowania w wyborach samorządowych w następnym roku. Po zwycięstwie listy, której przewodził, został pierwszym od pół wieku demokratycznie wybranym Prezydentem Miasta. W następnej kadencji, po ponownym zwycięstwie wyborczym, przyjął funkcję Przewodniczącego Rady Miejskiej. Był także współzałożycielem i Prezesem Unii Metropolii Polskich oraz inicjatorem i Przewodniczącym Związku Gmin Regionu Łódzkiego. Nie będę przypominał wszystkich jego inicjatyw, podejmowanych dla dobra naszego miasta oraz dla rozwoju samorządności lokalnej. Bezspornym faktem jest, że uczynił Łódź miastem atrakcyjnym i przyjaznym dla inwestorów zagranicznych, że podjął szeroko zakrojoną działalność promocyjną miasta w świecie i że uczynił je piękniejszym niż było wówczas, gdy swą służbę w samorządzie rozpoczynał. Ulica Piotrkowska, targi międzynarodowe oraz Łódzka Agencja Rozwoju Regionalnego — to inicjatywy na trwałe wpisane w historię naszego miasta. Wraz z innymi zyskały mu one uznanie łodzian tak dalece, iż w okresie największej nagonki zorganizowanej przez wrogów politycznych uzyskał imponujące poparcie w konkursie na „Łodzianina roku 1993" i uzyskał w nim drugie miejsce.

Pozostawał czynny na polu działalności politycznej i społecznej. Uczestniczył w zakładaniu klubu politycznego „Wolność i Solidarność", jednego z pierwszych, jakie powstały w początkach 1989. Uczestniczył w inicjatywie, która zaowocowała powstaniem Łódzkiego Porozumienia Obywatelskiego w 1989 roku, a w 1993 kierował działaniami, które doprowadziły do przekształcenia luźnego porozumienia organizacji politycznych, stowarzyszeń i grup półformalnych oraz osób fizycznych w stowarzyszenie pod nazwą ŁPO-Liga Łódzka. Przed wyborami w 1994 został wybrany liderem tej organizacji.

W tymże roku 1989 rozpoczął działalność w nowej partii politycznej — w Zjednoczeniu Chrześcijańsko-Narodowym, jako współzałożyciel, a następnie Prezes Zarządu Regionalnego. W następnych kadencjach bywał członkiem władz regionalnych i krajowych. Ostatnio był ponownie Prezesem Zarządu Regionalnego oraz członkiem Zarządu Głównego ZChN.

* * *

Jaką miarą oceniać człowieka? Wielkością jego dokonań? Siłą emocji jakie wzbudzał swym działaniem? Poczuciem bólu i pustki, jaką odczuwają jego przyjaciele i współpracownicy? Ilością ludzi, którzy odprowadzali Go w czasie ostatniej drogi osobiście lub przysyłając listy kondolencyjne? A może natężeniem wrogości, jaką nawet po śmierci darzą przeciwnicy?...

Za działalność na rzecz niepodległości Polski został przez ostatniego Prezydenta RP, rezydującego w Londynie, dr. Ryszarda Kaczorowskiego odznaczony w roku 1990 Krzyżem Kawalerskim Orderu „Polonia Restituta". Żegnało Go 20 tysięcy łodzian, za trumną szedł arcybiskup ks. dr Władysław Ziółek w towarzystwie biskupów pomocniczych ks. ks. Bohdana Bejze i Adama Lepy, w pogrzebie uczestniczył Lech Wałęsa, Marszałek i Wicemarszałek Sejmu I Kadencji, Wicepremier i Ministrowie rządów „solidarnościowych", Prezydenci i ojcowie gmin z całej Polski, sztandary NSZZ „Solidarność" i organizacji politycznych, społecznych i kombatanckich zajęły w pochodzie przestrzeń ponad półkilometrową... A jednak na sesji poświęconej pamięci Grzegorza Palki wniosek o przemianowanie części ul. Strykowskiej i nazwanie jej imieniem wielkiego Polaka i Łodzianina nie zyskał wystarczającego poparcia. Upadł, i to nie tylko dlatego, że SLD było przeciw. Zabrakło poparcia ze strony kilku tych, którzy przy innych okazjach lubią powoływać się na swe „solidarnościowe korzenie"...

Jaką więc miarą...

Nie przeceniać sojuszy

Rozmowa z prof. Janem Karskim

Panie Profesorze, reprezentuję „Kronikę Miasta Łodzi", pismo zajmujące się sprawami naszego miasta. Dlatego chciałbym zacząć naszą rozmowę od pytania o Pana łódzkie korzenie. Co Pana tutaj kształtowało, w dzieciństwie i młodości?

Przyjechałem do Łodzi z rozrzewnieniem, na zaproszenie prezydenta miasta Marka Czekalskiego, za które jestem wdzięczny. Przyjechałem tutaj, bo moje życie, aż do wojny, ukształtowała Łódź. Mieszkałem tutaj do 17 roku życia, aż do otrzymania matury w Gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego.

W moich czasach Łódź była wielokulturowa, mieszkali tu Żydzi, Niemcy, Polacy. W tych czasach, to znaczy do 1931 roku, w Łodzi panowała tolerancja, jeśli chodzi o względy religijne. Prezydentem Łodzi był, pamiętam, Bronisław Ziemięcki, socjalista, legionista, tylko jego drogi z marszałkiem Piłsudskim się rozeszły, bo Piłsudski wysiadł na przystanku „Niepodległość", a Ziemięcki należał do tych, którzy dążyli do socjalizmu i dalej jechali tym tramwajem...

W mojej klasie gimnazjalnej było dużo Niemców, byli też Żydzi i Polacy. Łódź miała charakter prawie międzynarodowy. Ale była biedna. To zupełnie nie przypomina tego, co teraz widzę.

Wyszedłem z hotelu przed śniadaniem, żeby pochodzić sobie po ulicach. To jest zupełnie inny świat. Łódź była brudna, biedna, nie było kanalizacji. Mieszkałem przy ulicy Kilińskiego. Tego domu już nie ma, to był wielki czynszowy dom — front, dwie oficyny, w środku dziedziniec. Tam jest plac, nowoczesne domy, jest czysto. Nie wiem, czy to jest zasługą ostatnich lat, czy okresu wcześniejszego. Wyjechałem z Łodzi 65 lat temu. Równo 65 lat temu opuściłem gimnazjum.

W naszym gimnazjum był oczywiście kult Piłsudskiego, naturalnie, a także kult Juliana Tuwima, który był abiturientem naszego gimnazjum. Dyrektorem był pan Starkiewicz. Poważny, godny. Chodził z godnością, jak król, po budynku i lubił za-

fot. Piotr Zdrzynicki

czepiać poszczególnych uczniów. Pytał, czy są zadowoleni z tej szkoły, z programu, czy profesorowie dobrze ich traktują. I nigdy nie komentował, był z tego znany, tylko zadawał pytania i wysłuchiwał.

Czy Pańskie zainteresowania historią datują się już od czasów gimnazjalnych?

Tak. W dziedzinie literatury, poezji, historii, zawsze byłem albo najlepszym, albo jednym z najlepszych uczniów. Już w gimnazjum chciałem wejść do służby dyplomatycznej. Byłem wtedy dumny z Polski, to było dla mnie wielkie mocarstwo. Należałem do tych, którzy już w młodym wieku demonstrowali, razem ze starszymi, że chcą kolonii: „Jak Anglicy mają kolonie, Francuzi mają kolonie, to dlaczego Polska ma nie mieć kolonii?". Chciałem reprezentować ten wielki kraj...

Wojna była największą tragedią w moim życiu. Dla mnie wojna trwała mniej niż jedną godzinę. Staliśmy w Oświęcimiu, piąty dywizjon artylerii konnej. Już po godzinie czy dwóch opuściliśmy nasz obóz. Zaczęliśmy wycofywać się na wschód. Gdziekolwiek doszliśmy, już był zbombardowany dworzec kolejowy i miejsce postoju. 17 września doszliśmy do Tarnopola i tam bolszewicy nas zagarnęli.

Czy katastrofa wrześniowa była Pana zdaniem nieuchronna? Kiedyś napisał pan, że sojusz polsko-angielski w intencji Anglików nie miał na celu obrony Polski, że Brytyjczycy chcieli szachować Hitlera i odciągnąć Polskę od sojuszu z Niemcami. Czy wejście Polski w orbitę niemiecką było w ówczesnych warunkach możliwe?

Przed wybuchem wojny pracowałem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Wtedy byłem, oczywiście, zwolennikiem polityki Becka. Po wielu latach zrozumiałem, że polityka Becka, polityka polska, nie była bez błędu. Dlatego, że właściwie robiliśmy to, co robił Hitler, tylko mniej gwałtownie. Walczyliśmy z Ligą Narodów. Nadużywaliśmy traktatów mniejszościowych. Nie daliśmy Ukraińcom samorządu, do którego się zobowiązano osobiście w Wersalu. No i takie wypadki — ultimatum wobec Litwy, ultimatum wobec Czechosłowacji. Branie udziału, po Monachium, w zdobywaniu siłą Zaolzia. To wszystko, jak źródła wykazują, zachęciło Hitlera.

Hitler nie miał zamiaru zaatakować Polski. Przeciwnie, chciał współpracy z Polską. Ostatecznym celem jego strategii był podbój bezbrzeżnych obszarów Rosji i zaprowadzenie tam tysiącletniego *Deutschtum*. I Polska była korytarzem. Hitler nie miał wspólnej granicy z Rosją. Zawsze spodziewał się, że jak ostatecznie wyłoży karty na stół, Polacy pójdą z nim przeciwko Rosji.

Wyłożył te karty. Powiedział: „Chcemy Gdańska". Gdańsk nie należał do Polski. Polska miała w Gdańsku prawa ekonomiczne, ale Gdańsk nie należał do Polski.

To było w październiku 1938 roku. Hitler wykłada karty na stół. Zabrał Austrię, zabrał Sudety, mocarstwa zachodnie tolerują to. Teraz chce Gdańska. Polacy mówią: „nie". W kwietniu Beck jedzie do Londynu i zawiera sojusz obronny z Anglią. Wtedy Hitler, jak dokumenty świadczą — to był histeryk i paranoik, on nie był normalny — wpada we wściekłość: „Zawarliśmy z nimi pakt o nieagresji na dziesięć lat. A teraz oni zawierają sojusz z Anglią! To znaczy, że w wypadku konfliktu niemiecko-angielskiego oni nas zaatakują. Nie mogli zawierać takiego sojuszu bez naszej zgody! Mamy pakt o nieagresji, że nie zaatakujemy jeden drugiego!" Wpadł we wściekłość, podobno kopał ściany, krzyczał: „Zdradziecki naród, głupi naród! Oni myślą, że Anglicy będą im pomagali. Myślą, że Rosja nie porozumie się z nami!" I zbliżył się do Rosji, czego efektem był rozbiór Polski.

Polityka polska — agresywna, skierowana przeciw Lidze Narodów, mniejszościom narodowym, ta tak zwana „silna ręka", zdemoralizowała Hitlera. On uważał, że skoro Polacy tak postępują, to jak wyłoży karty na stół — pójdą z nim przeciwko Rosji. Gdy powiedzieliśmy, że nie pójdziemy, wpadł w szaleńczą wściekłość i odpowiedział na tajne propozycje sowieckie.

Przy zbliżeniu niemiecko-sowieckim inicjatywa wyszła od Stalina. Wcześniej Hitler zawsze te propozycje odrzucał, bo nienawidził bolszewizmu, uważał, że to „Żydostwo", podludzie, Słowianie. Po kwietniu zaczynają się tajne rozmowy między dyplomatami sowieckimi i niemieckimi. Dochodzi do paktu z 23 sierpnia 1939 roku. I na to nikt nie mógł poradzić. Polska nie mogła poradzić.

Polska polityka zagraniczna miała błędy. W ostatecznym rachunku Polacy byli jednak bezradni. Gdyby rząd polski zdecydował: „Idziemy z Hitlerem" — miałby rewolucję w kraju. Naród by na to nie pozwolił. Socjaliści, i tak dalej. Przypuśćmy, że zdecydowano by w takiej sytuacji, że idziemy z Rosją. Znowuż rząd polski miałby rewolucję. Przy takim rządzie w Berlinie, przy takim rządzie w Moskwie i przy ich chęci porozumienia się — nie było miejsca na Polskę.

Sojusze nie są takie ważne. Uważajmy na to i dzisiaj, z tym całym NATO, Unią Europejską. Polacy muszą polegać na sobie. To znaczy, nie powinni być aroganccy, nie powinni przeceniać swoich sił, ale nie mogą za bardzo ufać sojuszom. Ładnieśmy wyszli na tych sojuszach.

W książce *The Great Powers and Poland*... pokazywał pan, jak często Polska była przedmiotem manipulacji ze strony wielkich mocarstw. W którym momencie pan to zrozumiał? Kiedy nabrał pan również tak sceptycznego stosunku do tego, co można nazwać polską mitologią?

Jak się stałem stary. Po parudziesięciu latach wykładów uniwersyteckich, po przeczytaniu w ciągu tych lat, no nie wiem, chyba tysiąca książek. Jak byłem młody, nie rozumiałem tego. Polska była dla mnie, powtarzam, wielkim mocarstwem. Byłem dumny, chciałem reprezentować ten kraj.

W 1949 roku zacząłem studia na uniwersytecie w Waszyngtonie. Zaczynałem od samego początku, choć miałem dwa magisteria z Uniwersytetu Jana Kazimierza — prawo i studium dyplomatyczne. Nie uznali tego. Dlatego, że minęło 15 lat. Musiałem zaczynać jak chłopak amerykański, w 35. roku życia, żeby zdobyć doktorat. W Ameryce nie można wykładać, nie mając doktoratu. Zdobyłem doktorat w 1952 roku.

Zacząłem wykładać. Zacząłem czytać. Nie książki polskie, tylko francuskie, angielskie, amerykańskie. Dowiadywałem się, jak te narody widzą ten rejon, jak w przeszłości widziały Polskę.

Widziały jako kraj zacofany, mały, z kłopotami. Który nie dawał sobie rady z Ukraińcami, Żydami, z mniejszościami narodowymi, i który sprawiał kłopot wielkim mocarstwom. W dziewiętnastym stuleciu było powiedzenie, którego jako mały chłopiec nie znałem: „Polska to ropiejący wrzód Europy i nie wiadomo, jak go zagoić". Wtedy, jako dojrzały człowiek, zobaczyłem Polskę w innym świetle. Zorientowałem się, w jak trudnych warunkach była Polska, na przykład w czasie ostatniej wojny światowej. Z takim rządem, jaki wyłonił się w Niemczech hitlerowskich. Z takim, jaki panował w Rosji. Przy ich porozumieniu się nie było miejsca dla Polski.

Podobna historia jest dzisiaj, tylko o tyle lepsza, że na Zachodzie panuje gospodarka rynkowa i demokracja. Na wschodzie nasi sąsiedzi, po raz pierwszy od stuleci, są niepodlegli. Z dawnego Związku Radzieckiego wyłoniła się Rosja. Pozostałe państwa są samodzielne. W tej sytuacji Polska ma doskonałą pozycję.

Przez stulecia Polska odgrywała z dumą rolę przedmurza zachodniej cywilizacji, religii, wartości, przeciwko dzikiemu wschodowi, Tatarom, Rosjanom. Dziś nie ma miejsca na takie rozumowanie. Jeżeli Polska chce odgrywać jakąś rolę, to tylko jako pomost miedzy Zachodem i Wschodem. I do tego Polska się nadaje.

25 czerwca 1996 rozmawiał **Paweł Spodenkiewicz**

JAN KARSKI — prawdziwe nazwisko Kozielewski, urodził się w Łodzi 24 czerwca 1914 roku. W 1931 r. zdał maturę w Gimnazjum Miejskim im. Józefa Piłsudskiego, a następnie studiował w Uniwersytecie Lwowskim, gdzie ukończył prawo i studium dyplomatyczne. Po wybuchu II wojny światowej, uciekając z rosyjskiej i niemieckiej niewoli, rozpoczął słynną misję polskiego podziemia. Był legendarnym kurierem rządu londyńskiego, który wielokrotnie narażając życie, jako pierwszy powiadomił świat o obozach koncentracyjnych i eksterminacji Żydów. W 1943 roku rozpracowany przez wywiad niemiecki osiadł na stałe w USA. Wydał słynną książkę *Polska podziemna*, która stała się bestsellerem na rynku amerykańskim i którą przetłumaczono na kilkanaście języków. Po wojnie nie wrócił do Polski. Przez wiele lat był profesorem Uniwersytetu Georgetown w Waszyngtonie i wykładowcą w Pentagonie. Posiada tytuł doktora honoris causa kilku światowych uniwersytetów. Za jego najważniejsze dzieło uważa się pracę *Wielkie mocarstwa wobec Polski 1919—1945. Od Wersalu do Jałty*. Jan Karski zyskał sobie szacunek całego cywilizowanego świata, ale szczególną wdzięcznością darzony jest w Izraelu. Otrzymał me-

dal „Sprawiedliwy wśród narodów świata" i ma swoje drzewko w Alei Sprawiedliwych w Jerozolimie. Jest honorowym obywatelem Izraela.

* * *

Profesor Jan Karski przyjechał do Łodzi 24 czerwca 1996 r. na zaproszenie prezydenta Łodzi Marka Czekalskiego. Przyjechał po raz pierwszy po 65 latach. 27 czerwca w Teatrze Wielkim otrzymał tytuł **doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego**. W uroczystości, obok wielu osobistości życia naukowego, kulturalnego i politycznego, uczestniczył Prezydent RP Aleksander Kwaśniewski.

Tego samego dnia prof. Karski wziął udział we wręczeniu medali „Sprawiedliwy wśród narodów świata" Polakom, którzy ratowali Żydów podczas II wojny światowej. Uroczystość odbyła się w Muzeum Historii Miasta Łodzi z udziałem ambasadora Izraela w Polsce.

Z okazji przyjazdu tak dostojnego gościa odbyła się konferencja prasowa. Ponadto Jan Karski spotkał się z władzami miasta, uczestniczył w dyskusji, dotyczącej sytuacji międzynarodowej, w Instytucie Studiów Europejskich, odwiedził cmentarz żydowski oraz spotkał się z dr. Markiem Edelmanem, ostatnim z żyjących przywódców powstania w Getcie Warszawskim.

Jednocząca się Europa
nie potrzebuje przedmurzy.
Potrzebuje pomostów.

Jan Karski

Jestem wzruszony i wdzięczny za dzisiejszą uroczystość, szczególnie, iż ma ona miejsce w Łodzi — mieście mojej szczęśliwej i dumnej młodości. Jestem absolwentem gimnazjum im. Marszałka Piłsudskiego — gimnazjum z ulicy Sienkiewicza 46.

Żyję w Stanach Zjednoczonych ponad pięćdziesiąt lat. Ameryka uformowała moją osobowość i stosunek do świata. Stałem się Amerykaninem. Czterdzieści pięć lat wykładałem w Szkole Służby Zagranicznej jezuickiego Uniwersytetu Georgetown. Dziewiętnaście lat prowadziłem wykłady w Pentagonie dla oficerów amerykańskich sił zbrojnych. Większość moich wykładów dotyczyła regionu Europy Środkowowschodniej. Pragnę podzielić się z Państwem moimi uwagami w sprawach polskich. (...)

* * *

Wydaje mi się, że polityka obecnego rządu, jak zresztą wszystkich poprzednich rządów po przełomie w 1989 roku, zabiegania zarówno o członkostwo w Sojuszu Północnoatlantyckim, jak i w Unii Europejskiej, jest słuszna.

Uczestnictwo Polski w Unii dyktowane jest względami gospodarczymi i kulturowymi. Wszak jednocząca się Europa to także polski dom.

Polsce obecnie nie zagraża bezpośrednie niebezpieczeństwo. Obecna Rosja nie wydaje się zdolna do prowadzenia wojny. Potrzebuje wielu lat aby tę zdolność odzyskać. Ale Rosja wije się w konwulsjach. Ścierają się w niej różnorakie siły polityczne — wśród nich także wrogie Zachodowi i irracjonalne. Dla Polski uczestnictwo w NATO stanie się asekuracją, a dla NATO instrumentem do utrzymania racjonalności w polityce zagranicznej Rosji.

Należy jednak pamiętać, że ani Stany Zjednoczone, ani kraje Europy Zachodniej, a przede wszystkim Francja, nie zamierzają utrzymywać „żelaznej kurtyny" z

czasów „zimnej wojny", przesuwając ją na linię Bugu. Nie zamierzają odpychać Rosji od jednoczącej się Europy. Przeciwnie, szukają rozwiązań, które umożliwiłyby włączenie demokratyzującej się Rosji do procesu integracji europejskiej i zapewnienia w **całej** Europie stabilizacji, rozwoju i bezpieczeństwa. Bez współdziałania z Rosją Europa nie osiągnie stabilizacji. (...)

Po raz pierwszy od stuleci wyłoniła się możliwość zjednoczenia całej Europy — pokojowo. Gdyby to się udało, byłoby to największym wydarzeniem od czasów Karola Wielkiego.

* * *

W tym procesie Polska powinna stać się **pomostem** między narodami Europy Zachodniej i jej wschodnimi sąsiadami — a nie znów jakimś tam przedmurzem. Jednocząca się Europa nie potrzebuje przedmurzy. Potrzebuje pomostów.

Jakikolwiek wynik wiązania Polski z Zachodem przyniesie nam przyszłość, nie zmieni to naszego położenia geopolitycznego i konieczności możliwie najlepszych stosunków z naszymi wschodnimi sąsiadami, a także z Rosją.

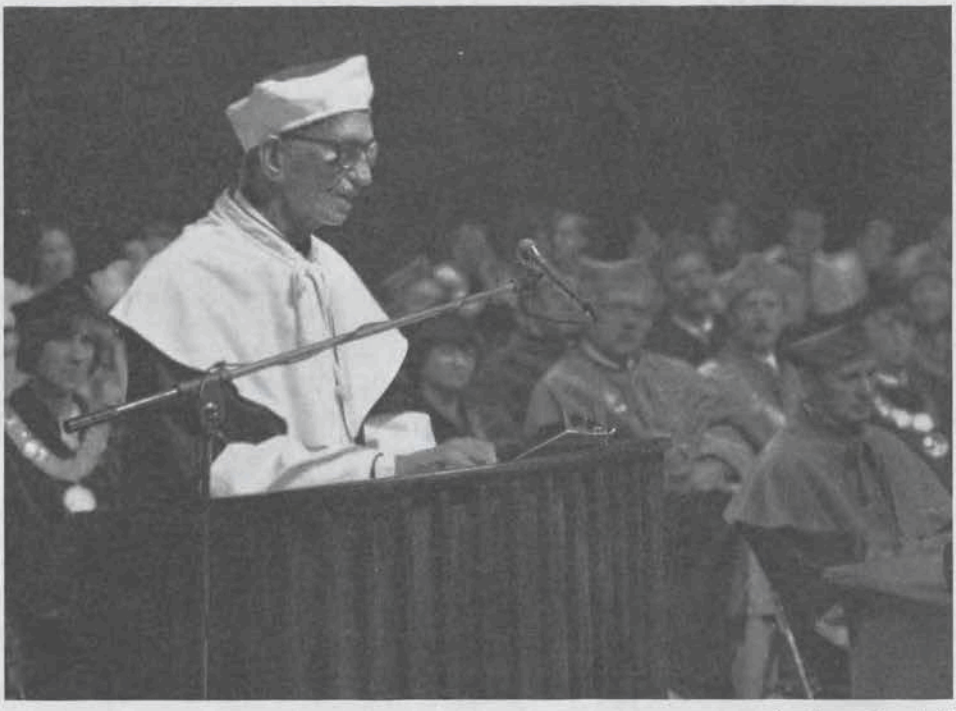

fot. Piotr Zdrzynicki

WiMBP im J. P. w Łodzi

10671-A

Dramatyczny rozwój technologii oraz środków masowego przekazu w naszym stuleciu związał rządy z ich społeczeństwami bardziej niż kiedykolwiek w przeszłości.

Prasa, radio, telewizja, informatyka umożliwiły społeczeństwom wpływanie na charakter i politykę ich rządów. Pragnąc lepszych stosunków z sąsiadami powinni Polacy nie tylko paktować z ich rządami, ale także, czy nawet przede wszystkim, nawiązać dialog z ich **społeczeństwami**.

Ciąży nad naszymi narodami bolesna przeszłość: wojny, podboje, nacjonalistyczne ambicje. Nieufność lub pogarda wobec innych; przekonanie o własnych zaletach czy wyższości. Jakieś tam misje cywilizacyjne czy duchowe poprzez stulecia gmatwały nasze wzajemne stosunki. Trwa to do dzisiaj. Odmiennie niż na Zachodzie, nie dotarła jeszcze do krajów naszego rejonu nowoczesność i zrozumienie, że tylko łączenie się w realizowaniu wspólnych interesów przyniesie im postęp i lepszy byt.

A nasze narody właściwie mało się znają. A to, co o sobie wiedzą, jakże często jest oparte na stereotypowych i szkodliwych narodowych mitach.

No bo co tkwi w świadomości wielu Polaków o naszych stosunkach z narodami rejonu bałtyckiego? — Nieśliśmy im kulturę, demokrację i chrześcijaństwo. A co oni myślą o nas? Polacy próbowali nas wynarodowić. Chcieli zniszczyć naszą narodową identyczność.

A Ukraińcy? Trylogia Sienkiewicza jest jedną z najbardziej popularnych książek. Chroniliśmy ich przed zaborczą Moskwą. I jak sumienie nam nakazywało, staraliśmy się, aby wrócili na łono Kościoła rzymskokatolickiego. A co mówi tradycja Ukraińców? Gnębiła nas polska szlachta, a polskie „Pany" rośli w potęgę z naszej krwi, znoju i krzywdy.

A naród rosyjski? To przecież odwieczny wróg — zaborczy i krwawy. To naród rabów. Nigdy nie nauczyli się demokracji. To dzicz. A my to kultura i przedmurze Zachodu. A co po tamtej stronie? Te Lachy to zdradzieckie plemię. Nieśli nam zgniliznę Zachodu. Przez stulecia czatowali, aby wbić nam nóż w plecy. Nie można im ufać. Trzeba ich trzymać w ryzach.

Stoi przed polskim społeczeństwem i jego elitą wielkie i pilne zadanie, a z punktu widzenia polskiej racji stanu obowiązek podjęcia wysiłków większych niż dotychczas, aby społeczeństwa naszego rejonu, z polskim społeczeństwem włącznie, porzuciły te tradycyjne i szkodliwe mity i uprzedzenia, aby się wzajemnie poznały.

* * *

Nie ma narodów lepszych i gorszych. To rządy i systemy rządzenia są lepsze lub gorsze. Narody chcą żyć i prosperować w spokoju. To ich rządy wszczynają wojny.

Trzeba więcej wysiłku, aby unowocześnić polskie społeczeństwo, aby nawiązało kontakty ze społeczeństwami sąsiednich nam krajów, abyśmy się lepiej poznali i nabrali do siebie zaufania. Kontakty **międzyrządowe** nie wystarczą.

Potrzeba nam częstszej wymiany studentów i profesorów. Budujmy więcej i lepszych polskich instytutów kulturalnych i naukowych w sąsiednich krajach i zapraszajmy te kraje, aby tworzyły takie instytuty w Polsce. Wydawajmy więcej książek o naszym kraju w językach naszych sąsiadów i rozprowadzajmy je tam, zachęcając ich, aby robili to samo w Polsce. Organizujmy więcej wspólnych konferencji i spotkań ludzi nauki i kultury. Wprowadzajmy programy w radiu i telewizji w języku naszych sąsiadów i zachęcajmy ich do prowadzenia takich programów w polskim języku.

Czy są w naszych krajach ludzie kompetentni i chętni do takiej działalności? Chyba tak. A jeśli Polacy w kraju ich nie znają, albo nie wiedzą, jak taką działalność prowadzić — no to niech się zwrócą o radę czy pomoc do Jerzego Giedroycia w Paryżu. On w ramach swoich możliwości prowadzi taką działalność ponad czterdzieści lat. To patriota. Ale także, Europejczyk *par excellence*.

* * *

Okrutna jest historia naszego narodu. W dziewiętnastym stuleciu ominęła nas rewolucja przemysłowa i zdobycze nowoczesnej demokracji. No bo rozbiory.

W czasie ostatniej wojny — walka u boku aliantów, a w kraju bohaterskie podziemie — no i łagry, Katynie, więzienia, obozy koncentracyjne i masowe egzekucje.

Po wojnie wielkie mocarstwa wepchnęły nas w orbitę sowieckiego imperium. Bo taki był między nimi układ sił, taka strategia, takie oczekiwania czy błędy. Na te decyzje Polacy, żadni Polacy, nie mieli jakiegokolwiek wpływu. Mogli albo z tego stanu rzeczy wyciągnąć konsekwencje albo podjąć beznadziejną walkę.

A potem przez czterdzieści pięć lat naród polski żył, izolowany od narodów Zachodniej Europy, ich reform i przekształceń, które zapewniły im dobrobyt, pokój i możliwości dalszego rozwoju.

Sześć lat temu nasz naród wywalczył sobie wolność — zubożały, w strukturach, które uniemożliwiały rozwój, i wyobcowany zarówno od Wschodu, jak i od Zachodu.

Społeczeństwo szuka rozwiązań, które zapewniłyby mu rozwój i bezpieczeństwo.

W naszej epoce, Polska i inne kraje naszego rejonu nie są w stanie sprostać tym zadaniom własnymi tylko siłami. Muszą się łączyć z innymi krajami — zarówno z

Unią Europejską, jak i przede wszystkim między sobą. Rozbudowa współpracy i wymiany gospodarczej między Polską i jej wschodnimi sąsiadami jest naturalna i korzystna dla wszystkich partnerów. Przecież w wielu dziedzinach ich struktury gospodarcze uzupełniają się.

* * *

Nie bójmy się, że to łączenie zagrozi naszym polskim wartościom narodowym czy narodowej identyczności. Nie ulegajmy podejrzeniom, że istnieje jakiś tam spisek międzynarodowy masonów, Żydów czy komunistów, którzy sprzysięgli się na zgubę Polaków. Nie wracajmy do izolacji. Patrzmy, na co się zdecydowały kraje zachodniej Europy i jakie z tego odniosły pożytki.

Kraje Unii Europejskiej nie są już niezależne od siebie — są **współzależne**.

Unia, pomyślana jako wspólnota gospodarcza, stała się **wspólnotą narodów**.

Na skutek wolnego ruchu ludzi, kapitału i pracy państwowe granice straciły tam tradycyjne znaczenie. I poszedł w zapomnienie tradycyjny spór, czy wojny o Alzację i Lotaryngię między Francją i Niemcami.

Sprawy poszły nawet dalej.

Dla zapewnienia trwałego pokoju swym narodom Francja, Belgia i Niemcy utworzyły Wspólnotę Węgla i Stali. Jej statut i struktura uczyniły z tej organizacji już nie międzynarodową organizację, ale **ponadnarodowy** organizm. I oto tak długo, jak ta Wspólnota istnieje, wojna między tymi państwami jest fizycznie niemożliwa.

To wszystko nie sprawiło, iż Unia Europejska stała się jakimś supermocarstwem rządzonym z Brukseli. Członkowskie narody zachowały lub wzbogaciły ich własną identyczność narodową, kulturę czy nawet obyczaje.

Polska i pozostałe narody naszego rejonu **same** nie rozwiążą swych problemów. Muszą się łączyć — zarówno z narodami Europy Zachodniej, jak i przede wszystkim między sobą. Idąc samotnie, nigdy nie będą więcej niż ubogą, zahamowaną w rozwoju prowincją Nowoczesnej Europy.

---

* Fragmenty wykładu prof. Jana Karskiego, wygłoszonego podczas uroczystości nadania mu tytułu doktora honoris causa Uniwersytetu Łódzkiego.

Wieżę ufundował katolik Juliusz Heinzel, dzwony i ołtarze — protestant Karol Scheibler, malowidła wewnątrz świątyń — luteranka Matylda Herbst...

MAREK BUDZIAREK

Łódź wielowyznaniowa

Przez długie dziesiątki lat ubiegłego i obecnego stulecia łódzki dzień zaczynał się gwizdem syren fabrycznych. Ale także odgłosem Godzinek śpiewanych po polsku, modlitwą Ojcze nasz, słyszaną również w języku niemieckim, a także hebrajskim Szacharit wymawianym przez postaci okryte tałesami. Rytm tygodnia odmierzał huk maszyn tkackich oraz nabożeństwa odprawiane w kościołach, zborach, cerkwiach i synagogach.

Różne narodowości, różne wyznania i religie, w imię specyficznie pojętej tolerancji, budowały swoją własną Łódź. W życiu codziennym, nawet nie uświadamiając sobie tego, realizowały Chrystusową prośbę skierowaną do Boga-Jahwe: aby stanowili jedno.

Z dziejów łódzkich wyznań, religii i narodowości

1 Od XIV wieku ludność mieszkająca w Łodzi była przede wszystkim pochodzenia chłopskiego, jednolita pod względem wyznaniowym i narodowym — tj. katolicka i polska. Na przełomie XVIII i XIX stulecia, a zwłaszcza w ubiegłym wieku, została ona w dużym stopniu zdominowana przez przybyszów spoza granic miasta i Królestwa Polskiego (w większości luteran pochodzenia niemieckiego oraz Żydów). Dopiero w połowie XIX wieku wzmożony napływ ludności polskiej do rozbudowującego się przemysłu łódzkiego doprowadził do zmian w proporcjach wyznaniowych i narodowościowych. O ile protestanci nadal dominowali nad katolikami, to wśród robotników przeważającą większość stanowili katolicy.

Przy braku własnej państwowości i w efekcie wyjątkowo agresywnej polityki antykościelnej władz prawosławnej Rosji wobec Kościoła rzymskokatolickiego, miejscowe społeczeństwo katolickie nie posiadało własnych instytucji o charakterze społeczno-kulturalnym. Swą działalność w tym zakresie ograniczało jedynie do płaszczyzny kościelnej. Miejscowa inteligencja polska pojawiła się dopiero w drugiej połowie ubiegłego wieku. Była ona w miarę aktywna w kwestii narodowej (zwłaszcza podczas powstania styczniowego 1863 roku), lecz wzrost jej znaczenia wśród łódzkiej społeczności przypada na ostatnie dekady minionego stulecia.

2 Kilkunastu Żydów zamieszkiwało w Łodzi już w ostatnich kilkudziesięciu latach istnienia przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Znaczna ich liczba przybyła dopiero w dobie rozbiorów i Księstwa Warszawskiego, a ich gwałtowny napływ do miasta nad Łódką nastąpił w czasach Królestwa Polskiego. Byli na ogół społecznością mało zróżnicowaną wewnętrznie pod względem majątkowym i kulturalnym. Odznaczali się szczególnym przywiązaniem do swej religii, podkreślali swoją odrębność tradycyjnym strojem, posługiwali się własnym językiem, kultywowali stare obyczaje, a dzieci kształcili przede wszystkim w duchu religijnym. Obawiając się utraty tożsamości wyznaniowej i narodowej, długo opierali się prądom asymilatorskim i emancypacyjnym.

W Łodzi przemysłowej Żydzi zasilili szeregi przedsiębiorców i niewykwalifikowanych robotników. Jednakże znaczna ich grupa trudniła się handlem i bankowością. Z czasem weszli w krąg miejscowej finansjery, a niektórzy stali się nawet potentatami przemysłowymi. Pod koniec ubiegłego wieku zajęli znaczące miejsce wśród rodzimej inteligencji, dominując w środowisku lokalnej kultury.

3 Włączenie Łodzi do państwa pruskiego w wyniku drugiego rozbioru Polski, a następnie zaliczenie jej do rzędu miast fabrycznych w 1820 roku spowodowało wielki napływ przybyszów mających tworzyć przemysł włókienniczy. Emigranci stanowiący wysoko wykwalifikowaną siłę roboczą, cieszyli się szczególną protekcją władz Królestwa Polskiego.

Żywioł niemiecki — tak protestancki, jak i katolicki — był najbardziej ekspansywny w tworzącym się mieście fabrycznym. Niemcy stanowili społeczność najbardziej zorganizowaną, posiadającą własne (sprawnie działające) instytucje i organizacje (rzemieślnicze, towarzyskie, sportowe) oraz odrębną organizację kościelną z funkcjonującymi w jej ramach prężnymi ciałami społecznymi. Najwcześniej uświadomili sobie potrzeby kulturalne, a zwłaszcza oświatowe. W tworzącym się przemyśle łódzkim stanowili przede wszystkim kadrę kierowniczą i mistrzowską, bądź też tworzyli trzon miejscowego establishmentu przemysłowego.

Kościół protestancki nie był jednak wewnętrznie jednolity. Obok luteran, najaktywniejszych i najlepiej zorganizowanych, funkcjonowali hernhuci (odnowiona jednota Braci Czeskich działająca w Łodzi od połowy XIX wieku), baptyści (żarliwi apostolsko od 1868 roku) oraz kalwiniści (propagujący od 1888 roku naukę Mistrza z Genewy).

4 Pierwsza niewielka grupa Rosjan pojawiła się w Łodzi w połowie ubiegłego wieku, jednakże nie odgrywała ona prawie żadnej roli w mieście. Dopiero po upadku powstania styczniowego, a także w konsekwencji rusyfikacyjnej polityki zaborcy, wzrosła ich liczba i znaczenie wśród miejscowej społeczności. Byli to przede wszystkim pracownicy rozbudowanego aparatu administracyjnego, policyjnego i wojskowego. Stanowili jednak, na początku naszego stulecia, nikły procent całego społeczeństwa łódzkiego. Prawie w całości byli wyznania prawosławnego.

Specyfika lokalnej koegzystencji

1 Losy osadników przybyłych do Łodzi przeczą powszechnie obowiązującej tezie, że Polak to katolik, a Niemiec to protestant. Już w pierwszych dziesięcioleciach XIX stulecia struktura narodowościowa mieszkańców Łodzi absolutnie nie pokrywała się z przynależnością wyznaniową. Co prawda nie prowadzono wówczas dokładnej statystyki wyznaniowej i narodowościowej, jednak z zachowanych danych wynika, iż w mieście tym więcej było katolików niż Polaków, oraz mniej Niemców niż protestantów. Znaczna część emigrantów pochodzących z pruskiego Śląska, a również Czesi i Saksoni byli wyznania katolickiego. Także pewna liczba przybyłych spoza granic Królestwa Kongresowego, choć wyznania protestanckiego, nie poczuwała się do narodowości niemieckiej.

Jedynie nacja żydowska skrupulatnie przestrzegała tożsamości narodowej i religijnej. Stąd jej całkowita odrębność, pewne wyobcowanie i zewnętrzna izolacja. Podobne zjawisko zaobserwować można także w połowie lat sześćdziesiątych XIX wieku, kiedy do miasta przybyli Rosjanie, prawie w całości identyfikujący się ze swoim wyznaniem — prawosławiem.

Polsko- i niemieckojęzyczne życzenia z okazji 25-lecia zawarcia związku małżeńskiego
(ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

2 Polacy nie mogli się wówczas niczym szczególnym poszczycić w zakresie kultury, jako że było to środowisko ubogie, małomiasteczkowe, żyjące na marginesie oświeceniowych, a później romantycznych trendów kulturalnych Rzeczypospolitej szlacheckiej i Królestwa Polskiego.

Pomimo to obserwujemy stopniową polonizację już pierwszej generacji osadników łódzkich. Ten proces asymilacji obcojęzycznych grup ludności był widoczny przede wszystkim wśród Niemców wyznania katolickiego. Oni polonizowali się najszybciej, a warunki stworzone w Kościele rzymskokatolickim (przy jednocześnie jawnie negatywnej postawie władz carskich) musiały być na tyle atrakcyjne, że zmiana przynależności narodowej nie powodowała większych perturbacji.

Choć z drugiej strony można by podać fakty wskazujące na daleką otwartość w kwestii językowej tak w Kościele rzymskokatolickim, jak i ewangelicko-augsburskim. Pod koniec czwartej dekady ubiegłego stulecia miejscowy proboszcz parafii katolickiej zabiegał u władz kościelnych o wikarego znającego język niemiecki, po to, by mógł swobodnie duszpasterzować wśród parafian niemieckojęzycznych. Z kolei w 1888 roku w ewangelicko-augsburskim kościele św. Jana wprowadzono nabożeństwa w języku polskim dla łódzkich luteran pochodzenia polskiego.

O polonizacji Rosjan, względnie przechodzeniu prawosławnych na katolicyzm trudno cokolwiek powiedzieć. Jeżeli takie wypadki miały miejsce, to na pewno nie były liczne. Akcja zaś rusyfikacyjna lokalnego społeczeństwa, czyniona metodami administracyjnymi (język urzędowy, szkolnictwo, pobór do wojska), mogła przynieść pewne rezultaty, ale była ona raczej powierzchowna. Natomiast o prozelityzmie wyznaniowym nic szczególnego nie wiemy i zupełnie nie był on widoczny, choćby w danych statystycznych. Cerkiew prawosławną kojarzono zawsze z zaborczą administracją, czynnikiem państwowym, lojalnością wobec Imperatora Wszechrosji. Nastawienie zaś katolików do prawosławnych wyrażało się pobłażliwością, jeżeli nie wrogością, warunkowaną względami narodowościowymi, nie zaś teologicznymi.

Ludność żydowska, zwłaszcza ta, która pragnęła opuścić miejscowe „getto" (przede wszystkim to duchowe), otwierająca się na procesy asymilacyjne, szybko się germanizowała. Prozelityzm wyznaniowy był mało widoczny. Młodzi Żydzi łódzcy, szczególnie ci, którzy kończyli wyższe szkoły zagraniczne (odsetek absolwentów uniwersytetów niemieckich był znaczny), przejmowali wzorce kultury zachodniej — w tym wypadku niemieckiej — lecz nie porzucali religii przodków. Co najwyżej laicyzowali się, nie przyjmowali zaś chrztu św. Żydzi-chrześcijanie w łódzkim środowisku byli niewidoczni. Podobnie jak rosyjscy mahometanie, którzy nie zmieniali religii.

3 Historia wyznań i religii dowodzi, że zjawisko tolerancji występuje tam, gdzie religijność jest bardzo aktywna, a nauki teologiczne stoją na wysokim poziomie. Życie pokazuje jednak, że tolerancja bardzo często pojawia się tam, gdzie zaangażowanie religijne jest powierzchowne, a wiedza teologiczna ogranicza się do pod-

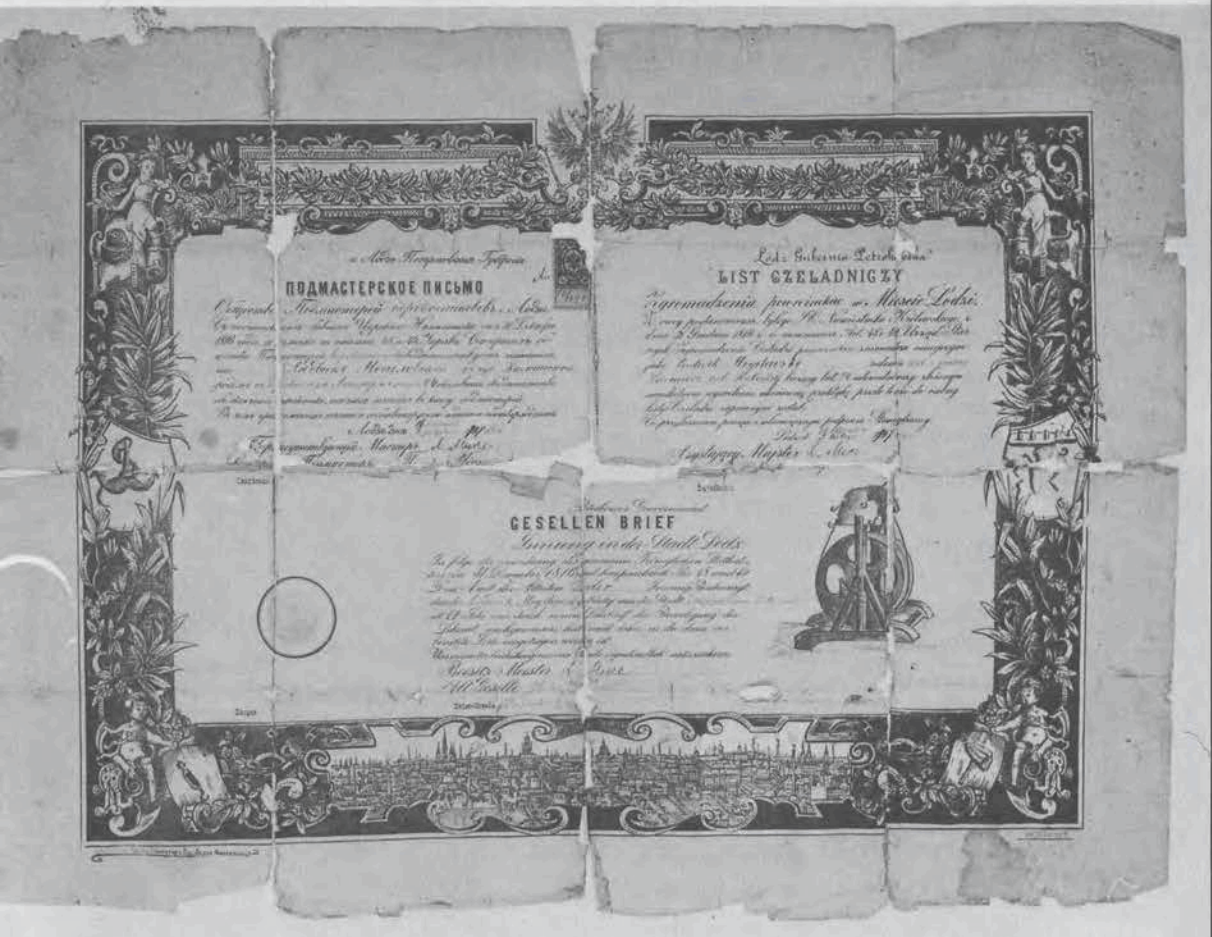

Trójjęzyczny list czeladniczy (ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

stawowych prawd wiary, lub też dany Kościół czy religia nie dominują. W tym sensie Łódź spełniała przynajmniej ostatni z wymienionych warunków.

Ani protestantyzm (który reprezentowała w miarę zamożna i społecznie aktywna część łodzian), ani katolicyzm (choć w Łodzi najliczniejszy), a tym bardziej mozaizm i prawosławie nie były w stanie narzucić innym swej wyznaniowej dominacji. Problemy pojawiły się w końcu ubiegłego stulecia wraz z wystąpieniem w łonie rzymskiego katolicyzmu ruchu mariawickiego, a w konsekwencji powołaniem samodzielnego Kościoła Starokatolickiego. Kościół rzymskokatolicki bardzo ostro atakował mariawitów. Ci z kolei (od 1910 roku mający w Łodzi swego biskupa), niedwuznacznie kokietowani przez władze carskie, skutecznie organizowali obronę. Dochodziło do bardziej lub mniej brutalnych akcji, choć Łódź nie była widownią zdecydowanie dramatycznych starć.

4 Tolerancyjność Łodzi była w pewien sposób wymuszona. Chcąc nie chcąc musiano systematycznie wypracowywać formy współistnienia różnych wyznań. Wspomniane szykany zastosowane wobec mariawitów zdarzały się, lecz były to wypadki odosobnione. Fakt istnienia wielkiej liczby protestantów, prawosławnych i żydów tępił ostrze ataków rzymskich katolików. I na odwrót — prozelityzm nie łączył się z rozbiciem dotychczasowych struktur emocjonalnych, kulturowych, ekonomicznych łodzian początku naszego wieku.

Oczywiście mieszkańcy Łodzi rekrutowali się z kręgów tradycjonalistycznych, gdzie religia przytłumiona była względami ekonomicznymi. Ci, którzy reprezentowali wyższy poziom intelektualny, zainteresowani byli pomnażaniem dóbr materialnych. Religię traktowali jak świąteczny dodatek. Postawa taka charakteryzowała niemalże wszystkie łódzkie grupy wyznaniowe. Ci zaś, którzy stanowili „masę produkcyjną", tłumieni byli w swoich dążeniach do wyższych wartości, jeżeli je w ogóle posiadali. Praktyki religijne ograniczali do powierzchownych, zewnętrznych czynności rytualnych. I jedni, i drudzy przez długi czas wyznawali zasadę — tak charakterystyczną dla łodzian, nie tylko w ubiegłym stuleciu — *bardziej mieć, niż być*.

Przeszłość w przedmiotach pozostawiona

1 Od pooczątku swego istnienia Muzeum Historii Miasta Łodzi stara się analizować dzieje lokalnych struktur społecznych, ich oddziaływanie w sferze szeroko pojętej kultury, przejawów życia duchowego mieszkańców, zróżnicowania narodowego i wyznaniowego. Zebrano pokaźny zbiór eksponatów ilustrujący lokalne tradycje, skład narodowościowy i wyznaniowy, działania twórcze łodzian i osób z Łodzią związanych. Za pomocą przedmiotu materialnego, tekstu i dźwięku przedstawiany jest specyficzny obraz przestrzeni i ludzkiej zbiorowości, dynamiki przemian w ubiegłym i obecnym stuleciu, ważnych postaci i wydarzeń związanych z miastem. Inaczej mówiąc — całokształt zjawisk składających się na fenomen wielonarodowej, wielokulturowej i wielowyznaniowej metropolii przemysłowej.

Początkowo obiekty muzealne związane z kultem religijnym, bądź stanowiące przejaw żywotności poszczególnych grup wyznaniowych lub narodowościowych nabywano sporadycznie. Bardziej ze względu na użytkowy niż duchowy walor tych przedmiotów. Z czasem poszukiwać zaczęto rzeczy tylko i wyłącznie ze względu na ich kultowe i narodowe znaczenie. Oczywiście nie zapomniano o walorach ekspozycyjnych owych obiektów.

Istniejąca na wstępie przypadkowość w tworzeniu kolekcji zastąpiona została przemyślaną polityką zakupów. Warto zauważyć, że posiadane już eksponaty, choć nabyte ze względów na ich materialne walory, stanowić mogą obecnie wspaniałą ilustrację przeżyć duchowych łodzian, ich aktywności wyznaniowej lub narodowościowej. Jak się okazuje, mogą one również wskazać na wyjątkową współzależność

tychże grup, ich współistnienie i wzajemną tolerancję. Niekiedy mały przedmiot, skromny dokument lub druk okolicznościowy, tak jak wielkie przedsięwzięcie budowlane ilustruje wyjątkową historię miasta.

2 Do początku trzeciej dekady ubiegłego stulecia materialne przekazy działań twórczych mieszkańców Łodzi mają charakter wyłącznie polski i katolicki. Tak jest chociażby w przypadku wspaniałych obesłań cechowych. Oto cech krawców (z 1743 roku) czy rzeźników (z 1784 roku) posiadał egzemplifikacje czysto wyznaniowe. W tym wypadku całkowicie katolickie — ukrzyżowany Chrystus w otoczeniu świętych Pańskich. Żydzi nie utożsamiali się jeszcze ze społecznością lokalną, a ich materialne przekazy miały wyłącznie mozaistyczną identyfikację.

Sytuacja zmienia się diametralnie w latach dwudziestych, a zwłaszcza w połowie XIX wieku. Widać to wyraźnie w dyplomach mistrzowskich lub czeladniczych. Poza wspaniałymi widokami Nowego Miasta czy panoramy całego miasta zawierają charakterystyczne dla Łodzi tamtego czasu znamię. Wszystkie sporządzone są w języku niemieckim i polskim, w późniejszym czasie także w rosyjskim. Najstarsze przekazy ikonograficzne Łodzi ukazują w sposób jednoznaczny dominację nacji niemieckiej w tworzeniu się Nowego Miasta oraz lokalnej społeczności miejskiej. Dominację, ale nie zdominowanie. Znamiennym tego przykładem była luterańska, klasycystyczna świątynia Świętej Trójcy wybudowana na rynku Nowego Miasta. Natomiast życie katolików nadal koncentrowało się wokół drewnianego kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny na Starym Mieście.

W drugiej połowie ubiegłego wieku życie nowej społeczności lokalnej koncentrowało się m.in. w organizacjach cechowych. Charakterystyczne dla nich były sztandary cechowe. Do I wojny światowej istniały chorągwie z napisami w trzech językach: polskim, niemieckim i rosyjskim, niekiedy tylko w hebrajskim. Najczęściej jednak posługiwano się polskim i niemieckim. Rzecz znamienna — awers zwykle miał napisy polskie, rewers — niemieckie. Często spotkać można hasło „Niech żyje braterstwo" oraz „Es lebe die Bruderschaft". W Centralnym Muzeum Włókiennictwa przechowywana jest natomiast chorągiew żydowskiego Cechu Krawców. Tu także na awersie (amarantowym płacie jedwabnym) umieszczono napis w języku polskim: „Cech Krawiecki w Łodzi" oraz wizerunek mężczyzny trzymającego tarczę z hasłem: „W Jedności Siła". Natomiast rewers chorągwi, wykonany z niebieskiego jedwabiu, zdobią emblematy krawieckie i tekst w języku hebrajskim.

Zjawisko koegzystencji narodowej, a przede wszystkim wyznaniowej, można dostrzec w cudownie zachowanych, a przechowywanych w zbiorach Muzeum Historii Miasta Łodzi, pamiątkach chrztu i komunii św. W miejscowym Kościele rzymskokatolickim istniały obok siebie społeczności polska i niemiecka. Wykonane z papieru, tektury i tiulu, z wizerunkami świętych Pańskich lub emblematami religijnymi pamiątki chrztu św. były takie same dla katolików narodowości polskiej i nie-

mieckiej. Różnica dotyczyła co najwyżej tekstów życzeń umieszczonych w środku owych pudełek, i języka,w którym je formułowano.

Przedmioty związane ze chrztem św. posiadają jeszcze jedną, ale jakże cenną cechę. Niejednokrotnie życzenia dla chrześniaka pisane w języku polskim podpisane są przez rodziców chrzestnych mających imię i nazwisko niemieckie. I na odwrót. Przy tekstach niemieckich figurują imiona i nazwiska polskobrzmiące.

Podobnie jest z pamiątkami pierwszej komunii św. z parafii Podwyższenia Świętego Krzyża, w której skupiało się duszpasterstwo polskie i niemieckie.

Z kolei zaproszenia ślubne były dwujęzyczne — drukowano je po polsku i niemiecku, bez względu na to, czy nupturienci pochodzili z jednej, czy dwu różnych nacji (na co wskazywałyby polsko lub niemiecko brzmiące ich nazwiska). Zapewne

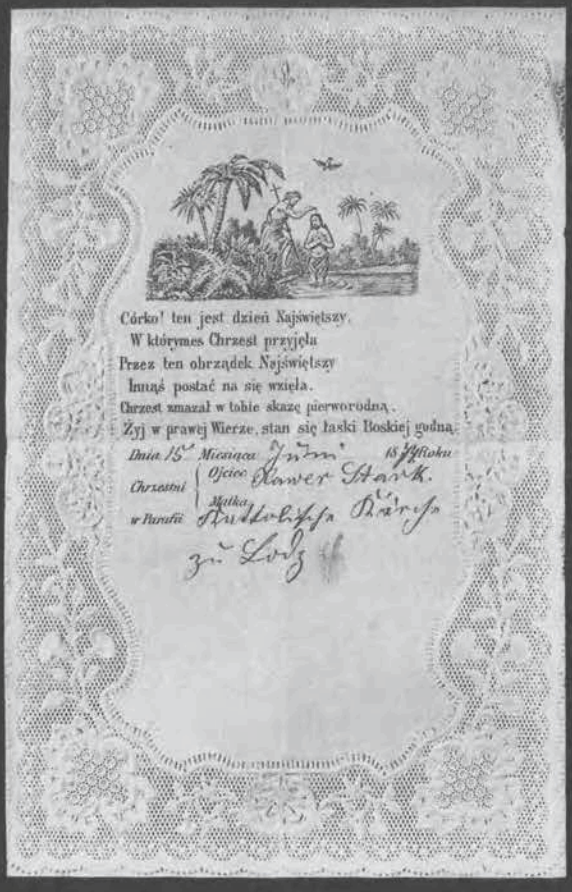

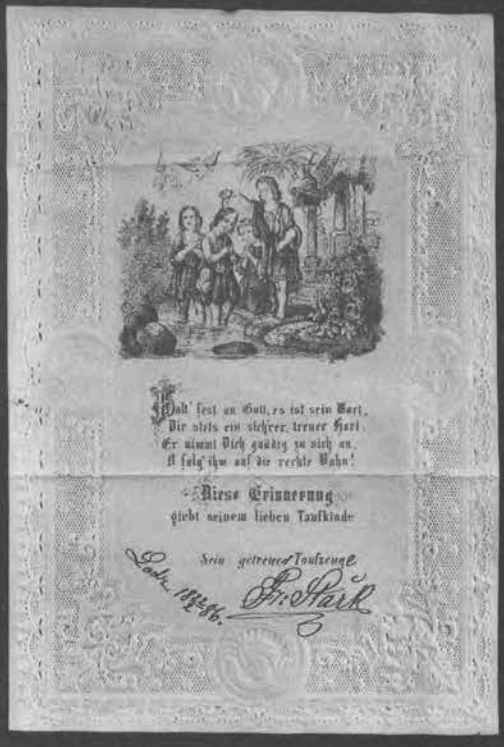

Pamiątki chrztu św. z parafii Podwyższenia Świętego Krzyża
(ze zbiorów Muzeum Historii Miasta Łodzi)

chodziło o zaproszenie na uroczystość zaślubin gości wywodzących się z dwu różnych środowisk narodowych.

W 1975 roku Wydział Kultury i Sztuki Urzędu Miasta Łodzi przekazał Muzeum Historii Miasta Łodzi dwa wyjątkowej wartości przedmioty. Są to okolicznościowe, ozdobne laurki przygotowane w połowie maja 1908 roku, z okazji 25-lecia pożycia małżeńskiego. Obie są prawie identyczne. Srebrna podkowa, duża cyfra „25", drobne ozdoby kwiatowe. W środku podkowy i na odwrocie okolicznościowe życzenia. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie fakt, iż jedna z nich ma napis: „Serdeczne życzenia na srebrne wesele", a druga słowa: „Herzlichsten Glückwunsch zur silbernen Hochzeit". W pierwszym wypadku — rodziny Litwickich — tekst i podpisy na odwrocie sporządzono w całości po polsku, w drugim zaś — rodzina Eckstein odręczne życzenia napisała po polsku, zaś podpisała się po niemiecku.

Względy handlowe powodowały, że łódzki establishment drukował bilety wizytowe w języku polskim, niemieckim, niekiedy także francuskim i rosyjskim. Pochodzenie narodowe nie grało tu żadnej roli.

Natomiast w zbiorach Muzeum Historii Miasta Łodzi przechowywanych jest kilka niezwykle ciekawych dokumentów dotyczących wspólnot wyznaniowych. Jeden z nich to protokół posiedzenia Komitetu Synagogi w Łodzi przy ul. Zielonej (18 października 1892 roku), podczas którego Izraelowi Poznańskiemu przyznano prawo dziedzicznego zajmowania miejsca w synagodze (jednego w części przeznaczonej dla mężczyzn, drugiego w części wydzielonej dla kobiet). Drugi dokument jest także protokołem, lecz wyboru nowego składu kolegium kościelnego miejscowej parafii luterańskiej (z 10 grudnia 1867 roku). Oba sporządzono w języku polskim. Natomiast z kwietnia 1868 roku pochodzi raport policmajstra łódzkiego w sprawie nieodpowiedniego zachowania się żydowskiego mieszkańca Łodzi, który „miał czelność nie zdjąć czapki', kiedy mijała go procesja wiernych cerkwi prawosławnej.

Specyficznym śladem wyjątkowej koegzystencji wyznaniowej jest prezentowane, na stałej wystawie w Muzeum Historii Miasta Łodzi, tableau fundatorów cerkwi św. Aleksandra Newskiego. Przedstawia ono urzędników administracji carskiej, ale także — a może przede wszystkim — przedstawicieli establishmentu przemysłowego miasta: protestantów (Ludwika Grohmana, Karola Scheiblera, Ludwika Geyera), katolika (Juliusza Heinzla) i żyda (Izraela Poznańskiego). Oni i im podobni tworzyli nowe miasto, miasto własne, miasto swoich marzeń i na miarę swoich możliwości. Tworzyli lokalną ojczyznę bez względu na przynależność religijną, wyznaniową czy narodową.

3 W przestrzeni miasta ślady materialnej koegzystencji wyznaniowej i narodowej łodzian ubiegłego stulecia są aż nadto widoczne po dziś dzień. Stanowią je przede wszystkim świątynie.

Zaspokajanie potrzeb duchowych powodowało swoistą rywalizację pomiędzy łodzianami różnych wyznań. Wyrażało się ono również budową obiektów sakralnych. Z katolikami wznoszącymi swoje świątynie rywalizowali protestanci budują-

cy neoromański zbór św. Jana oraz żydzi tworzący z iście wschodnim przepychem swą postępową synagogę przy ul. Spacerowej. Rekordy w budowie obiektów sakralnych pobijali mariawici, którzy sporej wielkości świątynie wznosili w kilka lub kilkanaście tygodni (świątynię św. Franciszka przy ul. Franciszkańskiej oddali do użytku po niecałych dwu miesiącach budowy, zaś kościół Przenajświętszego Sakramentu przy ul. Podleśnej w ciągu zaledwie 22 dni). Równie szybko, nie mniej solidnie i z dużym rozmachem jak mariawici tworzyli swą przestrzeń sakralną oraz charytatywną miejscowi baptyści (oni to wznieśli wspaniałe budynki, w których usytuowano szpital, drukarnie i potężne centrum pracy misyjnej).

Druga połowa ubiegłego stulecia charakteryzowała się także specyficznym „snobizmem" (w dobrym znaczeniu tego słowa) łódzkich notabli. Wyrażało się to przede wszystkim w przekazywaniu odpowiednich środków materialnych na potrzeby budowlane. Rodzimi fabrykanci tworząc swe miasto, tworzyli także przestrzeń sakralną. Ale specyfika łódzka polegała przede wszystkim na tym, że tworzyli je w całości, bez względu na przynależność wyznaniową.

Luteranie w sposób szczególny wyposażyli katolicki kościół Podwyższenia Świętego Krzyża (wieżę ufundował katolik Juliusz Heinzel, dzwony i ołtarze protestant Karol Scheibler, a malowidła we wnętrzu świątyni wykonano na koszt luteranki Matyldy Herbst). Wielką hojność wykazano przy budowie nowego kościoła Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny na Starym Mieście. Luterańskie rodziny Scheiblerów i Kunitzerów wyasygnowały na ten cel dość wysokie sumy pieniężne. Zaś fundatorem wspaniałej posadzki terakotowej był żydowski przedsiębiorca Izrael Poznański. Nowo budowaną synagogę przy ul. Spacerowej sfinansowali ci sami łodzianie, którzy przyczynili się do wzniesienia cerkwi prawosławnej i świątyń katolickich.

Podobnie uczyniono z neogotycką świątynią św. Stanisława Kostki (ołtarz główny ufundował miejscowy fabrykant, — katolik Juliusz Teodor Heinzel, zaś chór muzyczny — protestancki przemysłowiec Edward Herbst). Obok siebie po dziś dzień znajdują się wspaniałe witraże saksońskie fundacji katolików, protestantów i żydów.

Na początku obecnego stulecia luterańska rodzina przemysłowców łódzkich — Edward i Matylda Herbstowie — ofiarowali sumę 20.000 rubli na budowę kościoła św. Anny na Zarzewie. Oni też pokryli koszty budowy wieży kościelnej i zegara na niej, trzech dzwonów, schodów na chór muzyczny i posadzki mozaikowej wewnątrz świątyni.

4 Pamięć tych, którzy tworzyli wielką metropolię przemysłową uwieczniona została w kamiennych pomnikach znajdujących się na łódzkich nekropoliach. Tych chrześcijańskich, jak również wspaniałej nekropolii żydowskiej. Tu także dostrzec można wyjątkową koegzystencję wyznaniową i narodową łodzian.

Na Starym Cmentarzu przy ul. Ogrodowej i Srebrzyńskiej znajdują się okazałe pomniki, grobowce i monumentalne mauzolea tych wszystkich, którzy tworzyli wielką Łódź. Większość z nich znajduje się w części protestanckiej, jako że luteranie byli

najbardziej aktywną i zamożną grupą mieszkańców naszego miasta. Symbolem ich przedsiębiorczości i majętności jest neogotyckie mauzoleum rodziny Karola Scheiblera. Jednakże wśród wielu pomników sławiących w języku Goethego dawnych mieszkańców naszego miasta, znajdują się i takie, które po polsku przypominają wkład polskich luteran w tworzenie Nowego Miasta.

Majestatyczność, bogactwo i przestrzenność cmentarza protestanckiego jest nieobecna w części katolickiej. Poza jednym eklektycznym mauzoleum rodziny Juliusza Heinzla von Hohenfels (katolika, ale potomka emigranta przybyłego z Czech) znajdują się tu raczej skromne pomniki. Tak skromne, jak skromni i biedni byli katolicy łódzcy drugiej połowy ubiegłego stulecia.

Na najmniejszym cmentarzu prawosławnym spoczęli przedstawiciele nielicznej społeczności rosyjskiej. Jest to na ogół cmentarz urzędniczo-policyjno-wojskowy. Pomniki są tu bardzo skromne i, poza nielicznymi, mało ciekawe. Wśród nich dostrzec można również nazwiska Polaków — wówczas poddanych cara Wszechrosji.

Posługiwanie się językiem polskim przez łódzkich wyznawców mozaizmu jest również widoczne na wielkiej nekropolii żydowskiej przy ul. Brackiej, na Dołach. Zwłaszcza w części centralnej, gdzie pochowani są bodaj najsławniejsi Żydzi łódzcy. Wszystkie ich nagrobki, pomniki, sarkofagi, mauzolea posiadają napisy w języku polskim.

* * *

W prywatnych i kościelnych archiwach przechowywanych jest jeszcze wiele wspaniałych dowodów współistnienia narodowego i wyznaniowego łodzian w ubiegłym wieku. Wielokrotnie odnosi się wrażenie, jakby kwestie narodowościowe w obrębie grup wyznaniowych, jak również religijne w obrębie poszczególnych nacji, grały drugorzędną rolę. Materialne świadectwa są tego dobitnym przykładem.

Jakże cudownie łódzkie są akty konfirmacji sporządzone po niemiecku w kancelariach łódzkich parafii luterańskich, ale zawierające czysto polskie imiona i nazwiska. I na odwrót, pamiątki pierwszej komunii św. z parafii Podwyższenia Świętego Krzyża w tekstach polskich zawierają niemieckie dane osobiste. W archiwum kalwinistycznego zboru mieszczącego się przy ul. Żeromskiego przechowywana jest „księga konfirmandów". Od 1889 roku odnotowywano w niej personalia łódzkich zwolenników Mistrza Kalwina, którzy konfirmowani byli „w języku polskim" lub „języku niemieckim". Skądinąd wiadomo, że bardzo często właśnie ta grupa wyznaniowa posługiwała się językiem czeskim.

Specyfika Łodzi wielowyznaniowej i wielonarodowej istniała nadal w dwudziestoleciu międzywojennym. Jednakże odzyskanie przez Polskę niepodległości, stworzenie z Łodzi dużego centrum władzy samorządowej i państwowej Rzeczypospolitej Polskiej oraz uczynienie z niej stolicy samodzielnej jednostki administracji

Kościoła rzymskokatolickiego w poważnym stopniu zmieniły układy istniejące dotychczas w mieście. Ani protestanci, ani Żydzi, tym bardziej Niemcy, nie dominowali w Łodzi. Liczebnie katolicy i Polacy stanowili większość. Co wcale nie znaczy, że mniejszości wyznaniowe i narodowościowe były na marginesie życia społecznego, ekonomicznego, kulturalnego oraz politycznego miasta. Jednakże był to już zupełnie inny układ wspomnianych relacji.

II wojna światowa, okupacja hitlerowska i jej konsekwencje całkowicie zmieniły charakter miasta. Nacja żydowska została fizycznie wyeliminowana. Nację niemiecką totalnie zniwelowano. Braki liczebne w ludności miejskiej wypełniła masowa migracja Polaków spoza Łodzi, zwłaszcza ze środowisk wiejskich i typowo katolickich. Nie stało Żydów i ich synagog. Grupka Niemców pozostałych w mieście przestała być widoczna. Wyznania protestanckie zostały spolonizowane. Łódź straciła charakter metropolii wielowyznaniowej i wielonarodowej. Czy straciła przez to swą specyfikę miasta o wymuszonej tolerancji? Zapewne nie. Ale koegzystencja w starym stylu przestała istnieć w łódzkiej przestrzeni.

ANDRZEJ WOJCIECHOWSKI

Ewangelicy w Łodzi

Kim są ewangelicy, protestanci?

Po pierwsze — ewangelicy dlatego, że całą swoją naukę Kościoła opierają na Biblii. Stamtąd czerpią przykłady, jak z „drzewa wiadomości dobrego i złego", i starają się je analizować i stosować w życiu codziennym.

Protestanci — ponieważ Marcin Luter, rzymskokatolicki zakonnik, studiując Pismo Święte w zaciszu swojej zakonnej celi, nie mógł zgodzić się z ogromną władzą papieża, którego wierni nazywają Ojcem Świętym. Nie mógł też zgodzić się z powszechną wówczas w Kościele praktyką kupowania przez wiernych tzw. odpustów zmazujących popełnione grzechy.

Członek Kościoła protestanckiego przyjmuje, iż nie istnieje potrzeba kontaktowania się z Bogiem poprzez innego człowieka, według zasady: moja modlitwa jest moją rozmową bezpośrednio z Bogiem. To narzuca ogromny reżim w postępowaniu na co dzień. Nie mogąc korzystać z pomocy świętych, za nasze postępki odpowiadać musimy wyłącznie przed Bogiem i własnym sumieniem. To bardzo trudna próba, ale jeśli ktoś wierzy w Boga, próbie takiej musi poddawać się codziennie.

* * *

Tych kilka zdań wstępnych było niezbędnych, aby zrozumieć mentalność, a dalej — osiągnięcia moralne, społeczne i materialne protestantów (w naszym przypadku ewangelików) w Łodzi.

Łódź zaczęła rozwijać się dynamicznie w okresie powstawania przemysłu włókienniczego na naszym terenie i w przeciągu kilkunastu lat z małej osady przekształciła się w potężny ośrodek tego przemysłu w Europie. Zasoby wodne, wolne tereny, położenie w centrum Europy spowodowały, że do Łodzi zaczęli zjeżdżać osadnicy z Niemiec, Holandii, Danii. Tak się składało, iż w okresie reformacji te właśnie kraje ulegały najbardziej wpływom Marcina Lutra. Stąd w naszym mieście pojawili

się protestanci niemieccy, holenderscy i inni. Także wyznawcy judaizmu i katolicy tych narodowości.

Na początku XX wieku Łódź zamieszkiwały trzy podstawowe nacje: Niemcy, Żydzi i Polacy. Różnica między nimi była znaczna. Niemcy mieli gotówkę, Żydzi — smykałkę do handlu, zaś Polacy stanowili swego rodzaju potencjał intelektualny.

Nie bez przyczyny Niemcy byli bardziej zamożni od innych. Otóż zakorzeniony nawyk oszczędzania, ale także wyznaczane przez Kościół ewangelicki reguły postępowania powodowały, że ludzie ci prowadzili się bardzo surowo, a także wychowywali w takiej regule swoje dzieci. Stworzył się kanon postępowania w życiu i w interesach, dzięki któremu pracowici, uczciwi i bogobojni ewangelicy szybko zajęli wysokie miejsce na drabinie społecznej Łodzi. Sprawił on także, iż w krótkim czasie powstały ogromne fortuny przemysłowe, które zaważyły na rozwoju naszego miasta.

* * *

Pierwszy osadnik z zagranicy przybył na teren osady Łódź w roku 1821. Nazywał się Fryderyk Daun. Jednak już po miesiącu opuścił Łódź, nie widząc tu przyszłości dla siebie i swojej rodziny. Następnie pojawiła się spora grupa sukienników z okolic dzisiejszej Zielonej Góry. Było to w roku 1823. Od tego momentu stale powiększała się liczba tkaczy, którzy (inaczej niż Fryderyk Daun) upatrywali swoje sukcesy w budowie łódzkiego przemysłu włókienniczego.

W następnym roku zjawił się w naszym mieście Krystian Wendlach, a w roku 1829 Ludwig Geyer, o którym już po kilku latach było głośno. Trzeba powiedzieć, że tylko najbardziej wytrwali osadnicy, wychowani w ewangelickim etosie pracy, kosztem wielu wyrzeczeń potrafili sprostać trudom, jakie czekały na nich w okresie powstawania Łodzi przemysłowej. Pełny sukces odniosły dopiero kolejne pokolenia fabrykantów. Przykładem tego niech będą rody Geyerów, Grohmanów, Scheiblerów i wiele innych. Szybko rosły kominy nowych fabryk, szybko powstawały nowe domy fabrykanckie, ale także całe osiedla robotnicze dla pracowników fabryk. Podobnie działo się wokół Łodzi: w Pabianicach, Zgierzu, Aleksandrowie, Konstantynowie, Brzezinach czy Ozorkowie.

Przybysze z Zachodu byli, jak już wspomniałem, w większości wyznania ewangelickiego. Dlatego jedną z pierwszych znaczących budowli w Łodzi był kościół ewangelicki pod wezwaniem Świętej Trójcy, który stanął na obecnym placu Wolności. Ten okazały budynek do dziś stanowi widomy znak rozmachu i urbanistycznej wyobraźni jego fundatorów i budowniczych.

* * *

W początkach XX wieku w Łodzi mieszkało na stałe ponad 100 tysięcy ewangelików bezpośrednio związanych z przemysłem włókienniczym. Mimo znaczącej obecno-

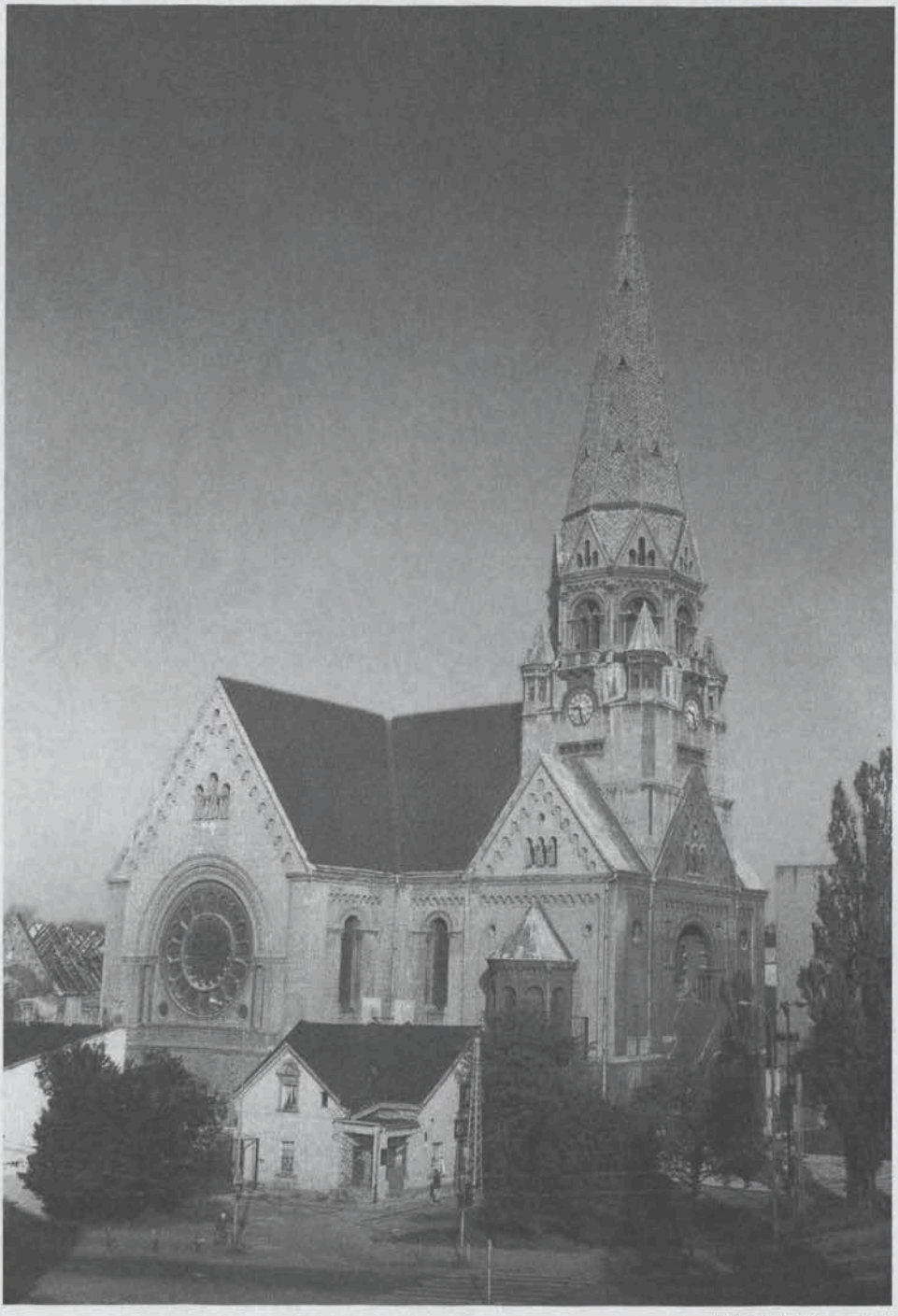

fot. Piotr Zdrzynicki

ści przedstawicieli innych wyznań, właściwie do roku 1939 ewangelicy stanowili dominującą grupę społeczno-gospodarczą w naszym mieście. Aktywność społeczna wielkich przemysłowców — ewangelików przejawiała się we wszystkich dziedzinach życia miasta. Założycielami niemal wszystkich stowarzyszeń, placówek zdrowia, komunikacji czy straży ogniowej byli znani łódzcy ewangelicy. Przez karty historii Łodzi stale przewijają się takie nazwiska jak: Geyer, Herbst, Scheibler, Jonscher i wiele innych.

Dzięki tym ludziom powstały doskonale zorganizowane szkoły, szpitale, teatry. Trzeba także podkreślić, że trzy z najokazalszych budowli sakralnych w Łodzi to kościoły ewangelickie: Świętej Trójcy na pl. Wolności, Świętego Jana na ul. Sienkiewicza, Świętego Mateusza u zbiegu ulic Piotrkowskiej i Czerwonej. Warto również przypomnieć, że dużą pomoc w budowie łódzkiej katedry rzymskokatolickiej nieśli ewangelicy, którzy wyłożyli spore kwoty na wykończenie tej świątyni.

Na specjalną uwagę zasługują fabrykanckie pałace i pałacyki, których w Łodzi jest wiele. Dziś znalazły one innych użytkowników, ale dzięki temu, że w murach pałaców znajdują się z reguły muzea, placówki kulturalne itp., znajdują się one w dobrym stanie materialnym. Niestety, z reguły zapomniano o skromnych choćby tablicach, przypominających kto zbudował i czyją był własnością ten czy inny budynek.

I wreszcie nekropolia — Stary Cmentarz Ewangelicki przy ul. Ogrodowej. Jeden z najstarszych cmentarzy łódzkich początkowo prezentował się raczej skromnie, ale z biegiem czasu, kiedy schodzili z tego świata członkowie możnych rodów, nagrobki nabrały urody architektonicznej i rzeźbiarskiej, według niektórych opinii równej niemal Powązkom. Zainteresownych odsyłam do bardzo interesującej publikacji pt. *Stary Cmentarz Ewangelicki w Łodzi* (autor K. Stefański, Wydawnictwo Ewangelickie św. Mateusza). Zawiera ona historię cmentarza, a także opis budowli nagrobnych, ze szczególnym uwzględnieniem okazałego mauzoleum rodziny Scheiblerów (dziś zdewastowanego i rozgrabionego).

* * *

Łódzcy fabrykanci wyznania ewangelickiego położyli ogromne zasługi dla rozwoju Łodzi, byli jej twórcami, a tym samym weszli na trwałe do historii naszego miasta. Dzisiaj często są to postaci nieznane, szczególnie młodemu pokoleniu łódzkiej społeczności. Warto więc przypomnieć choćby tylko najważniejszych spośród łódzkich ewangelików — animatorów życia społeczno-kulturalnego.

* **Biedermann Alfred** (1866—1936), absolwent Politechniki w Zurychu, tytuł doktora filozofii uzyskał na uczelni w Getyndze. Współzałożyciel Łódzkich Kolei Elektrycznych Dojazdowych oraz Kolei Elektrycznej Łodzi. Kawaler Orderu Polonia Restituta.

* **Biedermann Paweł** (1874—1944), przemysłowiec, wielki patriota polski. W październiku 1939 r., jako założyciel Komitetu Pomocy Polskim Więźniom Radogoszczy, uwięziony został przez okupanta.

* **Biedermann Brunon**, syn Roberta. Po wyzwoleniu Łodzi w styczniu 1945 r., gdy upaństwowiono jego fabrykę, a on sam otrzymał nakaz opuszczenia rodzinnego domu przy ul. Kilińskiego, wraz z żoną (więźniarką hitlerowskiego obozu na Radogoszczy) popełnił samobójstwo.

* **Eisert Karol** (1865—?), aktywny działacz społeczny, współzałożyciel „Domu Miłosierdzia" — szpitala ewangelickiego przy ul. Północnej (obecny szpital MSW).

* **Gehlig Otto** (1849—1917), majster ciesielski, przedsiębiorca budowlany, architekt. Wznosił w naszym mieście takie gmachy jak budynek dawnej Filharmonii przy ul. Narutowicza, budynek obecnej siedziby Urzędu Miasta, kościół Świętej Trójcy, przytułek dla starców (obecnie budynek Collegium Anatomicum Akademii Medycznej przy ul. Narutowicza).

* **Geyer Ludwig** (1805—1862), przemysłowiec, honorowy radny miasta, odznaczony orderem św. Stanisława III klasy, prezes Rady Opiekuńczej pierwszego w Łodzi szpitala św. Aleksandra.

* **Geyer Emil** (1848—1910), założyciel Łódzkiej Szkoły Rzemiosł oo. Salezjanów, inicjator budowy szpitala Pediatrycznego Anny Marii i pawilonów dla nerwowo chorych w Kochanówce. Współzałożyciel Straży Pożarnej, której był komendantem, współtwórca Towarzystwa Pogotowia Ratunkowego, wieloletni prezes Polskiego Towarzystwa Teatralnego w Warszawie.

* **Geyer Robert** (1888—1939), w czasie I wojny światowej organizator Milicji Obywatelskiej i jej komendant. Po zakończeniu wojny brał czynny udział w odbudowie zniszczonego przemysłu. W uznaniu za prowadzoną działalność nadano mu Krzyż Orderu Polonia Restituta. W 1939 r., po wkroczeniu Niemców do Łodzi, odmówił współpracy z hitlerowcami i został zamordowany we własnej willi przy ul. Piotrkowskiej 278 wraz z innym przemysłowcem Guido Johnem.

* **Grohman Henryk Karol** (1862—1939), wielki miłośnik sztuki. Założyciel łódzkiego Towarzystwa Muzycznego, mecenas orkiestry symfonicznej. Bezcenny egzemplarz skrzypiec Stradivariusa ofiarował państwu z przeznaczeniem, by „zagranie na tych skrzypcach było najwyższą nagrodą dla laureata państwowego".

* **Grohman Alfred Wilhelm** (1844—1934), działacz łódzkiego komitetu YMCA, fundator letnich kolonii dla dzieci pod Sulejowem. Odznaczony Krzyżem Orderu Polonia Restituta i Złotym Krzyżem Zasługi.

* **Gundlach Rudolf** (1850—1922), pastor parafii pod wezwaniem Świętej Trójcy w Łodzi. Działacz PCK i Towarzystwa Opieki nad Dziećmi, szczególną opieką otaczał dzieci z rodzin bezrobotnych i sieroty. Prezes Muzeum Sztuki i Nauki w Łodzi. Stale działał na rzecz aktywnej współpracy między ewangelikami i katolikami, między Polakami i Niemcami, łagodząc antagonizmy.

* **Jankau Jan**, wzniósł neoromański kościół Babtystów przy ul. Nawrot (do niedawna Dom Kultury Milicjanta), a także kościół Mariawitów przy ul. Franciszkańskiej.

* **Jonscher Karol** (1850—1907), lekarz — społecznik. Założyciel łódzkiego Chrześcijańskiego Towarzystwa Dobroczynności oraz Towarzystwa Lekarskiego.

Inicjator budowy pierwszego w Łodzi, a trzeciego w Polsce przyfabrycznego szpitala dla robotników (przy zakładach Scheiblera).

* **Kon Piotr** (1865—1939), adwokat, zasłynął jako obrońca działaczy robotniczych w procesach politycznych.

* **Linke Stefan** (1898—1918), uczeń gimnazjum Towarzystwa „Uczelnia" (dziś im. Kopernika). Jako ochotnik wstąpił do Polskiej Organizacji Wojskowej, zginął w listopadzie 1918 r. podczas rozbrajania Niemców.

* **Scheiblerowie**, cała wielka rodzina przemysłowców, która stanowi oddzielny rozdział w historii Łodzi.

* * *

Niewątpliwie zbiegowi okoliczności należy przypisać to, że lata kończące się cyfrą „6" znaczyły bardzo wiele dla rozwoju Kościoła ewangelickiego w Łodzi. I tak:

Rok 1826 to powstanie przy kościele Świętej Trójcy pierwszej parafii ewangelickiej w naszym mieście.

W 1886 r. otwarto przy ul. Sienkiewicza nowy kościół ewangelicki św. Jana, ufundowany przez Scheiblera.

Rok 1916 to założenie pierwszej pod zaborami organizacji kościelnej, Polskiego Chóru Ewangelickiego, prowadzonego przez Helenę Paszek.

W 1926 r. działacze parafii św. Jana — W. Keppe, S. Gundlach i K. Weil założyli Organizację Polaków Ewangelików. Dzięki tej organizacji odbywały się w kościołach św. Trójcy i św. Jana nabożeństwa w języku polskim.

23 listopada 1936 r. prezydent RP wydanym dekretem powołał polską parafię ewangelicką w Łodzi. Stało się to również dzięki staraniom OPE, a do parafii tej należeli m.in.. Biedermannowie, Geyerowie, Grohmanowie, Neugebauerowie i inni.

* * *

W ubiegłym roku w salach Muzeum Historii Miasta otwarto nader pouczającą wystawę. „Oby oni byli jedno" — pod takim tytułem organizatorzy ukazali wieloletnią koegzystencję trzech nacji, trzech wyznań, trzech kultur. To współistnienie wcale nie było usłane różami, m.in. dlatego, że część łodzian, rzymskich katolików, starając się bronić przed nadmiernymi wpływami ewangelików, których korzenie rodzinne były niemieckie, a także Żydów, których rola w mieście była niebagatelna, lansowała stereotyp: Niemiec — ewangelik, Polak — katolik, a Żyd to Żyd. Rzeczywistość była jednak bardziej skomplikowana, choćby z tego powodu, iż większość ewangelików Niemców mówiła w domu wyłącznie po polsku, chodziła do polskich szkół, niektórzy zasiadali w polskim Sejmie i Senacie, zajmowali wysokie stanowiska państwowe, by wreszcie w 1939 r. — jako Polacy — zginąć z rąk faszystów

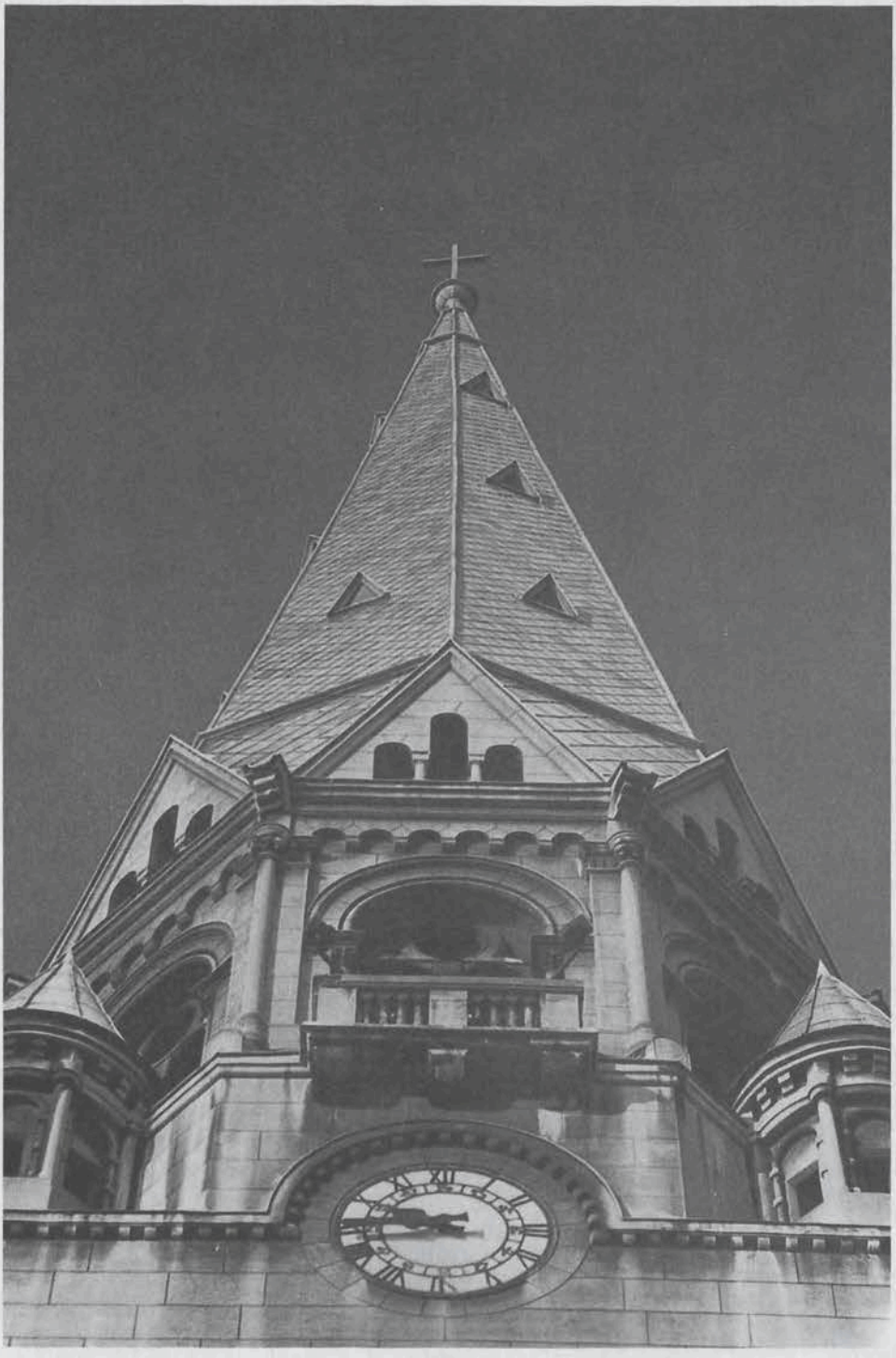

fot. Piotr Zdrzynicki

niemieckich. W tym samym czasie wielu Niemców — katolików przyjmowało volkslisty i przechodziło na stronę wroga.

Polska parafia ewangelicka w Łodzi przestała istnieć w czasie II wojny światowej. Jej księża i parafianie uznani zostali przez hitlerowców za „zdrajców III Rzeszy". Z kolei po wkroczeniu do Łodzi Armii Czerwonej NKWD wyłapywało tych ewangelików, których z powodu niemieckich nazwisk uznało za zdrajców Polski Ludowej. W tak trudnej sytuacji wielu ewangelików decydowało się na wyjazd z Polski, mimo że wcale nie czuli się Niemcami. Wielu, przyjmując postawę obronną, przestało pokazywać się publicznie. Kto wie, czy nie był to najbardziej tragiczny okres dla łódzkiej społeczności — nazwijmy ją — „niekatolickiej".

* * *

W 1996 r. mała liczebnie parafia ewangelicka św. Mateusza jest złożona wyłącznie z Polaków. Parafia jest biedna, bowiem wielkie fortuny fabrykanckie zostały roztrwonione przez poprzednią formację polityczną. Miło jednak popatrzeć np. na pałac Herbsta (dziś oddział Muzeum Sztuki), który daje nam obraz tego, co było w Łodzi ewangelickie, a co, jak się wydaje, bezpowrotnie minęło.

Co nam, ewangelikom, pozostaje? Pozostaje działalność Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego, założonego w roku 1919. Celem Towarzystwa jest zachowanie pamiątek i historii polskiego protestantyzmu, któremu na imię ewangelicyzm. Towarzystwo skupia w swoich szeregach wielu światłych ludzi — profesorów, lekarzy, historyków itp.

To właśnie staraniem Towarzystwa wydany został album *Stary Cmentarz Ewangelicki w Łodzi*, który stanowi kopalnię wiedzy o ludziach naszego miasta, ludziach, którzy to miasto budowali i kształtowali. Album dostał „Złoty Exlibris" za najlepsze wydawnictwo roku w Łodzi.

To dzięki staraniom Towarzystwa powstało w Mikołajkach jedyne w Europie Muzeum Reformacji w Polsce.

Na mocy decyzji II Światowego Zjazdu Ewangelików Polaków, który miał miejsce we wrześniu br. w Warszawie i w Wiśle, Polskie Towarzystwo Ewangelickie przejmie całe archiwum i dokumenty ruchu społecznego ewangelików Polaków na świecie od 1939 do 1996 roku. Jest to ogromne źródło wiedzy, mogące stać się podstawą wielu prac naukowych. Dobrze byłoby mieć takie archiwum w Łodzi. I jest to sprawa otwarta.

Z dużym zadowoleniem Polskie Towarzystwo Ewangelickie przyjęło wiadomość o ufundowaniu pomnika Józefa Piłsudskiego. Dołożymy do jego budowy swoją cegiełkę. Jest to bowiem także mało, lub prawie wcale nieznany w Łodzi epizod ewangelicki. Otóż Józef Piłsudski (na co są wiarygodne dokumenty) był ochrzczony i konfirmowany w obrządku ewangelicko-augsburskim w parafii w Łomży. Ożenił się także w tej parafii z parafianką, ewangeliczką. A przy okazji — kto dziś wie, że

spośród bardzo ważnych osobistości naszego kraju (tylko z okresu II wojny światowej) ewangelikami byli: minister Józef Beck, prezydent Warszawy Stefan Starzyński, obrońca Warszawy generał Juliusz Rómmel, dowódca polskich sił zbrojnych na Zachodzie generał Władysław Anders.

* * *

Nasze zadanie jako ewangelików Polaków polega na budowaniu razem z innymi wspólnego domu — Polski. Domu — w którym będzie panowała zgoda, w którym jest miejsce dla każdego Polaka, bez względu na jego wyznanie.

My, ewangelicy, chcielibyśmy swoją postawą obywatelską i pracą przyczynić się do tego wspólnego dzieła. Prorok Jeremiasz zachęca nas: „Starajcie się o pomyślność miasta (...) i módlcie się za nie do Pana, bo od jego pomyślności zależy wasza pomyślność" (Jr 29, 7—11).

* * *

Rok 1996 rozpoczyna w naszym ewangelickim życiu nowy etap. Po raz pierwszy bowiem w historii Kościoła Łódź stała się siedzibą ewangelickiego biskupa diecezji warszawskiej. Podnosi to rangę naszej parafii św. Mateusza. Łódź na takie wyróżnienie zasługiwała od dawna, ale zawsze zwierzchnik diecezji po wyborach osiedlał się w Warszawie. Teraz stało się inaczej. Biskup diecezji warszawskiej ks. Mieczysław Cieślar objął probostwo parafii i po wyborach biskupich pozostał w naszym mieście.

Dwie wspaniałe budowle sakralne: rzymskokatolicka katedra i kościół ewangelicki św. Mateusza, znajdujące się w bezpośredniej bliskości przy ul. Piotrkowskiej, mogą stać się symbolem dobrosąsiedzkich stosunków i kontaktów ekumenicznych w naszym mieście.

---

* **Andrzej Wojciechowski** — członek Polskiego Towarzystwa Ewangelickiego

Łódź, to wielka przygoda
i miasto niezwykłe
— mówią łódzcy Niemcy

MIECZYSŁAW GUMOLA

Gimnazjum

Logo Łódzkiego Gimnazjum Niemieckiego

W 1906 r. powstało Niemieckie Gimnazjum Realne, które mieściło się w wynajętym budynku. Ale niemieccy fabrykanci postanowili wznieść szkołę z prawdziwego zdarzenia. W krótkim czasie zebrano ogromną sumę — 800.000 rubli. Na czele komitetu budowy stanął znany przemysłowiec Ernst Leonhardt. Berliński architekt Carl Hernring wykonał projekt gmachu, a jego wzniesienie powierzono łódzkiej firmie budowlanej „Nestler i Ferrenbach". 15 września 1910 r. w budynku przy ul. Kościuszki 65 (dawniej Spacerowa) zainaugurowano zajęcia Niemieckiego Gimnazjum. Rok później uczyło się tu — 311 Niemców, 64 Żydów, 2 Francuzów, 2 Czechów i 1 Polak.

Budynek Łódzkiego Gimnazjum Niemieckiego, 1910

Rozkwit

Do 1914 r. szkoła rozwijała się pomyślnie. Po wybuchu I Wojny Światowej, przez kilka miesięcy mieścił się w niej niemiecki szpital wojskowy. Ale wkrótce zajęcia przywrócono.

W Polsce niepodległej (1918—1939) niemieckie gimnazjum przeżywało swoje najlepsze lata. W 1927 r. miało 1068 uczniów i uczennic i było jednym z największych poza granicami Niemiec. Dla porównania, inne gimnazja niemieckie liczyły wtedy: w Barcelonie — 364 uczniów, w Budapeszcie — 452, w Amsterdamie — 216, w Kopenhadze — 391 uczniów.

Łódzkie gimnazjum było prywatne i tym samym nie dla wszystkich dostępne. Dzieci z uboższych rodzin niemieckich uczęszczały więc do szkół polskich, np. Karl Dedecius ukończył polskie Liceum i Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego. A co ciekawe, Ija Lazari-Pawłowska, późniejsza profesor Uniwersytetu Łódzkiego, w szkole niemieckiej zdała maturę.

Niemieckie gimnazjum, głównie poprzez lekcje języka polskiego i historii wprowadzało swoich wychowanków również w krąg kultury polskiej. Jego absolwenci do dziś potrafią recytować wiersze Mickiewicza i Słowackiego, znają *Wesele* Wyspiańskiego i mają w swoich bibliotekach powieści Sienkiewicza, Żeromskiego czy Reymonta.

W niemieckich publikacjach poświęconych gimnazjum z sympatią wymienia się polskich nauczycieli: polonistów — Jaworskiego, Kalisza, Kowalskiego, Jakubowskiego i historyków — Dubasa i Wodzińskiego. Szczególnym szacunkiem otaczany jest polski dyrektor gimnazjum Władysław Głuchowski. Uznaje się go za świetnego pedagoga, humanistę i patriotę. Już podczas okupacji, w październiku 1939 r., niemieccy nauczyciele napisali dla niego specjalne podziękowanie. Liczyli, że przyda mu się po zwolnieniu z pracy. Władysław Głuchowski był później nauczycielem tajnego nauczania w Warszawie, a po wojnie kimś wielce zasłużonym dla polskiej oświaty. Dożył sędziwego wieku — ponad 100 lat. W latach siedemdziesiątych, zarówno w swoim domu w Warszawie, jak i w Republice Federalnej Niemiec spotykał się ze swoimi niemieckimi wychowankami.

Nim wybuchła wojna

Obraz niemieckiego gimnazjum ma w świadomości łodzian różne barwy. Do wybuchu I wojny światowej i później, w latach dwudziestych i do połowy lat trzydziestych, było szkołą podobną innym. Spotykano się na uroczystościach państwowych, na pływalni YMCA, rozgrywano mecze sportowe, nawiązywały się znajomości i sympatie polsko-niemieckie. Zresztą w Łodzi, mieście wówczas wielonarodowym, nie tyle liczyła się przynależność etniczna i wyznaniowa, co pozycja finansowa. Każdy kto żył w Łodzi, mógł czuć się łodzianinem.

W połowie lat trzydziestych wystąpiły napięcia w stosunkach polsko-niemieckich. Dotknęły one również gimnazjum, z którego część nauczycieli stanęła przed sądem i otrzymała okresowy zakaz pracy. Do znamiennego wydarzenia doszło 9 kwietnia 1933 r., w Niedzielę Palmową. Tłum łodzian zaatakował gmachy niemieckie w śródmieściu Łodzi. W szkole przy ul. Kościuszki 65 poleciały szyby. Wstawiono je jeszcze tego samego dnia i zajęcia rozpoczęły się bez żadnych opóźnień. Odtąd właśnie jej dyrektorami byli Polacy — Franciszek Michejda i wspomniany już Władysław Głuchowski. Dzięki ich rozsądkowi i wyobraźni udało się przywrócić poprawną atmosferę pomiędzy polską Łodzią i niemieckim gimnazjum, aż do spokojnego zakończenia roku szkolnego 1938/39.

Okupacyjne piekło

W październiku 1939 r. okupacyjne władze niemieckie przejęły gimnazjum. Jeden z jego wychowanków Jürgen Oberländer tak to określił: „Wam okupanci zabrali Polskę, nam nasze prywatne gimnazjum". Rozwiązano Zarząd i nadano szkole imię nieznanego nikomu generała von Briesena. Pojawił się nowy dyrektor z Rzeszy, zwolniono też większość nauczycieli, w tym rownież łódzkich Niemców. Niemieckie prywatne gimnazjum przestało istnieć. Nową szkołę, która budziła odtąd niechęć i strach, łodzianie omijali z daleka. Ostatnia matura odbyła się tam w kwietniu 1943 r. Później prowadzono jeszcze zajęcia, ale już nieregularnie, wreszcie budynek przejął Wehrmacht.

Ponure lata okupacji zostawiły trwały ślad w pamięci łodzian i w tym sensie przekreśliły dorobek tej świetnej szkoły. Kiedy w 1956 r. w bawarskim kurorcie Weinheim, w 50. rocznicę utworzenia gimnazjum odbył się zjazd absolwentów, w naszym mieście potraktowano go jako imprezę rewizjonistyczną.

Koleżeńskie zjazdy

Tymczasem wychowankowie dawnego gimnazjum, a także innych szkół niemieckich z Polski środkowej, na wspomnianym spotkaniu nie poprzestali. Drugi zjazd szkolny odbył się w 1966 r. w Kassel, następne w 1971 — w Düsseldorfie, w 1974 — w Hanowerze, w 1977 — w Monachium. Tam też powołano Stowarzyszenie byłych Wychowanków Łódzkiego Niemieckiego Gimnazjum — Kuratorium für das Lodzer Deutsche Gymnasium. Stowarzyszenie zorganizowało 8 kolejnych zjazdów — wszystkie w pięknym Heidelbergu nad Neckarem.

Całkiem niedawno (25—27 kwietnia 1996 r.) odbył się tam XIII zjazd, na którym, wzorem poprzednich, nie zabrakło akcentów polskich. Główny referat poświęcono prof. Iji Lazari-Pawłowskiej, wielkiej uczonej i humanistce. Wygłosiła go jej uczennica Anna Grochocka, od lat mieszkająca w Niemczech.

Entwertet!
Lodz, d. 22. Dez. 1916
DIE STADTHAUPTKASSE
beglaubigt
Reissner
Kontrol.

Ernennungsurkunde.

In Bestätigung der vom Magistrat und der Schuldeputation der Stadt Lodz getroffenen Wahl ernenne ich Sie hiermit zum Lehrer — ~~zur Lehrerin~~ — an den städtischen öffentlichen Volksschulen in Lodz.

Die Ernennung erfolgt auf Grund der Verordnung des Herrn Oberbefehlshabers Ost, betreffend Regelung des Schulwesens, vom 24. August 1915 (V. Bl. S. 226), deren Vorschriften für Sie bindend sind.

Den auf Grund dieser Verordnung bereits ergangenen oder künftig ergehenden allgemeinen und besonderen Anordnungen der Schulaufsichtsbehörden haben Sie unbedingt Folge zu leisten.

Lodz, den 14.November 1916.

Der Kaiserlich Deutsche Polizei-Präsident.

Der Kais. Deutsche Polizeipräsident in Lodz.

Nominacja nauczycielska, 1916

Świadectwo.
Zeugnis.

Niniejszym zaświadcza się, że

p. *Szerling Benjamin*

uczęszczał na lekcje

pedagogiki	od *8.I.1917* do *1.VI.1918*
jęz. niemieckiego	„ *8.I.1917* „ *1.VI.1918*
jęz. polskiego	„ *1.XII.1917* „ *1.VI.1918*
historji	„ — „ —
geografji	„ — „ —
matematyki	„ *8.I.1917* „ *1.VI.1917*
przyrodoznawstwa	„ *1.XII.1917* „ *1.VI.1918*
rysunków	„ *1.XII.1917* „ *1.VI.1918*

przy kursach pedagogicznych, zorganizowanych przez Łodzką Delegację Szkolną.

Hierdurch wird bescheinigt, daß

Herr ~~Frl.~~ *Scheerling Benjamin*

an den von der städtischen Schuldeputation veranstalteten wissenschaftlichen Fortbildungskursen und zwar in

Pädagogik	vom *8.I.* 19*17* bis *1.VI.* 19*18*
Deutsch	„ *8.I.* 19*17* „ *1.VI.* 19*18*
Polnisch	„ *1.XII.* 19*17* „ *1.VI.* 19*18*
Geschichte	„ — 19 „ — 19
Erdkunde	„ — 19 „ — 19
Mathematik	„ *8.I.1917* 19 „ *1.VI.* 19*17*
Naturkunde	„ *1.XII.* 19*17* „ *1.VI.* 19*18*
Zeichnen	„ *1.XII.* 19*17* „ *1.VI.* 19*18*

teilgenommen hat.

Łódź, dnia *1.* czerwca 19*18* r.
Lodz, den *1.* Juni 19*18*

Inspektor Szkolny okręgowy m. Łodzi:
Der Kreisschulinspektor der Stadt Lodz:

Nauczyciele:
Die Lehrer:

Świadectwem innych czasów i ożywionych kontaktów z Łodzią były życzenia przesłane uczestnikom zjazdu. Skierowali je m.in. wychowankowie Gimnazjum im. J. Piłsudskiego, profesorowie Ośrodka Badań Niemcoznawczych UŁ i dziekan wydziału filologicznego naszego uniwersytetu.

Pomimo upływu lat liczba uczestników spotkań nie maleje, uczestniczy w nich na ogół 350-400 osób, życzliwych Polsce i Łodzi. W ostatnich latach dołączyli do nich dawni wychowankowie z byłej NRD, którzy kiedyś ze względów politycznych w tych spotkaniach nie mogli uczestniczyć.

Bliżej siebie

Wychowankowie niemieckiego gimnazjum coraz częściej odwiedzają swoje rodzinne miasto. Mają w nim wielu znajomych i przyjaciół. Wszystko zaczęło się w 1992 r. od zaproszenia absolwentów dawnego Gimnazjum im. J. Piłsudskiego do Heidelberga. Ci z kolei zrewanżowali się zaproszeniem na swój jubileusz. Zbiegł on się ze Światowym Spotkaniem Łodzian, w którym udział wzięli m.in. Eugen Gradus i Jurgen Oberländer — wychowankowie niemieckiego gimnazjum. Następny kontakt dotyczył również III LO przy ul. Sienkiewicza (dawne Gimnazjum im. J. Piłsudskiego). Na prośbę dyrektora liceum Marka Kaczorowskiego, byli niemieccy gimnazjaliści zwrócili się do Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej popierając wniosek dyrekcji szkoły o przyznanie przez Fundację środków na remont budynku szkoły. Oto fragment ich pisma: „Od czasu otwarcia granicy i zaproszenia nas na światowe spotkanie łodzian otwarły się dla nas znowu możliwości kontaktowania z władzami, instytucjami i szkołami naszego rodzinnego miasta. Dawni uczniowie Gimnazjum Józefa Piłsudskiego byli pierwszymi naszymi kolegami szkolnymi, z którymi odnowiliśmy znajomości. Zostaliśmy przez nich serdecznie zaproszeni i uczestniczyliśmy w 75-leciu ich szkoły. Przy tegorocznych odwiedzinach Łodzi byliśmy znowu w dawnym Gimnazjum im. Piłsudskiego i dowiedzieliśmy się o wniosku złożonym do Fundacji w sprawie ratowania budynku szkolnego o wielkich tradycjach, zachowanego przyjaźnie w naszej pamięci w okresie lat szkolnych. Pragniemy jak najserdeczniej wesprzeć ten projekt i będziemy uradowani, jeżeli starania naszych dawnych kolegów szkolnych zostaną pozytywnie rozpatrzone przez Fundację".

Warto dodać, że w maju 1996 r. Fundacja przekazała 10 miliardów starych zł dla III LO. Ten „zastrzyk finansowy" pozwoli wrócić szkole do jej dawnej siedziby w parku Sienkiewicza. Dyrektor i uczniowie nie wyobrażają sobie, by przy tej okazji zabrakło ich niemieckich przyjaciół.

Przypomniana historia

W maju 1994 r. Stowarzyszenie byłych Wychowanków Łódzkiego Niemieckiego Gimnazjum zorganizowało w Klubie Nauczyciela wystawę prac przedwojennych

malarzy niemieckich. W jej otwarciu wziął udział i prelekcję wygłosił Jürgen Oberländer. Goście z Niemiec przekazali też Bibliotece Miejskiej im J. Piłsudskiego unikalne materiały fotograficzne obrazujące historię niemieckiego gimnazjum w Łodzi i innych szkół niemieckich w Polsce centralnej. Nawiązali kontakty z Ośrodkiem Badań Niemcoznawczych, które zaowocowały w listopadzie 1995 konferencją naukową na temat „Niemcy w Łodzi 1823—1939", ta z kolei specjalnym wydawnictwem *Niemcy w Łodzi*. Ponadto Jürgen Oberländer opublikował swoje wspomnienie o Łodzi lat dwudziestych w miesięczniku „Tygiel Kultury".

Niemieccy uczestnicy konferencji spotkali się też z prezydentem Łodzi Markiem Czekalskim i ówczesnym rektorem Uniwersytetu Łódzkiego prof. Michałem Seweryńskim.

Wszystko dla Łodzi

Nawiązane kontakty, co warto podkreślić, rozwijają się dalej. We wrześniu 1996 r. przebywała w Łodzi 12-osobowa grupa dawnych niemieckich gimnazjalistów z Niemiec, Stanów Zjednoczonych i Szwajcarii. Była to dla nich przede wszystkim podróż sentymentalna, ale spotkali się też z przedstawicielami instytucji naukowych naszego miasta.

Stowarzyszenie byłych Wychowanków Łódzkiego Niemieckiego Gimnazjum przygotowuje specjalny numer ich biuletynu, poświęcony przeobrażeniom współczesnej Łodzi. Biuletyn, który dociera do 1500 osób na pięciu kontynentach, ma promować Łódź i zachęcać do współpracy z nią w różnych dziedzinach. Do tej współpracy absolwenci gimnazjum pragną w szerszym niż dotychczas stopniu zachęcić swoje dzieci, wnuków, znajomych i przyjaciół.

„Łódź to wielka przygoda i miasto niezwykłe" — mówią i piszą niemieccy gimnazjaliści z naszego miasta. Oni je prawdziwie kochają i chcą tę miłość przekazać innym. Tacy już są. Dziwni ludzie. Lodzermensche.

Dedecius w Łodzi

Przyjechał 19 czerwca 1996 r. na zaproszenie prezydenta Łodzi Marka Czekalskiego. Przyjechał, by w swoim rodzinnym mieście obchodzić jubileusz 75. rocznicy urodzin.

Wielkim wydarzeniem tych obchodów była Noc Poetów zorganizowana 21 czerwca w Ogrodach Pałacu Poznańskich z udziałem takich znakomitości polskiej poezji jak: Wisława Szymborska, Urszula Kozioł i Ryszard Krynicki. Okolicznościowe telegramy nadesłali: Aleksander Gieysztor, Artur Międzyrzecki, Czesław Miłosz i Andrzej Wajda.

Witając Jubilata prezydent Marek Czekalski powiedział m.in.: „Jest Pan dla nas wielkim łodzianinem, człowiekiem, który najpełniej odczytał ducha wielokulturowego miasta, jakim Łódź niegdyś była. Połączył Pan dwa narody i dwie kultury: polską i niemiecką. I co najcenniejsze, owo połączenie dokonało się na najczystszej ze strun, poprzez poezję".

Właśnie do poetów, a zwłaszcza z najmłodszego pokolenia, zwrócił się Karl Dedecius. Powiedział: „Za wzór wszystkich poetów uważany jest chyba z dawien dawna Quintus Horatius Flaccus. Szacunek dla rzymskiego poety i teoretyka zachęca, by jeszcze raz wyciągnąć ze szkolnego łódzkiego tornistra i przewertować *Ars poetica* Horacego, poemat o sztuce poetyckiej. Tak więc po przeszło 55 latach wracam do lektury *Ars Poetica*, żeby z obfitości pięknych wierszy, obrazów, analiz Horacego wydestylować dziesięć istotnych maksym. Przytaczam je skrócone i w wolnym, prościutkim przekładzie prozą (...) Dziesięć zaleceń wyjętych z 311 wierszy Horacego, które przede wszystkim chciałbym sam sobie wziąć do serca, ale i rekomendować, młodym i bardzo młodym poetom. Oto one:

1. Dzieło może być jakie chce, byleby było zwarte i jednolite.
2. Ukazuj rzeczy w nowy sposób. Twórz nowe pojęcia rzeczy. Wzbogacaj swój język ojczysty.

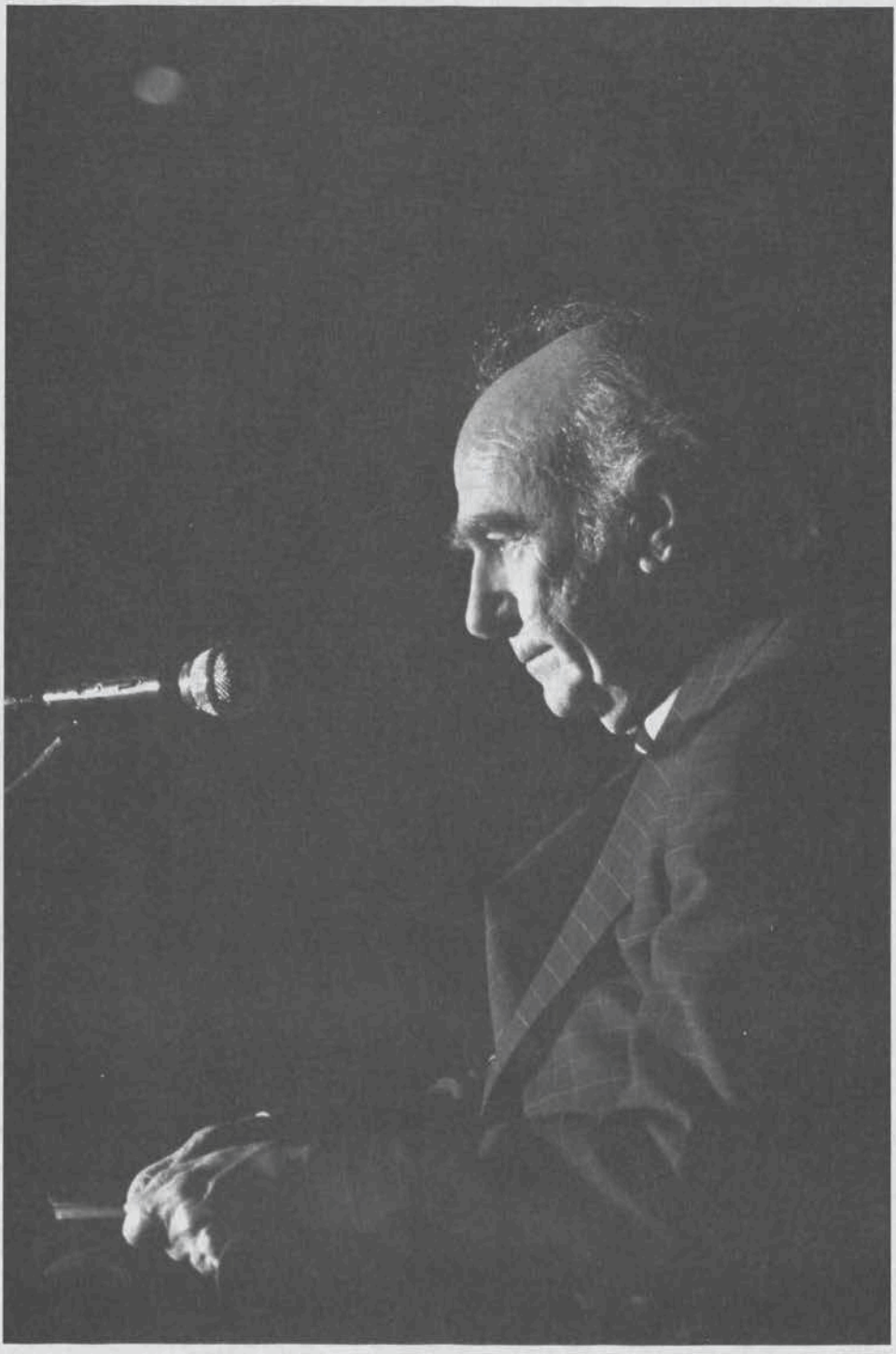

fot. Piotr Zdrzynicki

3. Nie wystarczy żeby dzieła poetyckie były piękne: niech będą również z korzyścią dla umysłu i serca.
4. Stawiaj sobie trudne, niecodzienne cele; rzeczy ogólne wyraź indywidualnie, indywidualne zaś uczyń ogólnymi.
5. Nie pozwalaj sobie nigdy na gadulstwo. Niedbała sztuka jest pozbawiona godności. Unikaj źle skomponowanej poezji.
6. Naucz się odróżniać dobry dowcip od niesmacznego.
7. Nie zniechęcaj się czasochłonnym trudem „piłowania". Sprawdzaj, skracaj, poprawiaj, poleruj. Po dziesięć razy, przez wiele dni.
8. Miana poety nie osiąga się dzięki nieobcinaniu paznokci, zapuszczaniu brody i włosów, unikaniu kąpieli czy oddawaniu się szaleństwu melancholii.
9. Dobre pisanie zakłada dobre rozumienie.
10. Sam talent nie wystarczy, samo wykształcenie też nie wystarczy. Poezja wymaga jednego i drugiego. Talentu żądnego wiedzy i żądzy wiedzy popartej talentem. Nie mówiąc już o gotowości do poświęceń, pilności i trudu".

Okazji do porównania, jak współcześni poeci odnoszą się do przesłania mistrza, dostarczył Turniej Jednego Wiersza o Laur Karla Dedeciusa. Z 246 nadesłanych prac do finału wybrano 10. Jury w składzie: Zdzisław Jaskuła (przewodniczący), Krzysztof Karasek, Wojciech Ligęza, Jerzy Poradecki, Lucyna Skompska, przyznało Nagrodę Główną i Laur Karla Dedeciusa Maciejowi Niemcowi z Paryża, zaś dwa wyróżnienia — Krzysztofowi Fedorowiczowi z Zielonej Góry i Adamowi Wiedemanowi z Grabowa.

Podczas Nocy Poezji z Karlem Dedeciusem w koncercie poezji śpiewanej wystąpili: Wanda Warska z Andrzejem Kurylewiczem, Stanisław Sojka, Elżbieta Adamiak i Dorota Koman. Natomiast Tomasz Guz, z dachu pałacu, wykonał na skrzypcach *Marzenie* Schumanna.

Udziałem w Nocy Poetów Karl Dedecius zakończył krótki pobyt w Łodzi. Wcześniej spotkał się z kolegami z przedwojennego Gimnazjum im. Stefana Żeromskiego, odwiedził łódzkie uczelnie artystyczne, gdzie powitali go ich rektorzy i studenci. Był gościem Ośrodka Badań Niemcoznawczych Uniwersytetu Łódzkiego, w którym przewodniczył zebraniu Rady Naukowej. Wreszcie w Archiwum Miasta otrzymał kopie dokumentów rodzinnych. Wzruszony Dedecius powiedział: „Teraz mam dowody na to, że jestem prawdziwym łodzianinem".

Karl Dedecius więcej zdziałał dla kultury polskiej, niż całe Ministerstwo Kultury i Sztuki.

TADEUSZ NOWAKOWSKI

Most z książek

Obecność naszego gościa zawdzięczamy pewnemu incydentowi, opisanemu dość dokładnie w Starym Testamencie. Strach pomyśleć, co by było, gdyby. Gdyby budowa wieży Babel doszła szczęśliwie do skutku, w wyniku czego, strach pomyśleć, nie doszłoby do pomieszania języków, władalibyśmy wszyscy jakąś ujednoliconą *linqua mundi*, a co gorsza rzesze tłumaczy, z translatorem doskonałym Karlem Dedeciusem, tłumaczem nie mającym sobie równego, byłyby skazane na bezużyteczność. Jaka to ponura wizja, na szczęście stało się inaczej, tłumaczom bezrobocie nie zagraża.

Karol Wielki sztuki pięknego przekładu urodził się w Łodzi, czym dobitnie zaprzeczył niedorzecznemu porzekadłu, że kto z Łodzi pochodzi, ten sam sobie szkodzi. Dodajmy jeszcze, że ta Ziemia Obiecana, tak ją nazywał Władysław Reymont, wydała Artura Rubinsteina i Juliana Tuwima oraz wielu obecnych na tej sali. Młody Dedecius, uczeń polskiego liceum, nie wyrastał zatem na kulturalnym ugorze. Sadze fabrycznego miasta nie przysłaniały słońca poezji. Dramatyczne przypadłości biograficzne sprawiły, że w czasie wojny dostał się do sowieckiej niewoli i zetknął się w ten sposób z kulturą rosyjską, co zaowocowało później przekładami poezji Jesienina i Majakowskiego. Kto zajmuje się losami apollińskiej rzeczy na Bałkanach, ten wie, ile liryk Vasco Popa zawdzięcza Karlowi Dedeciusowi, który przełożył jego utwory z serbsko-chorwackiego na język niemiecki.

Ale prawo jazdy na Pegazie, prawo stałego pobytu na Parnasie obu narodów, zdobył sobie nasz utalentowany Łodzianin przede wszystkim jako tłumacz i wytrwały promotor literatury polskiej. Zasługę tę uznano w Polsce i w Niemczech, obdarzając Dedeciusa licznymi laurami, honorowymi doktoratami, profesurami, by wspomieć m.in. o nagrodzie PEN-Clubu czy o Nagrodzie Wydawców i Księgarzy, zwanej popularnie Pół-Noblem, przyznawanej co roku na Frankfurckich Targach Książki. Tutaj warto wprost przypomnieć, że nagroda ta nosi charakter ideowo-promieniotwórczy, służy porozumieniu między narodami. Na liście laureatów znajdujemy m.in. Janusza Korczaka, Leszka Kołakowskiego, Władysława Bartoszewskiego.

Literatura nasza nie jest dostatecznie znana w świecie, chociaż Mikołaj Rej z Nagłowic cieszył się, że nie gęgamy jak gęsi, lecz swój własny język mamy, do polonizacji naszej planety jeszcze daleko. Przykre, ale prawdziwe — język polski językiem światowym nie jest. Potrzebni nam są wobec tego uczynni pośrednicy, potrzebni nam są *amici poloniae*. Imponujący i wielostronny jest trud Dedeciusa w służbie książki jako wartości ponadnarodowej i ponadczasowej. Obok przekładów, często kongenialnych, wyróżnić należy jego eseje poetologiczne, wsparte bogatą praktyką translatorską i z tą szkołą interpretacji, szkołą słuchu poetyckiego. Ponadto warto zauważyć, że wnikliwa znajomość materii nieomylnych ust *this is a mater of experience* — pisał Elliot, w połączeniu z inwencją impresaria, towarzyszą działalności edytorskiej Karla Dedeciusa.

Pionierska Biblioteka Polska, seria wydawnictw przy pomocy Suhrkamp Verlag, przybliża czytelnikom niemieckiego obszaru językowego naszych klasyków, naszych półklasyków, twórców współczesnych, a także mniej znane polonika. Opracowane przez Dedeciusa antologie poezji i prozy wieku XX są wydarzeniem wielkiej miary. Można mówić tutaj o wydarzeniu pomnikowym. Te antologie nie mają sobie równych. Gdy inni wyperfumowanym barytonem deklamują o potrzebie zbliżenia i wymianie kulturalnej, Dedecius buduje most z książek, trwalszy nad koniunktury czasu, nad koniunktury barometra i kalendarza. Książki, a zwłaszcza wiersze, jak wiemy, żyją dłużej niż ustroje. Jako założyciel i główny dyrygent polsko-niemieckiego Instytutu, a właściwie Polen-Institut w Darmstadzie, mówiąc językiem Mickiewicza, Karl Dedecius wyprawia nieustanne poselstwo kultury polskiej przed obliczem świata. Nie podobało się kiedyś moim znajomym na Krakowskim Przedmieściu, gdy napisałem, że jeden Dedecius więcej zdziałał dla kultury polskiej niż całe Ministerstwo Kultury i Sztuki w Warszawie.

Karl Dedecius, tłumacz z powołania, entuzjasta dobrej roboty, przyczynił się do krzewienia prawdy o Polsce. A mianowicie w tym okresie historii, kiedy złe wspomnienia jeszcze się nie zabliźniły i przeważało fatalistyczne przekonanie, że jak świat światem... Płonące schroniska azylantów nie sprzyjały akcji oświeceniowej. Wiedząc, że ignorancja sprzyja ksenofobii i nietolerancji, wskazywał na dawne, nie wszystkim znane związki kulturalne między sąsiadami, na godną przypomnienia tradycję współżycia. Przezwyciężanie przeszłości nie jest zadaniem łatwym, wymaga cierpliwości, optymizmu, jest bowiem długotrwałym procesem. Pierwsze jaskółki nie tworzą wprawdzie wiosny, ale z pewnością ją zapowiadają.

Myślę, że od czasu, kiedy Karl Dedecius zajmuje się literaturą polską, nie można już mówić o białej plamie na mapie Europy. Recepcja naszej literatury wrasta w świadomość współczesnej Europy. Znaczny w tym, jak już powiedziałem, udział naszego Artifeksa. W okresie wolnościowego polskiego października i wolnościowego eposu „Solidarności", na rynku wydawniczym w RFN zanotowano zjawisko tzw. Polnische Welle, zjawisko — dodajmy — nieporównywalne z zeszłowieczną, słomianą, jak się później okazało, euforią *Polenlieder* i *Hambacher Fest*. Ale niewątpliwie poszerzające wiedzę o krainie leżącej tuż za miedzą. Tłumaczyć z polskie-

go na niemiecki nie jest łatwo. Nasz język ma swój szczególny aromat, nie zawsze uchwytny dla cudzoziemca. Sama dosłowność przekładu nie wystarczy. Potrzebny jest fenomen *Wahlverwandschaft* — pokrewieństwa z wyboru. Tłumacz tłumaczowi nierówny. Są tacy, którzy zasiadają z autorem do fortepianu, by koncertować na dwie ręce. Są także wyrobnicy zadawalający się *Finanzamt-Deutsch* i są nawet antytłumacze, którzy barwnego pawia przepuszczają przez pralnię chemiczną, aby zamienić go w oskubanego wróbla (nazwisko i adres znane redakcji).

Który język powinno się znać lepiej — ten, z którego się przekłada, czy ten, na który się przekłada? Mogę służyć dowodami, że tłumaczenie czasem bywa lepsze od oryginału. Na przykład niemiecki przekład *Chłopów* Reymonta, dzieło wieńczone nagrodą literacką Nobla. Tadeusz Boy Żeleński, który sprawił, że Wisła stała się dopływem Sekwany, w mistrzowski sposób opanował oba języki, ale przede wszystkim olśnił wszystkich polszczyzną swojego przekładu. Podziwiano u nas poetę, który błysnął znajomością języka naszego, mianowicie Paula Cazin, tłumacza *Pana Tadeusza*. Znał on język chłopa polskiego. Gdy któregoś dnia na wiejskiej drodze pod Łowiczem dopadł go warczący kundel, Francuz zawołał bezbłędnie: „A pójdzies ty psia jucho!" Myślę, że i pan Karol w podobnej sytuacji uporałby się z agresywnym czworonogiem. (Warto przy okazji sprawdzić.) Tu wtrącę, że od dawna, znamy się przeszło trzydzieści lat, namawiam pana Karola, żeby uwieńczył swój imponujący dorobek przekładem *Pana Tadeusza* na język niemiecki. Jest tych przekładów kilkanaście, jest nawet jeden heksametrem, ale brak ciągle tłumaczenia doskonałego, takiego wyróżnionego stemplem „made by Dedecius".

Nie chciałbym tych uwielbień, tak brzmi po polsku „laudatio" zamieniać w spis ludności czy książkę telefoniczną, wspomnę jednak, że jako tłumacz, recenzent i komentator, Karl Dedecius nie szczędził uwagi ani bardowi rewolucji, ani poecie na papieskim tronie. Liczy się dlań lutnia Orfea i czystość jej struny. Bruno Schulz, Leopold Staff, Bolesław Leśmian, Julian Tuwim, Czesław Miłosz, Mieczysław Jastrun, Zbigniew Bieńkowski, Adam Ważyk, dalej, Marek Hłasko, Tadeusz Konwicki, Witold Gombrowicz, Jerzy Andrzejewski, Julia Hartwig, Urszula Kozioł, Artur Międzyrzecki, Władysław Terlecki, Jan Józef Szczepański, słowem: *variatio delectat*. Poezja — odwieczny oddech duszy, puklerz przed przemijalnością, synonim marzeń o pięknie i człowieczeństwie — odgrywa ważną rolę w życiu obu narodów. Niechaj opromienia nasze wspólne wysiłki. Humanista Jost Ludwik Decius, wiek XVI, dobrze się przysłużył monarchii polskiej, sekretarzował Zygmuntowi I. Humanista Karl Dedecius, wiek XX, dobrze się przysłużył królestwu poezji polskiej.

---

* Tekst wygłoszony przez nieżyjącego już wybitnego pisarza i długoletniego redaktora sekcji polskiej Radia Wolna Europa — Tadeusza Nowakowskiego w konsulacie polskim w Monachium (8 VII 1993 r.) podczas spotkania z Karlem Dedeciusem, zainicjowanego przez Stowarzyszenie na Rzecz Porozumienia Polsko-Niemieckiego. „Kronika" dziękuje Panu Karlowi Dedeciusowi za umożliwienie jego publikacji. Tytuł pochodzi od redakcji.

O mojej to Łodzi
piosenka...

Mogę powiedzieć, że znam każde krzywe
i rosochate drzewo akacjowe w Łodzi

Aleksander Błoński

fot. Piotr Zdrzynicki

Łódź we mnie. Tak właśnie. Nie napiszę jak Flaubert: *Pani Bovary to ja*. Ani jak Leonard Cohen: *I am a hotel*. Nie jestem Łodzią. Prędzej za Ray Charlesem: *Georgia on my mind*. Ale pamiętajmy o Brodskim, który twierdzi: *jesteś tym, na co patrzysz*.

Co zakreśla moją Łódź? Jak każdy, mam w niej swoje trasy i miejsca. Są dzielnice w których nigdy nie byłem, w ogóle mnie tam nie ciągnie, nie mam z nimi nic wspólnego, ani one ze mną. Szczególnie unikam łódzkiej architektury przeciągu. Wszelkich mostków i kładek dla pieszych, przejść podziemnych, blokowisk i placów. Łódzki architekt dostanie kawałek plaży nad Morzem Śródziemnym, gdzie lekki zefirek i ciepło. Zbuduje tam dwa kioski i pawilon, a wszystko w takiej konfiguracji, że przeciąg chce łeb urwać.

Studia w Szkole Filmowej i wynajmowany pokój w secesyjnej kamienicy przy Kościuszki. Krzak bzu na podwórzu. Eteryczna pani Zofia, która z wnętrza salonu wysuwa na balkon rękę z rondelkiem, żeby stał w zimnym. Stare balkony groziły oberwaniem. Pewnego dnia dwóch mocarnych facetów kamiennymi młotami, z niesamowitym mozołem, skuło balkon. Dla rondelka trzeba było dokupić lodówkę. Nieco później w tym mieszkaniu uwodziłem moją aktualną żonę przy dźwiękach muzyki Francisa Lai (original sound track) z filmu *Mężczyzna i kobieta*.

Często jeździłem wówczas na Radiostację, bo koledzy ze Szkoły tradycyjnie wynajmowali pokoje w tamtejszych willach. Od wtedy lubię drzewka akacjowe. Trudno znaleźć dwa podobne. Mają chropawe pnie i korony przedziwnie rozległe. Liść akacji ma w sobie coś sympatycznego. Mogę powiedzieć, że znam każde krzywe rosochate drzewo akacjowe w Łodzi. Gromadzę je w pamięci z myślą o zdjęciach. Oczywiście nic z tego nie wychodzi. Rue des Acacias, Paris 17 Art.

* * *

Jeszcze lata 60. to straszne czasy. Najlepiej się nie wychylać. Pamiętam sklep przy Więckowskiego. Obwieszony od ulicy wiązkami kopru, wiankami czosnku. Na chodniku stały skrzynki jabłek, pachniały ogórki. Na szybie napisy o świeżym karpiu i kurczakach. Spod lady można było dostać zagraniczne papierosy. Paliłem niewiele, ale lubiłem tam zaglądać, żeby chłonąć choć częściową normalność.

Kiedy się chodziło piechotą, człowiek nie czuł, jak krzywe były chodniki. Dopiero pchanie wózka z moim synem uświadomiło fatalne nawierzchnie. Jeździliśmy do Parku Poniatowskiego. Czasem brałem książkę, bo mogłem jeszcze wtedy czytać w plenerze. Dzisiaj do czytania muszę być „w zamkniętym". Potrafiłem przeczytać w parku tom *Kwartetu Aleksandryjskiego* Durrella w trzy dni. Na cztery tomy czekałem cztery lata. Teraz przy drugim wydaniu wystarczy na to niecały rok.

Nasze pierwsze mieszkanie na Bałutach. Obowiązkowo w drewnie. Pan Sergiusz, przedwojenny stolarz, znaleziony w warsztacie przy Mickiewicza. Mógł pra-

cować u nas głównie wieczorami i w święta. Pierwszego Maja, wyjątkowo ciepłego, instalujemy pod sufitem w kuchni rustykalne belki w ciemnej bejcy, wyprawione spirytusową politurą na mat. Gdzieś z dala dobiegają radosne echa Święta Pracy, ale to chyba my robimy coś prawdziwego.

* * *

W tamte lata Piotrkowska, a z nią cała Łódź, w niedziele i święta była wymarła. Żadnego handlu, żadnych ludzkich przejawów życia. Jak zaczęto nieśmiało przełamywać tę niemoc, byłem szczęśliwy, że w niedzielę ktoś remontuje sklep, że nocą potrafią coś malować w mocnym świetle gołych żarówek. Bo jak coś jest czynne, to ja się czuję bezpieczniej. Myślę wtedy, że straż pożarna i policja też pewnie pracują, a może nawet pogotowie i szpital.

Oddawano kolejne odcinki Piotrkowskiej, z równymi chodnikami, przy których otwarto niezłe sklepy. I ta ulica mi wystarczy. W zasadzie nie oddalam się już nigdzie więcej, mieszkam tuż za rogiem. Jeszcze Szkoła Filmowa, przyjazna i zasiedziała. Na głównym trawniku, od dziesięcioleci, wiosną zakwitają niebieskawe kwiatki, którym obojętne są zmiany w Rektoracie czy w elektoracie. Jesienią wiewiórki niosą orzechy do swoich dziupli.

Tyle, że ja już jestem mocno sfatygowany. Coraz więcej mi trzeba. I coraz więcej mnie denerwuje. W Łodzi doszły do głosu moje trzy namiętności — książki, nagrania oper Verdiego i cygara. Więc brakuje drugstore'u, bo po 18.00 żadna z tych rzeczy jest nie do nabycia.

A denerwuje mnie natarczywa wulgarność młodzieży, która wylega wieczorami do śródmieścia, jej chyba z domu wyniesione prostactwo, nieporadny język. Prawem biologii oni mnie zastąpią. Ale z czym, że zapytam? Denerwuje mnie brud i smród moczu na tej wychuchanej Piotrkowskiej. Bo tu nie ma zwyczaju szorowania chodników, tu się co najwyżej polewa wodą.

* * *

Lubię usiąść w ogródku „makdonaldsa" na metalowym krześle z Ikei, dlatego że te krzesła stoją wprost na chodniku, a nie na przedziwnych podestach. Siadam więc z otwartą książką, której tak naprawdę nie czytam, bo przecież nie po to tam siedzę. (Pozdrawiam Panią, Mme Sagan, *Avec mon meilleur souvenir*).

Jeszcze łapczywie chwytane resztki jesiennego słońca, bo w Łodzi jakoś tak jest, że w tydzień po wakacjach zapominasz, że je miałeś. A w domu słucham nowej płyty Gergea Michaela, nagranej po sześciu latach milczenia. Tytuł „Older". No to jest nas dwóch.

---

* **Aleksander Błoński** — fotografik i felietonista. Uczy też na Wydziale Operatorskim PWSFTviT w Łodzi.

fot. Piotr Zdrzynicki

Dorota Koman

Bezradnie patrzę na ilość papierzysk w moich szufladach. Skąd ja im wezmę akt zasiedlenia bloku? 1966 rok! Dokładnie 30 lat temu, też w okolicach moich urodzin... Czy Urząd Skarbowy chce mi zrobić powtórkę z życia? Grube teczki bałaganu — rzeczy ważne (na pozór) i nieważne (na pozór) — właśnie natknęłam się na pierwsze literki syna, ale to urzędów nie obchodzi. „Przydział lokalu mieszkalnego" — głosi charakter pisma Mamy na szarej teczce z tamtych czasów (Mama jest porządna, nigdy nie gubi dokumentów!).

Napis jest, przydziału nie ma...

Czuję jak życie mnie przerasta... Znów robię dziesięć rzeczy na raz... Gmerając w papierzyskach powtarzam teksty Siwczyka... Za trzy dni kolejna impreza na Manhattanie... Muszę mieć to obstukane na blachę... Marzenie ściętej głowy... Żeby tak kiedyś umieć od początku do końca, kiedy tych kilkadziesiąt par oczu patrzy... a tak — znów się będę denerwować... a potem usłyszę, że to fajnie tak bez tremy... „Freud by się uśmiał" — jak w mojej książce...

Wkuwam Siwczyka:

„Ta dziewczynka z klatki obok [...]
kładła mnie w mokrym tłuszczu piaskownicy
prosząc bym machał rękoma jak orzeł"

— Trzeba to zmienić. Przecież nie zaśpiewam „Kładła mnie" tylko „Kładła cię, prosząc byś machał". Chyba Siwczyk mnie nie zabije! Za to zabije mnie Andrzej, bo nie oddam na czas tekstu do „Kroniki". Po prostu nie wiem, jak zacząć! Może od „klatki obok"?

KLATKA OBOK? Tam mieszkali moi przyjaciele — Andrzej i Jurek. A w sąsiednim bloku Darek i Tomek. Nie, nie pogubiliśmy się w życiu... To znaczy, może się i pogubiliśmy (bo życie nie jest najłatwiejsze, co tłumaczyłam pewnemu staru-

szkowi jako 5-letnia panienka), ale wciąż czasem udaje nam się odnaleźć. Teraz to bardzo poważni faceci — pan poeta i tłumacz, pan malarz, pan architekt... Tak naprawdę to już wtedy, w piaskownicy, wiedzieliśmy, co będziemy robić. Darek rysował słupy telegraficzne i szubienice, Jurek pisał wiersze (ja też pisałam, ale w tajemnicy), chyba tylko Andrzej wahał się między gitarą a ołówkiem (szkoda, że teraz jego gitara taka zakurzona, naprawdę grał świetnie). Łaziliśmy po dachach, szaleliśmy na rowerach, graliśmy w noża, śpiewaliśmy piosenki. Te dziecinady obywały się bez Jurka — on był starszy i zawsze „robił za mistrza" — a my grywaliśmy jego sztuki w szkolnym teatrzyku. Dzieci z klatki, a klatka koło ZOO... Czy byłam dla nich „tą dziewczynką z klatki obok"?

Nie pamiętam, w którym momencie zrozumiałam, jak bardzo jestem STĄD. Może wtedy, gdy po siedmiu naprawdę dobrych latach w Aleksandrowie wracałam DO SIEBIE? Zostawiałam śliczne, duże „mieszkanie z balkonem" dla mojej bezbalkonowej 36-metrowej klitki, w której myśli odbijają się od ścian... i było mi dobrze... Choć Aleksandrów, jak mówią, to tylko duża sypialnia Łodzi, to jednak był za daleko... A co dopiero mówić o Paryżu, na który namawiała mnie Natasza w czasach, gdy emigracja wydawała się antidotum na całe zło... A ja wiedziałam, że jeśli nie poukładam swojego życia tu i teraz, to i Paryż mi nie pomoże...

No właśnie — poukładać... Gdzie jest ten diabelny papierek o zasiedleniu? Czy ja jestem archiwum, żeby przechowywać wszystkie dokumenty? O! Ale za to znalazłam papierki o zatrudnieniu! Tylko że akurat do niczego niepotrzebne. Ale to wtedy — 6 lat temu — Zdrowie zaczęło przegrywać z Piotrkowską... Trochę anegdotycznie: „Przyszłam, zaśpiewałam, zostałam". I jestem — siódmy rok na I piętrze kamienicy Kindermana. I oswajam tę Piotrkowską dzień po dniu. Codzienna droga do pracy: zrywane chodniki (trach — i po butach!), piach po kolana, błoto (i po butach!), nowa kostka (i po obcasach!) i nowy remont... To nie jest kolejny „głos ludu w temacie kostki". To tylko zapis codziennego stukania rano i późnym wieczorem — od Mickiewicza do Struga. „Każdego dnia będziesz mogła podejść trochę bliżej" — mówi Piotrkowska. A ja czuję, jak obca kiedyś kamienica staje mi się coraz bliższa, „ponieważ poświęciłam jej dużo czasu" (jak powiedziałby Lis do Małego Księcia). I czuję, jak wraz z polerowaniem mosiężnej balustrady, dorabianiem klamek, malowaniem sufitów, myciem poręczy u Kindermana — oswajam tę „moją Piotrkowską" z dnia na dzień — zaniedbując Zdrowie. A tak w ogóle to w Łodzi się gubię — podobnie jak w tych papierach, i w życiu... I chyba nigdy nie napiszę wiersza o Łodzi. Bo czy ja kocham Łódź? (Co prawda o Mamie też nigdy nie napisałam, a ten jeden wiersz dla taty trudno by nazwać laurką...)

Aha — moja ostatnia książka (pt. *DOROTA KOMAN*) jest dedykowana...

„...kochanemu miasteczku
w zamian za łzy
i wiersze"

— ale to też trudno nazwać laurką...

Zresztą, Łódź ma swoich specjalistów od laurek, co to się podobno do niej modlą (żyjąc gdzie indziej) i cali są z niej (więc jak bez niej żyją?). A ja jestem z mamusi i tatusia. I z Krzemienieckiej. I z Piotrkowskiej. I się do niej nie modlę. I potrafię się wściec. Naprawdę! I pytam wtedy (pakując walizki): A czy Łódź kocha mnie? Pierwszą książkę wydałam w Krakowie, nie w Łodzi. Śpiewać mogę kolejnych 15 lat, nim ktoś to nagra (albo i nie!). Mogę też w nieskończoność polerować te mosiądze u Kindermana i co? Nic.

Patrzę sobie czasem smutno na tych, co też coś tam uparcie polerują — no, choćby na Marka Janiaka, co to mnie (przyjacielsko chyba) nazywa Pawlikowską-Wasilewską, a sam... Przyganiał kocioł garnkowi.

A tak naprawdę — wciąż jeszcze wybaczam Łodzi, że nie bardzo kocha tych, co po prostu są na miejscu i — robią swoje... I wrzucam rzeczy do mojej starej szafy, aż do kolejnej awantury zakończonej pytaniem: „Co ja tu jeszcze robię?"

W końcu już jako „mała dziewczynka z klatki obok" doszłam do wniosku, że kocha się nie „za coś", ale „pomimo"... więc... Nie, wyznań nie będzie. Nie mam czasu na wyznania. Muszę powtórzyć piosenkę Siwczyka. Napisać komentarz do filmu o rafinerii (w końcu trzeba z czegoś żyć!). Zagrać jutro w Tomaszowie. Wymyślić kolejne „Spotkanie na Manhattanie". I znaleźć ten akt zasiedlenia... I życie też pora poukładać. I ciuchy w szafie. Tymczasem „Kronika" oczekuje wyznań.

* * *

Za ścianą *Ziemia obiecana*. To mój syn — w niegdyś moim pokoju, z pasją godną swojej mamy, rozpoznaje na filmie stare łódzkie kamienice. Historia się powtarza. Tylko moja *Ziemia obiecana* była jeszcze Reymonta, nie Wajdy... Mateusz ma 9 lat. Dokładnie tyle, co bohater wiersza o dziewczynce z klatki obok. Ta sama klatka, ten sam blok, ta sama piaskownica... Muszę się przyjrzeć dziewczynkom z sąsiedztwa...

---

* **Dorota Koman** — przede wszystkim poetka i piosenkarka, ale też kobieta od wszelkich kulturalnych zajęć.

WOJCIECH GÓRECKI

Strajki robotnicze w Łodzi
w roku 1948

W porównaniu z latami poprzednimi, w roku 1948 strajki w Łodzi i regionie wybuchały sporadycznie, miały też znacznie bardziej ograniczony zasięg (protesty obejmowały najczęściej część wydziału bądź wydział i brało w nich udział kilkunastu-kilkudziesięciu robotników; do rzadkości należało przerwanie pracy na dłużej niż kilka godzin). Do niepokojów wciąż jednak dochodzi — Okręgowa Rada Związków Zawodowych naliczyła aż 2852 „zatargi", choć pod tym pojęciem rozumiano zapewne każdą zgłoszoną do ORZZ skargę — co w latach późniejszych będzie już nie do pomyślenia.

Omawiany rok stanowi cezurę, kończącą tuż powojenny okres względnej swobody. W Polsce nieodwołalnie zapanuje stalinizm ze wszystkimi jego atrybutami: wszechwładzą sił bezpieczeństwa, terrorem i ideologizacją wszystkich dziedzin życia społecznego. W gospodarce prawa ekonomiczne zastąpiono kryteriami politycznymi, w propagandzie zaniechano mówienia o „demokracji ludowej" i zaczęto lansować hasło czujności rewolucyjnej i tezę o zaostrzeniu się walki klasowej w miarę rozwoju budownictwa socjalistycznego. 15 grudnia 1948 przestaje istnieć Polska Partia Socjalistyczna, jedyna masowa organizacja upominająca się, co prawda przede wszystkim w osobach działaczy niższych szczebli i z wieloma zastrzeżeniami, o prawa robotnicze; powołana tego samego dnia PZPR, zdominowana przez prominentnych członków Polskiej Partii Robotniczej, robotnikami zajmowała się już tylko deklaratywnie.

Przyczyny strajków roku 1948

Strajki wybuchające w Łodzi i okolicach w 1948 roku miały, podobnie jak w latach poprzednich, podłoże głównie ekonomiczne. Najważniejszą przyczyną protestów były niskie płace, które nie wystarczały na pokrycie podstawowych potrzeb,

fot. Piotr Zdrzynicki

tym bardziej, że ceny wciąż szły w górę. Trudno sądzić, by urzędnicy administracji gospodarczej oraz działacze PPS i PPR nie zdawali sobie z tego sprawy, pierwsza z partii jednak nieodmiennie akcentowała polityczny aspekt strajków. Teza o podburzającym robotników wrogu klasowym miała swoje praktyczne uzasadnienie — ułatwiała pracę funkcjonariuszom Milicji Obywatelskiej i Urzędu Bezpieczeństwa, usprawiedliwiając stosowanie wobec niezadowolonych szerokiego wachlarza represji.

Głos PPS słyszany był znacznie słabiej niż w okresie 1945-47. Przedstawiciele tej partii nie popierali co prawda strajku jako formy protestu, tradycyjnie jednak wyrażali więcej zrozumienia dla warunków życia robotników i nie dopatrywali się w każdym przerwaniu pracy motywów politycznych. *Dopóki robotnik nie zarobi na minimum utrzymania* — konkluduje jedno ze sprawozdań Dzielnicowego Komitetu PPS Łódź Górna — *zadowolony nie będzie i stale będzie narzekał na obecne stosunki.* Z kolei w sprawozdaniu Wydziału Ekonomiczno-Przemysłowego Wojewódzkiego Komitetu PPS, datowanym na 29 lipca 1948, czytamy: *sytuacja materialna, w jakiej znajduje się świat pracy, nie jest zadowalająca.* Potwierdzić to miał załączony wykaz zarobków:

Grupa płacowa (zarobki miesięczne w złotych)	Procentowy udział pracowników w grupach	
	pracownicy fizyczni	pracownicy umysłowi
do 4000	23	1
4000- 7000	40	12
7000-10000	40	28
10000-15000	6	36
15000-20000	1	17
powyżej 20000	—	6

Zdaniem WK PPS *zarobki pierwszych dwóch grup nie są wystarczające. Robotnice dorabiają sprzątaniem i praniem, mężczyźni rozładowywaniem węgla itp., ale ludzi o tego rodzaju pracy zarobkowej mały odsetek. Znaczna większość uzupełnia swój budżet dochodami z kradzieży.* Rzeczywiście, w wyniku represji liczba strajków znacznie się zmniejszyła, nie spadła natomiast liczba kradzieży, które stawały się zjawiskiem powszechnym. Proceder ten oczywiście piętnowano, a sprawców surowo karano, z drugiej jednak strony sam Hilary Minc, będący w okresie wczesnego PRL prawdziwym ekonomicznym guru obliczył, że daleko taniej wypadnie władzy, jeśli ludzie będą kraść, niżby miano im godziwie płacić. Kradli robotnicy, ale także portierzy i funkcjonariusze straży przemysłowej. Łupem padały głównie wyroby własnej firmy (w przypadku zakładów włókienniczych zwłaszcza przędza, tkaniny, odzież), ale również żarówki, narzędzia, drobne części maszyn, pasy transmisyjne. O skali zjawiska niech świadczy fakt, że w lutym 1948 r. tylko z zakładów branży dziewiarskiej skradziono, jak się szacowało 17 proc. produkcji. Duża liczba zwol-

nionych za kradzieże (tylko w przemyśle włókienniczym około trzech tysięcy osób miesięcznie) sprawiała, że w niektórych firmach rozważano, czy nie przyjmować ich z powrotem.

We wrześniu, w Państwowych Zakładach Przemysłu Bawełnianego (PZPB) Nr 4, komendant straży przemysłowej postrzelił śmiertelnie robotnika, uciekającego ze skradzionym materiałem. *Incydent* — skomentowała wydarzenie miejscowa komórka PPR — *wywołał wzburzenie załogi, inspirowane przez jednostki zainteresowane, ale wszystko zostało opanowane.*

Kradzieże, podobnie zresztą jak strajki, spowodowane były w swej masie głodowymi pensjami, te zaś — systematycznym „obrywaniem" norm pracy i wymuszonym ciągłym brakiem surowca postojem maszyn. PPR i związki zawodowe odpowiedzialnością obarczyły reakcję: *Reakcja jako atut do namawiania robotników do kradzieży stawia ten, iż dostają małą płacę, aby wyżyć trzeba kraść.* Oficjalne gremia wyrażały jednak nadzieję, że *akcje uświadamiające i eliminowanie jednostek często zdegenerowanych moralnie może jedynie przynieść dobre rezultaty* i pocieszały się, że *zakłady zabezpieczone są w oręż ideologiczny, a w razie potrzeby w interwencje MO.*

Funkcjonariusze MO i UB, oprócz zwalczania strajków i kradzieży, zajmowali się także przypadkami fikcyjnej dokumentacji produkcyjno-płacowej, jaką prowadzono w wielu firmach. Celem tych machinacji było umożliwienie uzyskania przez załogę wyższych, niż wynikałoby to z obowiązującego prawa, wynagrodzeń.

W PZPB Nr 5 (d. Wima) dopisywano robotnikom w kartach pracy godziny postojowe, przyjmowano do wyliczeń produkcję zawyżoną, zamiast faktycznie wykonanej, odnotowywano robotnikom akordowym nieobecności w pracy, choć w tym czasie pracowali. W efekcie faktycznie nie wykonane normy okazały się na papierze nie tylko wykonane, ale przekroczone. Sprawą tą zajął się Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego, informując o niej resortowego ministra. W innej łódzkiej firmie, PZPDz (Państwowe Zakłady Przemysłu Dziewiarskiego) Nr 6, pracownikom umysłowym przyznano premie za nie wykonaną produkcję 38261 sztuk odzieży. W PZP Jedwab-Galant (Państwowe Zakłady Przemysłu Jedwabniczo-Galanteryjnego) Nr 8 wypłacono pensje robotnikom za 5200 kg przędzy, gdy rzeczywista produkcja wynosiła 4000 kg.

Strajkowe kalendarium

Opracowanie pełnego kalendarium łódzkich strajków robotniczych w 1948 roku — w podobnym stopniu dotyczy to zresztą także lat wcześniejszych, a w mniejszym lat późniejszych — jest praktycznie niemożliwe. Przyczyna to niekompletne źródła: z jednej strony w materiałach PPR, PPS i związków zawodowych, a na nich się przede wszystkim oparłem, pracownicze zatargi relacjonowane są mało precyzyjnie i bywa,

że dwa dokumenty sporządzone przez dwie komórki tej samej organizacji podają różne dane o tym samym strajku, z drugiej natomiast akta są zdekompletowane. Najgorzej pod tym względem jest ze zbiorami byłego archiwum KW PZPR, przejętego w 1991 r. przez Archiwum Państwowe w Łodzi, przykre niespodzianki czekają też w Centralnym Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Kalendarium na użytek tego artykułu opracowałem na podstawie materiałów z Archiwum Akt Nowych w Warszawie, Centralnego Archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, Archiwum Państwowego w Łodzi i Archiwum Łódzkiego Oddziału Urzędu Ochrony Państwa.

* * *

W sprawozdaniach miesięcznych Referatu Ekonomicznego Okręgowej Rady Związków Zawodowych odnotowano w 1948 roku na terenie Łodzi i województwa 2852 „zatargi", określane mianem „drobnych" (o tym, co najprawdopodobniej rozumiano pod słowem „zatarg" była mowa na początku). Oto „geograficzny" podział „zatargów" na Łódź i województwo, z rozbiciem na miesiące:

Miesiąc	Łączna liczba zatargów	w tym na terenie	
		Łodzi	województwa
Styczeń	299	brak podziału	
Luty	425	brak podziału	
Marzec	287	229	58
Kwiecień	495	276	213
Maj	292	236	56
Czerwiec	213	137	76
Lipiec	217	183	34
Sierpień	146	125	21
Wrzesień	138	111	27
Październik	129	99	30
Listopad	118	101	17
Grudzień	93	69	24
ogółem	2852	1566 (marzec-grudzień)	562 (marzec-grudzień)

Przyczynami zatargów były niskie płace i złe warunki pracy, kłopoty z aprowizacją, niewypłacanie ekwiwalentu za kartki żywnościowe, zwolnienia. W sprawozdaniach miesięcznych, podobnie jak w sprawozdaniu przygotowywanym na związkową Konferencję Wojewódzką w 1950 r. i obejmującym działalność ORZZ w okresie 27 stycznia 1945 — 31 października 1949, słowem nie wspomniano o „zatargach", które miałyby charakter strajku. W drugim dokumencie zauważono jedynie,

że *w pierwszym okresie na skutek pewnych braków aprowizacyjnych i wrogiej propagandy, dochodziło niekiedy na różnych odcinkach naszego życia gospodarczego do zatargów, które wróg klasowy skrzętnie wykorzystywał dla swych niecnych celów.*

STYCZEŃ

21 stycznia w PZPB Nr 3 (d. Geyer), na Oddziale Tkalni, przez pół godziny strajkowało 28 tkaczek pracujących na 4 krosnach. Powodem była zła jakościowo osnowa, co rzutowało na obniżenie wydajności pracy, a co za tym idzie na obniżenie zarobków. Następnego dnia, o godzinie 6.50, z powodu zerwania się pasa transmisyjnego, stanęły wszystkie krosna oraz działy przygotowawcze na Tkalni. *Momentalnie zbiegli się wszyscy robotnicy wyrażając głośno swe niezadowolenie z powodu zbyt niskich zarobków. Chwilę tę wykorzystały elementy warcholskie, wśród których nie brakło członków PPS, podburzając ogół. Po zeszyciu pasa robotnicy, za wyjątkiem kilku PPR-owców, w dalszym ciągu nie przystępowali do pracy. Należy podkreślić niepoważne stanowisko zajęte przez elementy młodzieżowe* — relacjonuje te wydarzenia kierownik Wydziału Personalnego W. Dwojacki. Strajk trwał trzy godziny, do jego likwidacji przyczyniły się „indywidualne rozmowy" przeprowadzone z robotnikami przez administrację. *W celu uzyskania spokoju w fabryce, dołożono do wypłaty indywidualnie, poszczególnym tkaczom, nie przekraczając jednakże ram Umowy Zbiorowej.* Dopłaty wyniosły 10 do 25 procent zarobku brutto. Na marginesie można dodać, że rozgoryczenie robotników z powodu niskich płac było w pełni uzasadnione. Z raportu przedstawiciela ŁK PPR M. Mamosa wynika, że maksymalny zarobek tkacza na jednym krośnie (praca na dwóch możliwa była tylko przy wysokiej jakości surowca), przy wyrobieniu 140 procent normy, wyniósł 2700 zł brutto na 84 godziny pracy; robotnik, który przepracował 200 godzin, wyrabiając 100 procent normy, mógł zatem liczyć na 4600 zł brutto.

22 stycznia w PZPB Nr 17 (d. Zajbert), na Oddziale Przędzalni, na nocnej zmianie, pomagaczki z przędzarek obrączkowych porzuciły pracę z powodu niższych o 600 do 800 zł zarobków w porównaniu z poprzednią wypłatą. Nie podjęły pracy także prządki — wszystkie maszyny przędzalnicze zostały unieruchomione. Następnego dnia, solidaryzując się ze zmianą nocną, do strajku przystąpiły pomagaczki na Oddziale Przewijalni. Pracę usiłowano też przerwać na Oddziale Tkalni, ale natychmiastowa interwencja administracji spowodowała, że skończyło się na piętnastominutowym postoju, który objął 20 procent tkaczy. Kwestionowane przez robotników zarobki były zdaniem kierownictwa zakładów obliczone prawidłowo: do pensji nie doliczono uwzględnionego miesiąc wcześniej dodatku socjalnego i premii za ciągłość pracy. Strajk objął 233 robotników, łącznie na oddziałach Przędzalni i Przewijalni zatrzymanych zostały 43 maszyny oraz 14776 wrzecion. Liczbę straconych roboczogodzin oszacowano na 380, zaś straty w produkcji na 1000 kilogramów przędzy.

W styczniu, w PZPB w Pabianicach, „dzięki odpowiednio przeprowadzonej akcji" zlikwidowany został strajk przewijarek, które według nowej Umowy Zbiorowej zarabiać miały około jedną czwartą mniej niż prządki. Ponadto, w wyniku zaostrzonej kontroli, zakłady te zmuszone zostały do rejestrowania rzeczywistego poziomu produkcji, co ukróciło praktyki jej sztucznego zaniżania, by wypłacać wyższe wynagrodzenia.

LUTY

Na Przędzalni Księży Młyn, w PZPB Nr 1 (d. Scheibler i Grohman), odnotowano dwa strajki. Pierwszy rozpoczął się 12 lutego i trwał z przerwami 36 godzin; objął około 2000 robotników z wrzeciennic i oddziałów przygotowawczych i miał spokojny przebieg. Został *zlikwidowany po wielokrotnych wyjaśnieniach strajkującym o niecelowości postoju.* W strajk ten zaangażowało się wielu członków PPS. Drugi strajk, określony w jednym ze sprawozdań jako *przedłużenie pierwszego*, wybuchł 26 lutego, trwał 7 godzin i objął prządki z Oddziału Przygotowawczego i pomagaczki z obrączniaków — w sumie około 70 robotnic. Został, tak jak poprzedni, zlikwidowany siłami administracji zakładów, jego konsekwencją stały się liczne zwolnienia z pracy.

Zbyt niska w stosunku do wymagań produkcji jakość surowca i brak jego terminowych dostaw wymuszały w Ośrodku Konfekcyjnym Nr 4 częste zmiany asortymentu na taśmach produkcyjnych, co prowadziło do obniżki płac. Brak reakcji dyrekcji na zgłaszane zażalenia spowodował, że 20 lutego robotnicy z Oddziału Odzieżowego przerwali pracę. *Strajk* — według sprawozdania ŁK PPR, przesłanego do Wydziału Przemysłowego KC PPR — *był spowodowany przez elementy PPS, które wykorzystały sytuację dla poderwania autorytetu Dyrekcji PPRowskiej. (...) Przez szybką interwencję Wydziału Ekonomicznego i Zawodowego ŁK PPR, jak również związków zawodowych i dyrekcji fabrycznej strajk został zlikwidowany 21 II o godz. 16.30.* W materiałach KD PPR Śródmieście Lewa, strajk określony został jako „częściowy" — miało w nim udział około 200 pracowników na 4500 zatrudnionych. *W czasie wspomnianego strajku były inspirowane okrzyki, że za Hitlera było lepiej itp.* — podaje to samo źródło.

W PZPB Ruda Pabianicka (d. Horak) rozpowszechniono plotkę o przekazaniu przez Amerykę 2 milionów złotych na bezzwrotne pożyczki dla robotników. Stało się to przyczyną protestu niewielkiej w sumie grupy pracowników, żądających z tego tytułu wypłaty po 5000 zł (4 lutego 30 robotników „strajkowało" 15 minut, 5 lutego również 30-40 minut, 6 lutego także 30-150 minut). W plotce tkwiło ziarno prawdy — Rada Zakładowa otrzymała od dyrekcji na cele społeczne kilkaset tysięcy złotych, które postanowiła rozdzielić między pracowników.

W lutym — według Biuletynu Informacyjnego Ministerstwa Bezpieczeństwa Politycznego — w przemyśle łódzkim miało miejsce 9 strajków protestacyjnych,

fot. Piotr Zdrzynicki

które objęły 990 robotników, powodując stratę blisko 3 tysięcy godzin roboczych. Powodem, obok spraw płacowych, były żądania zmiany Umowy Zbiorowej, krzywdzącej te działy, w których nie można wprowadzić systemu wielowarsztatowego z uwagi na grube numery przędzy. W konsekwencji zarobki części robotników były niewspółmiernie niskie do ich wysokich kwalifikacji (wynosiły około 4000 zł miesięcznie). Niezadowolenie robotników i nastroje strajkowe wywoływały także pogłoski, że mające nastąpić w przemyśle włókienniczym podwyżki obejmą tylko pracowników umysłowych.

MARZEC

W sprawozdaniach KD PPR Góna Prawa odnotowano protest w firmie Schweikert Guma — powodem było wypłacenie pracownikom na Wielkanoc (w roku 1948 przypadła na 28-29 marca) większej zaliczki, aniżeli im przysługiwała, w związku z czym po świętach nie otrzymali oni wyrównania (wypłacono je dopiero 7 kwietnia).

W marcu PZPB Nr 3 protestów i strajków co prawda nie odnotowano, warto jednak przytoczyć fragment sprawozdania miejscowej komórki PPR, mówiący o źródłach konfliktów i sposobie ich likwidacji (zachowałem język oryginału): *Działalność reakcji przejawia się, że zarobki robotników są jeszcze niskie, to oni w czasie wypłaty starają się podszczuwać, namawiać do strajków, ale im się to nie udaje, bo klasa robotnicza nauczona doświadczeniem wie, że nic nie zyska, a natomiast straci. Tu przede wszystkim członki naszej Partii naświetlają w dostateczny sposób trudności gospodarcze powojenne i dają przykłady, że w 1945 roku było tak, a w 1948 jest zupełnie inaczej, a na pewno gdy upłynie trzy lata i plan trzyletni zostanie zrealizowany to stopa życiowa klasy robotniczej polepszy się o 100%. Z elementami naprawdę wrogimi i szkodnikami załatwimy krótko drogą administracyjną.*

KWIECIEŃ

Na Oddziale Przewijalni Księży Młyn PZPB Nr 1 miał miejsce zatarg, w którym brało udział około 70 osób. Powodem było pozbawienie premii pracowników przyłapanych na kradzieży (premia przyznana była zakładom za udział we współzawodnictwie z przemysłem węglowym). Dwugodzinny postój zlikwidowano „administracyjnie". Protest o podobnym tle — chodziło o podział wspomnianej premii — zdławiono w zarodku w PZPB w Pabianicach.

Powodem godzinnego strajku, jaki wybuchł w Państwowej Wytwórni Radiotechnicznej 22 kwietnia, było niewypłacenie załodze w ustalonym terminie poborów. Winowajcą okazało się Zjednoczenie w Dzierżoniowie, które dokonało przelewu z kilkudniowym opóźnieniem. O sytuacji materialnej robotników w PWR świadczy relacja

kierownika personelu Wytwórni, T. Ławskiego, pochodząca ze sporządzonej przez niego na okoliczność strajku notatki: ... *cały szereg pracowników zwracało się bezpośrednio do Dyrekcji o udzielenie pożyczek, w sumie kilku złotych, na kupno chleba, papierosów, przejazdy tramwajowe i inne doraźne a niezbędne potrzeby. Ratowaliśmy ich pożyczkami prywatnymi i pieniędzmi innych pracowników, wyciągając pieniądze z Rady Zakładowej, a nawet z funduszów podjętych wcześniej przez kierownika stołówki.*

MAJ

W PZPB Nr 1 grupa tkaczek przerwała w dniu wypłaty pracę, żądając wyjaśnienia w sprawie zarobków. Przerwa nie miała, na co robotnice zwróciły od razu uwagę, charakteru strajku. W sumie zatrzymanych było, na około 30 minut, 30 krosien.

Poza krótką informacją zawartą w Biuletynie Informacyjnym MBP brak bliższych danych co do strajku w PZPB Nr 5. Wiadomo tylko, że 13 maja odbył się czterogodzinny protest robotników, a 14 maja pierwsza zmiana przerwała pracę na około 30 minut. Powodem protestów było niewypłacenie premii za 1947 rok.

CZERWIEC

W PZPB Nr 5 odnotowano trzygodzinny postój na Przędzalni „egipskiej" i trzygodzinny na Przędzalni „amerykańskiej" (przędzalnie nazwane zostały tak od miejsca pochodzenia przerabianej bawełny). Powodem były niskie zarobki, podniesiono też żądania likwidacji nocnej pracy kobiet. Do zatrzymania maszyn doszło też na oddziałach końcowych Przewijalni. Strajki te zostały *szybko zlikwidowane przy pomocy personelu majsterskiego, który uprzednio został przygotowany.*

Jeszcze w czerwcu, w tych samych PZPB Nr 5, na Przędzalni „egipskiej", miał miejsce półtoragodzinny strajk z powodu przeniesienia majstra na inny oddział. Majster ten — według kierownictwa KD PPR Widzew — *należał do zorganizowanej kliki sabotażystów fałszując obniżanie norm oraz nielegalne dopisywanie godzin pracy.*

W PZPB Nr 16 nocna zmiana Przędzalni Obrączkowej protestowała dziesięć minut przeciwko niskim zarobkom. Nastroje robotników w tym zakładzie — podkreślało UB — uległy pogorszeniu.

LIPIEC

Z powodu wyśrubowanych norm, trudnych do wyrobienia z uwagi na jakość surowca i stan techniczny urządzeń, miał miejsce sześciogodzinny strajk w firmie Daube. Komisja, w skład której weszli specjaliści z innego zakładu i przedstawiciele Dyrekcji

Branżowej (jednostka nadrzędna) stwierdziła, że normy są prawidłowe, a niskie zarobki robotników spowodowane są nie wykonywaniem przez nich produkcji. Wyższe zarobki przy zawyżonych normach mogli, jak się tymczasem okazało, uzyskiwać jedynie przodownicy pracy, funkcjonujący na innych, niż przeciętny robotnik, zasadach. *Jeżeli chodzi o przodowników pracy, to staramy się przede wszystkim o to, aby zabezpieczono im dobre warsztaty, dobre osnowy, szybką naprawę maszyn* — czytamy w referacie I sekretarza KD PPR Górna Prawa, Józefa Pokorskiego.

W PZPW Nr 11 miał miejsce półtoragodzinny postój spowodowany niewłaściwym obliczeniem zarobków przez Wydział Pracy i Płacy. W czasie postoju robotnicy uszkodzili maszynę i przerwa w pracy całego oddziału trwała sześć godzin.

Ze sprawozdań KD PPR Górna Prawa wynika, że w lipcu miało miejsce w tej dzielnicy kilka parogodzinnych strajków: protestowali pracownicy PZPB Nr 6, Tele-Radia i Ośrodka Konferencyjnego Nr 3. Bardzo niskie zarobki — przyczyna wymienionych wystąpień — to zdaniem działaczy Komitetu Dzielnicowego wynik nieprzestrzegania Umowy Zbiorowej i przejścia z systemu zespołowego na system taśmowy. Strajki zlikwidowano *dzięki interwencji kół partyjnych i związków zawodowych.*

SIERPIEŃ

W PZPW Nr 35 (d. Pikielny) doszło na Oddziale Cerowalni do strajku okupacyjnego, o którego sprowokowanie gremia pepeerowskie oskarżały dyrekcję zakładów: chodziło o korektę norm płacowych, która spowodowała radykalne obniżenie zarobków. Szczegóły protestu nie są znane. Według Wydziału Zawodowego i Wydziału Ekonomicznego KŁ PPR 50 cerowaczek okupowało zakład przez 16 godzin, natomiast według KD PPR Śródmieście Lewa strajkowały 12 godzin 82 cerowaczki. Korekty w zarobkach (rozumiane jako ich obniżka) do rzadkości nie należały, jednak ich przeprowadzenie, jak sugeruje pepeerowskie sprawozdanie, może nastąpić po porozumieniu się z Centralnym Zarządem Przemysłu Włókienniczego, partią i związkami zawodowymi, tak aby *przygotować odpowiednio teren i tym samym zmniejszyć do minimum ryzyko wywołania strajku.* Po otrzymaniu wyjaśnień cerowaczki wróciły do pracy.

13 sierpnia, w PZPB Nr 1, przez około 2 godziny strajkowały pierwsza i druga zmiana Tkalni (ogółem ponad tysiąc robotników). Powodem strajku było obniżenie płac (wynikało z faktu, że do produkcji użyto surowca jakościowo gorszego). Nastroje podgrzało niewłaściwe wyliczanie zarobków, co spowodowało ich zaniżenie o kwotę 1700 zł.

Zmiana na stanowisku kierownika Oddziału Tkalni była przyczyną dwugodzinnego strajku w PZPB Nr 6. W miejsce zwolnionego kierownika, który był *człowiekiem bardzo uczciwym i dopisywał robotnikom przy każdej okazji a nawet bez*, zatrudniono pracownika o całkiem innych preferencjach. Mianowicie *nowo mianowany doceniał*

fot. Piotr Zdrzynicki

pieniądze państwowe i robił tak, jak należy, przez co nie miał zaufania u ludzi. Innym powodem niezadowolenia były *pewne różnice w zarobkach* wynikające z faktu, iż *biuro wypłat pomyliło się w obliczeniach też na niekorzyść kilku tkaczy.* (Cytaty za sprawozdaniem miejscowych komórek PPR, z zachowaniem języka oryginału).

W PZPB Nr 5, na Oddziale Przędzalni „egipskiej" i częściowo „amerykańskiej" oraz w PPB Nr 16 na Oddziale Przędzalni miały miejsce w sierpniu zatargi na tle płacowym. Brakuje niestety szczegółowych danych o formie protestów, liczbie uczestniczących w nich robotników i czasie ich trwania.

W firmie Daube odnotowano kolejny protest, którego podłoże tkwiło w wyśrubowanych normach — przeprowadzono ich korektę, na skutek której, gdy robotnik przekraczał normę czasową, ta zostawała automatycznie podwyższana, co prowadziło do obniżki zarobków i wpłynęło na fatalne nastroje w zakładzie: *nie warto pracować, bo obrywają normy.* W dniu sierpniowej wypłaty robotnicy odmówili jej przyjęcia, do przerwania pracy jednak nie doszło.

31 sierpnia doszło do strajku w Państwowych Zakładach Teletechnicznych (d. Teleradio). Zakłady te przeszły z Ministerstwa Poczt i Telegrafów do Ministerstwa Przemysłu i Handlu. W poprzednim układzie organizacyjnym pracownicy Oddziału Galwanizerni otrzymywali pół litra mleka i 10 dag słoniny, a robotnicy za pracę w godzinach nadliczbowych chleb, kawę i kiełbasę. Z chwilą reorganizacji aprowizacja została częściowo wstrzymana, przeciw czemu zaprotestowała załoga. W ocenie Wydziału Zawodowego KŁ PPR do strajku by nie doszło, gdyby Rada Zakładowa oraz sekretarze kół PPR i PPS „byli na poziomie": *Robotnicy do nich nie mają zaufania z powodu skorumpowania*, dlatego też *Wydział Zawodowy w porozumieniu z Dzielnicą Partyjną postanowił w najbliższym terminie rozpisać nowe wybory Rad Zakładowych oraz zamienić sekretarza koła PPR.* Według Wydziału Zawodowego KŁ PPR protest trwał godzinę i 20 minut, natomiast według KD PPR Górna Prawa — pół godziny.

W sierpniu łódzki Urząd Bezpieczeństwa raportował do MBP o osłabieniu dyscypliny wśród robotników — na wzrost nastrojów strajkowych, zdaniem funkcjonariuszy bezpieczeństwa, wpłynąć miał brak urządzeń wentylacyjnych, co było szczególnie dotkliwe w czasie upałów. UB raportuje, że 13 sierpnia strajkowano w PZPB Nr 1, 19 sierpnia — w PZPB Nr 35, na Oddziale Cerowni, 20 sierpnia — w PZPB Nr 6, zaś 26 sierpnia — w PZPB Nr 5 na Przędzalni „egipskiej". Do niepokojów doszło ponadto w PZPB Nr 17 i PZPB Ruda Pabianicka. W ubikacjach PZPB Nr 16 ukazywały się napisy wzywające do strajku generalnego, podobnego do tego, jaki miał miejsce we wrześniu 1947.

WRZESIEŃ

W dostępnych mi materiałach strajków nie odnotowano.

PAŹDZIERNIK

6 października w Ośrodku Konfekcyjnym Nr 4 zastrajkowało 400 robotnic. Powodem była zmiana profilu produkcji, w wyniku której znacząco obniżyły się płace. Odnotowano bierne zachowanie dyrekcji i związków zawodowych, zaś interwencja sekretarza PPR i przewodniczącego Rady Zakładowej nie odniosły skutku, *raczej sytuację zaognity.* W ocenie Wydziału Personalnego firmy strajk został wywołany przez *nieodpowiednie elementy, które w najbliższej przyszłości muszą być usunięte.* Protest trwał 4 godziny. 7 października w tym samym zakładzie miał miejsce piętnastominutowy postój — protest wywołały źle obliczone ekwiwalenty stołówkowe.

14 i 15 października w Pabianicach usiłowano wywołać strajk z powodu przydzielenia na kartki odzieżowe materiałów o niskiej jakości, które robotnicy określili mianem bubli, do przerwania pracy jednak nie doszło. Materiały zostały wymienione, miejscowi działacze PPR określili jednak sytuację jako *napiętą.*

7 października, w PZPB Nr 8, na Oddziałach Szwalni i Przewijalni z powodu niskich zarobków (niższych niż w poprzednim miesiącu o około 1000 złotych), na które miała wpływ zła jakość przędzy, 33 osoby przerwały na 30 minut pracę. Po zapewnieniu dyrektora naczelnego o przyznaniu bonifikaty strajku zaniechano.

15 października, w PZPW (brak numeru zakładu), na Oddziale Cerowni, w trwającym trzy godziny postoju brało udział 86 osób. Powodem było zwiększenie norm. Po przyrzeczeniu przywrócenia poprzednich norm przystąpiono do pracy.

Niepokoje wywołane niskimi zarobkami i drożyzną miały ponadto miejsce w zakładach wełnianych, PZPW Nr 36, 37 i 38.

LISTOPAD

Jak wynika ze sprawozdania Wydziału Ekonomicznego KŁ PPR, przesłanego 10 grudnia 1948 do KC PPR, nastroje wśród pracowników były w listopadzie bardzo dobre, a wpłynęła na nie *intensywna akcja polityczna* i *akcja zobowiązań przedkongresowych* (chodziło o kongres zjednoczeniowy PPR i PPS). Ta ostatnia akcja wywołać miała falę entuzjazmu i prawdziwego współzawodnictwa przy podejmowaniu i wykonywaniu zobowiązań. *Na ogół w akcji nie było przegięć. Tylko w niektórych zakładach pracowano w godzinach nadliczbowych i w niedzielę. Te właśnie przegięcia spowodowały wystąpienia przeciw zwiększonemu wysiłkowi, przeciw partii i rządowi.*

Strajków w listopadzie nie zanotowano, natomiast — jak podaje to samo sprawozdanie — *charakterystycznym momentem jest fakt organizowania lokalnych uroczystości w związku z wykonaniem planów. Zarządzono krótkie przerwy w pracy, w czasie których urządzano masówki, (...) akademie i koncerty, co nie miały miejsca w roku ubiegłym.*

Pomimo *bardzo dobrych nastrojów* i pozytywnej atmosfery towarzyszącej Kongresowi Jedności — tak przynajmniej oceniali sytuację działacze PPR — w grudniu doszło do dwóch strajków: w PZPB Nr 1, na Przędzalni Odpadkowej, robotnicy przerwali pracę, gdyż nie dostali ekwiwalentu za mąkę i chleb. W PZPB Nr 9, na Tkalni, protestowano z powodu niskich zarobków uczniów. Bardziej szczegółowych informacji na temat tych strajków brak. Wiadomo tylko, że *oba zostały szybko zlikwidowane i nie przybrały szerszych rozmiarów.*

Stanowisko partii robotniczych i związków zawodowych wobec protestów

Zarówno PPR, jak i PPS przeciwne były wywieraniu presji strajkowych na administrację gospodarczą, jednak instancje niższego szczebla tej drugiej partii zajmowały często postawę znacznie mniej ortodoksyjną. Z chwilą zjednoczenia obu partii — de facto było to wchłonięcie PPS przez PPR — nastąpiła wyraźna zmiana w podejściu władz komunistycznych do pojawiających się protestów i sposobów ich rozwiązywania.

PPS uważała, że realizując dalekosiężne plany nie można zaniedbywać stałego, bieżącego zaspokojenia potrzeb społecznych i podnoszenia poziomu życia, gdyż to właśnie powinno być cechą socjalizmu. W działalności PPR dopatrywała się *zbyt gwałtownych metod naruszania praw obywatelskich*, gdyż w pojęciu działaczy tej drugiej partii *wrogiem klasowym* był nie tylko przeciwnik polityczny, ale i narzekający na głodowe pensje robotnik.

PPR trudno było posądzić o nieznajomość realiów: *Jeżeli robotnik* — zanotowano w Sprawozdaniu KD PPR Górna Lewa ze stycznia 1948 roku — *sam pracuje i ma większą rodzinę na utrzymaniu, jego zarobek nie jest wystarczający.* Zdaniem pepeerowców sytuacja taka może być wykorzystana przez „wroga", należy zatem zaostrzyć klasową czujność: *elementy wrogie nam wykorzystują nieświadomość niektórych robotników i za pomocą ich starają się zniekształcić wszystkie posunięcia Rządu, naszej Partii i kierownictwa zakładów.* W sprawozdaniu tego samego KD, z marca 1948 r., czytamy: *Zarobki szczególnie w wydziałach gospodarczych są jeszcze niskie i tych to właśnie wykorzystują elementy wrogie demokracji ludowej nastawiając ich wrogo do obecnej rzeczywistości.* PPR opowiada się za wyciąganiem jak najsurowszych konsekwencji: *elementy wrogie usuwa się z danych zakładów.* Na przykład na wniosek organizacji partyjnej w PZPB Nr 5 za podburzanie do strajku usunięto ośmiu pracowników, w PZPB Nr 1 z kolei *najbardziej agresywne (niepoprawne) robotnice zostały zwolnione (usunięto 4 bezpartyjne, przeważnie młode).*

PPR dostrzegała w postawie socjalistów wykorzystywanie trudności gospodarczych do popierania wystąpień strajkowych zamiast przyczyniania się do ich likwidacji i oskarżała pepeesowców o chęć zdobycia wśród robotników taniego poklasku. Po strajkach na jesieni 1947 r. Henryk Wachowicz i Wincenty Stawiński publicznie wystąpili z postulatami zmiany systemu płac i premii w przemyśle, co przez działaczy PPR uznane zostało za przejaw działalności „antyjednolitofrontowej". 14 kwietnia 1948 r., w Pabianicach, w trakcie wspólnej narady PPS i PPR, działacze tej ostatniej oskarżyli socjalistów o sprowokowanie w 1947 r. strajku w Pabianickich Zakładach Przemysłu Bawełnianego.

Stanowisko, które zajmowały wobec strajków obie partie robotnicze, a od roku 1949 Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, obowiązywało także władze związkowe. *Związki Zawodowe winny tak działać, aby w porę usuwać przyczyny konfliktów zbiorowych w zakładach pracy, wykluczać konieczność wystąpień w formie strajków w przedsiębiorstwach państwowych i spółdzielczych, jako godzących obiektywnie w warunki życia załóg.* Warto wymienić, czym zajmowali się ponadto przedstawiciele łódzkich związków: ze Sprawozdania OKZZ w Łodzi za rok 1948 wynika, że zasiadali oni m.in. w takich gremiach, jak Wydział Aprowizacji Zarządu Miasta, Komisja Lotna dni bezmięsnych i bezciastkowych, Okręgowy Urząd Likwidacyjny, Komisja Specjalna, Komisja Cennikowa, Komisja Kontrolno-Kwalifikacyjna, Komisja Podatkowa, Komisja Doradcza przy Urzędzie Zatrudnienia...

* * *

Strajki robotnicze w Łodzi w okresie PRL wciąż czekają na opisanie. Chociaż większość łodzian ma w pamięci Sierpień 1980, a takie lata jak 1956, 1970, 1971 czy 1976 wywołują od razu wiele skojarzeń, wiedza o protestach, zebrana w artykułach, monografiach i innych pracach naukowych, jest wciąż zbyt niska. Szczególną białą plamą jest okres 1945-56; strajki w tym czasie nie doczekały się praktycznie żadnego opracowania. Mam nadzieję, że mój tekst chociaż w części lukę tę wypełni.

* Artykuł powstał w ramach seminarium prof. Krystyny Kersten „Społeczne i kulturowe aspekty transformacji 1944-1955".

* Tekst jest kontynuacją artykułu *Strajki robotnicze w Łodzi w latach 1945-47*, zamieszczonego w numerach 2/95 i 1/96 „Kroniki Miasta Łodzi".

* Ponieważ „KMŁ" nie jest pismem naukowym, redakcja zrezygnowała z zamieszczania przypisów.

Trzeba mieć coś,
co nada miastu
indywidualny rys.

ANDRZEJ MAJER

Łódź w nowym świecie

Nader rzadko (nie licząc periodyków naukowych i wąskospecjalistycznej publicystyki) rozpatruje się możliwości drugiego co do wielkości miasta Polski w odpowiednio szerokiej i realistycznej perspektywie. Niniejszy tekst próbuje na nie spojrzeć przez pryzmat strukturalnych cech współczesnego kapitalizmu. Łódź uczestniczy już od kilku lat w tym systemie, nie będąc jeszcze nawet formalnie cząstką wspólnoty rozwiniętej gospodarki rynkowej. Nie jest on co prawda tożsamy z całym „nowym światem" wywołanym w tytule, **jednak to głównie kapitalizm mający światowy zasięg określi miejsce i możliwości miasta w nadchodzącej przyszłości. Perspektywa taka nie wydaje się przesadna, pod warunkiem, że patrzy się na Łódź całościowo i w sposób wolny od emocji.**

Wiele publikacji o tematyce łódzkiej obciąża (łagodnie to określając) regionalizm, czyli myślenie zamykające się w granicach aglomeracji, tak jak gdyby poza nią rozciągała się *terra incognita*. Po drugie, sentymentalizm albo nostalgia za minioną świetnością miasta; wreszcie brak realizmu w myśleniu o przyszłości. Niestety, nie są wolne od tych obciążeń nawet publikacje autorytetów naukowych będące niekiedy projekcją tego, co Anglosasi nazywają *wishful thinking* — „pobożnymi życzeniami".

Globalny kapitalizm

Świat współczesnego kapitalizmu niebezpodstawnie nazywany jest „globalnym". „Globalność" znaczy geopolityczną skalę, ogólnoświatowy zasięg zmian i problemów, czy też brak granic swobodnego przepływu kapitału pomiędzy międzynarodowymi koncernami. To zarówno błyskawiczne rozprzestrzenianie się wzorów kultury masowej, jak penetrowanie naszych rynków przez narkotykowe gangi z odległych krajów. To także nierówności w poziomie życia w skali kontynentów, regionów i

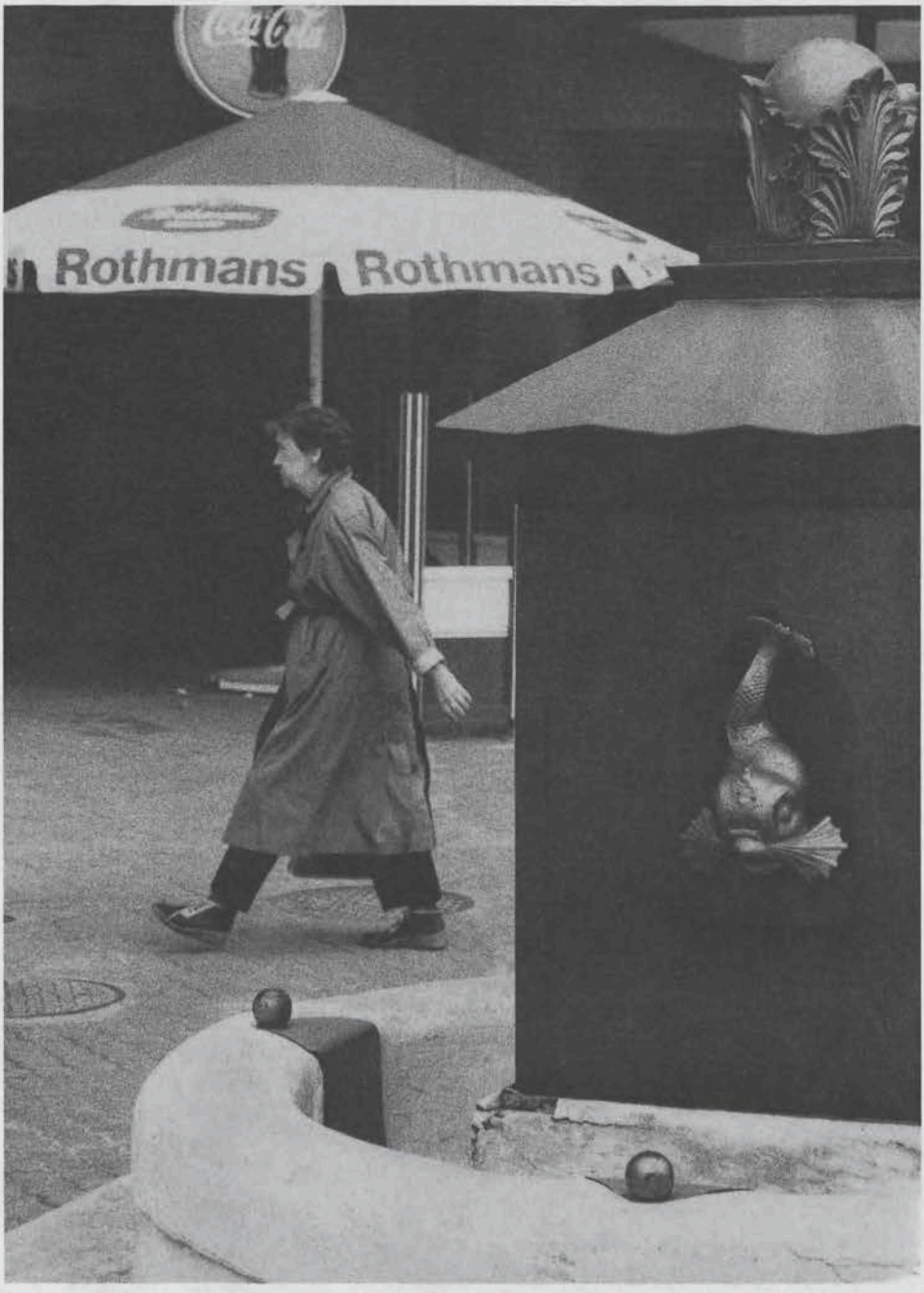

fot. Piotr Zdrzynicki

państw oraz ścisła, chociaż nie regulowana międzynarodowymi traktatami hierarchia miejsca zajmowanego przez poszczególne miasta na światowej arenie.

W pierwszej połowie XIX w. ludzie przenosili się gremialnie do miast, by uzyskiwać w nich pracę i szansę na lepsze życie. Historyczne przestawienie się z wiejskiego na miejski styl życia wprowadziło trwały rozdział głównych dziedzin ludzkiej aktywności (pracy od rodziny, sposobu gospodarowania od społeczności, firmy od gospodarstwa domowego itd.). Wczesny, wolnokonkurencyjny kapitalizm dodał do tego rozdziału nieusuwalne odtąd czynniki nierówności (miasto, pisał klasyk socjologii Louis Wirth, to w społecznym sensie zróżnicowanie wynikające z obiektywnych cech takich jak wielkość, gęstość zabudowy, ruchliwość mieszkańców, biorące się z różnic ekonomicznych, do których dołączają się różnice rasowe, etniczne czy religijne). Szczególna rola przypadła różnicom w strukturze społecznej i w przestrzeni miejskiej, inaczej: strukturalnemu podziałowi na sfery dobrobytu i ekonomicznej prosperity oraz obszary ubóstwa i materialnego zaniedbania (opisywane w swoim czasie tak sugestywnie w Cocketown, domyślnym Manchesterze Karola Dickensa czy w *Ziemi Obiecanej* Władysława Reymonta).

Współczesny globalny kapitalizm wprowadza zunifikowany typ gospodarowania, w którym większość z nas chciałaby jak najszybciej znaleźć swoje miejsce. Rzadko budzi się przy tym refleksja, że miejsce to nie jest z góry przesądzone; co więcej — że określi go jeszcze ostrzejszy niż dotąd podział przestrzeni globalnego systemu i uczestniczących w nim struktur społecznych na kraje rozwinięte i niedorozwinięte, miejsca rozwoju i miejsca zastoju, czy miasta prosperujące lub też miasta w stanie stresu. Ten dwubiegunowy podział — jeśli przyjąć jego uproszczoną wizję — na przykład we współczesnych Stanach Zjednoczonych umieszcza po jednej stronie awansujące, korzystające w pełni z dobrobytu rozwiniętej technologicznie cywilizacji miasta Południa i Południowego Zachodu, po drugiej zaś „upadające" wskutek tego samego podziału tradycyjne centra przemysłowe Północy i Północnego Wschodu. Kurczy się tam baza ekonomiczna wskutek odpływu kapitału, zanika wielki przemysł i wyprowadza się bogata klasa średnia. Duże, hałaśliwe, brudne i niebezpieczne miasta stają się kłopotliwym balastem zmiany nazywanej emfatycznie przejściem do „trzeciej" czy do „czwartej" rewolucji przemysłowej. Zróżnicowanie w ramach globalnego porządku ekonomicznego i politycznego to również kontrasty w wymiarze symbolicznym, np. miejsc lub też miast „dobrych" i „złych", „bezpiecznych" lub „niebezpiecznych", „sprzyjających" bądź „niesprzyjających" rozwojowi. Wprost proporcjonalnie do tego narastają problemy i zagrożenia jakim muszą sprostać obecnie duże miasta: nadmierne zagęszczenie przestrzeni i zanieczyszczenie środowiska, niedobór mieszkań i miejsc pracy, niedostatek samorządności i chroniczny brak środków finansowych. A przede wszystkim nierozwiązywalne problemy społeczne, jak segregacja rasowa i dochodowa, dyskryminacja, spekulacja gruntami i skorumpowanie niektórych miejskich instytucji.

Głównymi aktorami rozwoju w ramach globalnego kapitalizmu nie są już państwa i rządy, a tym bardziej jednostki czy zbiorowości, lecz trusty kapitałowe, zarządy wielkich korporacji i powiązany z nimi niekiedy ściśle różnorodnymi interesami *establishment*. Ich decyzje mogą zwielokrotnić lub pomniejszyć szanse na pomyślność całych regionów i miast. W latach 70. wiele korporacji w Stanach Zjednoczonych zaczęło się gremialnie przenosić z uprzemysłowionej, zimnej Północy na Południe, do szybko rozwijających się miast określanych wdzięczną nazwą *Sunbelt Cities* — Miastami Słonecznego Pasa. Tam można było nie tylko zadośćuczynić modzie na „ekologiczne środowisko" firmy, ale po prostu uprzyjemnić sobie warunki pracy i zamieszkania. W wyniku ciągłego rozwoju nowych technologii, a zwłaszcza dzięki przewrotowi spowodowanemu przez telekomunikację i przemysł informatyczny, miasta przemysłowe dawnego typu tracą swoje znaczenie na rzecz nowych centrów produkcji opartej o nowoczesne, czyste ekologicznie i nieuciążliwe technologie oraz tzw. usługi niematerialne (administracyjne, kulturalne itp.). Te nowe centra nie muszą mieć wcale miejskiego charakteru, ponieważ w warunkach współczesnej rewolucji przemysłowej ani lokalizacja, ani też koncentracja przestrzenna produkcji nie mają już znaczenia (symbolem takiej nowej lokalizacji stało się umieszczenie siedziby światowej firmy WordPefect w sercu Gór Skalistych). Natomiast do aglomeracji Północy i Środkowego Zachodu Ameryki, w których do niedawna jeszcze królował wielki przemysł, przylgnęła ironiczna nazwa *Rustbelt Cities* — „Miasta Pasa Rdzy".

Rozwój niezrównoważony

Światowy system kapitalistyczny wprowadził nowy podział pracy w skali międzynarodowej, powodujący, że rozwój poszczególnych regionów stał się „nierówny" (lub jak chcą inni — „niezrównoważony"). Sformułowana w końcu lat 70. koncepcja nowego międzynarodowego podziału pracy (*New International Division of Labor*, NIDL) opisywała tworzenie się nieznanej przedtem, transkontynentalnej struktury produkcji i dystrybucji dóbr przemysłowych. Jeśli jeszcze niedługo po zakończeniu II wojny światowej Europa i Ameryka były pod tym względem samowystarczalne, to już w połowie lat 70. zdecydowana większość produkcji przemysłowej kontrolowana była przez międzynarodowe koncerny, a procesy wytwarzania zmieniały się w kooperację wielu odległych od siebie geograficznie jednostek. Wzrost ekonomiczny następował m.in. na skutek przenoszenia produkcji do nowych miejsc, w których siła robocza była tańsza, łatwiej dostępna, mniej wymagająca i bardziej zdyscyplinowana. Głównymi rynkami pozyskiwania takiej siły roboczej, a tym samym nowymi „biegunami wzrostu" ekonomicznego, stały się kraje Dalekiego Wschodu i Azji. W następnej kolejności będą nimi zapewne peryferyjne dotychczas kraje tzw. Trzeciego Świata. Efektem tego globalnego transferu produkcji są głębo-

kie i niekorzystne zmiany na przeciwnym biegunie, to jest na rynku pracy tradycyjnych centrów przemysłowych oraz pogłębianie się dezindustrializacji — zanikania dużego przemysłu jako głównej bazy ekonomicznej miast.

Globalność gospodarki i „nierówny" rozwój, oparty na nowych zasadach organizacji produkcji w skali świata, prowadzi do podziału na prosperujące, nowe centra gospodarcze i podupadające — tradycyjne. Zmierzch tradycyjnego miasta przemysłowego, zastępowanego przez inne formy zorganizowania przestrzeni produkcyjnej i mieszkalnej, wydaje się nieuchronny. Nie trzeba dodawać, że pociąga on za sobą dotkliwe skutki ekonomiczne i pogłębia nierówności społeczne.

Teoretycy „nierównego rozwoju" opisują skutki tego procesu jako swoistą dualność w strukturze społecznej i zawodowej miast. Rozdwajanie się tej struktury na ostro ze sobą kontrastujące frakcje: z jednej strony awansujących, ruchliwych, innowacyjnych firm, zatrudniających nowoczesnych *yuppies* i wysokokwalifikowaną elitę, z drugiej — dużej liczby niewielkich podmiotów działających na granicy legalności lub wręcz w tzw. szarej strefie. Pogłębia to ekonomiczny i cywilizacyjny dystans pomiędzy wykształconą i dostatnią „górą" tej hierarchii, a kiepsko wykształconymi, żyjącymi poniżej minimum innymi grupami ludności. Dualność w strukturze przestrzennej oznacza nierówność dwóch światów: ruchliwych centralnych dzielnic biznesu i otaczających miasta dostatnich suburbiów białej klasy średniej oraz ruder i slumsów w centralnych dzielnicach miast zamieszkiwanych przez rasowo-etniczne mniejszości, pozbawione szans na korzystanie z dostatku rozwiniętego społeczeństwa ery postindustrialnej.

Szkoła Regulacyjna

Głośna w naukach społecznych grupa badaczy współczesnych procesów rozwoju, nazywanych Szkołą Regulacyjną, wysuwa tezę o dokonywającej się zmianie starego, „fordystycznego" sposobu produkcji w nowy, „postfordystyczny". Pojęcie „fordyzmu" (utworzone od nazwiska amerykańskiego twórcy przemysłu samochodowego i metody masowej produkcji) jest w tym wypadku epitomią monopolistycznego kapitalizmu. Można go charakteryzować jako przewagę ekonomiki w masowej skali oraz wielkoskalowej, masowej produkcji opartej o niezaawansowane reżimy technologiczne, a w rezultacie — masowej konsumpcji. Wbrew panującemu do niedawna podziałowi świata, po obu stronach politycznej bariery „fordyzm" odznaczał się podobnymi cechami: wysokim stopniem regulacji produkcji (subwencjonowaniem, dotowaniem, protekcjonizmem itd.) dla utrzymania wysokiego zatrudnienia w dużych organizmach przemysłowych oraz rozbudowaną polityką opiekuńczą (pewność zatrudnienia, pomoc socjalna, tanie mieszkania) dzięki bezpośredniemu angażowaniu się państwa i systemu władzy politycznej. Mniej więcej od 1980 r. — twier-

dzą przedstawiciele Szkoły Regulacyjnej — można mówić o nowej fazie rozwoju kapitalizmu: erze „postfordyzmu". Różni się ona od poprzedniej innym sposobem organizacji produkcji i stylem konsumpcji. Polega on głównie na odchodzeniu od wielkiej („sztywnej") skali produkcji i zastępowaniu jej przez nowe, bardziej elastyczne podatne na zmiany i innowacje. „Postfordyzm" cechuje zmniejszanie się skali produkcji, mniejsze nakłady pracy, bardziej zindywidualizowany i elastyczny reżim pracy. Co ważniejsze, poprzedni etap był (w mniejszym lub większym stopniu, zależnie od tego, po której stronie politycznie podzielonego świata) nie tylko systemem masowej produkcji, lecz również swego rodzaju totalnym sposobem życia. Wkroczenie w nowy etap w drugiej połowie dekady lat 70. wymusił nagły kryzys naftowy, następująca w jego wyniku recesja oraz załamanie się jednolitości i stabilności ogólnoświatowego systemu finansowego. W najbogatszych społeczeństwach zmiany na rynku pracy wyrażają się m.in. w szerokim rozwoju pracy w domu oraz zdecydowanym odejściu od produkcji masowoskalowej do średnio- lub niskoskalowej, bardziej zgodnej z indywidualnymi i szybciej zmieniającymi się upodobaniami odbiorców. **„Postfordystyczny" — lub jak chcą inni, postmodernistyczny etap, to także duża mobilność kapitału, swobodne przenoszenie się produkcji oraz związana z tym ruchliwość ludzi, prowadząca w efekcie do upowszechniania się bardziej zindywidualizowanych stylów życia i konsumpcji.**

Światowe miasta

W światowej hierarchii specjalne miejsce zajmują dzisiaj megaaglomeracje o niewyobrażalnej wprost liczbie ludności i wielkości problemów do rozwiązania (jak Mexico City, Kalkuta czy Pekin). Szczególna rola przypada w niej tzw. miastom światowym, wiodącym centrom dyspozycyjnym i kapitałowym gospodarki, jak Nowy Jork, Miami, Tokio, Londyn, dynamicznie rozwijający się Berlin i mająca wszelkie szanse na osiągnięcie światowego znaczenia Moskwa. Są wreszcie miasta pełniące specjalne funkcje usługowe (np. Atlanta, w której mieści się serce światowego systemu zarządzania komunikacją lotniczą, lub Paryż — niekwestionowana stolica mody). Reszta dużych, średnich i mniejszych miast skazana jest siłą rzeczy na konkurowanie, niekiedy bezwzględne, o zdobycie jakiegoś miejsca w dalszych rzędach. Przy czym — by takie miejsce zdobyć, miasto musi pełnić specjalne funkcje lub być pod jakimś względem niepowtarzalne (przykładowo: Edynburg jest znany jako stolica europejskiego awangardowego teatru, nieduże Kassel to miejsce odbywania się jednej z najbardziej prestiżowych wystaw sztuki współczesnej DOCUMENTA, a Praga zaczyna być znana z mnogości swoich pubów piwnych, itd.).

Można powiedzieć, iż w globalnym systemie nie wystarczy po prostu być, trzeba również mieć coś, co nada miastu jakiś indywidualny rys — *image*. Tym bardziej warto uważnie studiować problemy, przed jakimi stoją dawne miasta

wielkoprzemysłowe w wyżej rozwiniętych społeczeństwach, bowiem są one zapowiedzią tego, co (zapewne w mniejszej skali) stanie się, bądź już się staje aktualne także w polskich warunkach. Usiłują one rozwiązywać swoje trudne problemy, przenosząc wiele doświadczeń nieznanych w naszej części Europy, można je akceptować lub odrzucać, lecz przede wszystkim warto je poznawać, choćby metamorfozę zadymionego jeszcze trzydzieści lat temu przez setki kominów hutniczych centrum Pittsburgha w Złoty Trójkąt — jedno z najbardziej atrakcyjnych centrów administracyjno-handlowych i rekreacyjnych Ameryki. Jeśli ten spektakularny przykład wydałby się komuś nie na miejscu, można podsunąć znacznie bliższy geograficznie i niemal „siostrzany" Manchester jako ilustrację konsekwentnej rekonwersji całego niemal miasta, bądź proponować przekonanie się na własne oczy, jak czyste i zielone może być środowisko mieszkalne w miastach Zagłębia Ruhry, uznawanych niemal za symbol industrialnego piekła.

Dawne przemysłowe miasta w różnych regionach świata w różny sposób bronią się przed negatywnymi skutkami globalizacji i kurczenia się przemysłu jako ich głównego źródła utrzymania. Zawsze jednak warunkiem jest przyjęcie pod tym względem długoplanowej, ofensywnej strategii rozwoju. Niezwykle pouczające są próby zmiany oblicza Birmingham, drugiego miasta Wielkiej Brytanii, mającego porównywalną z Łodzią i niezbyt korzystną pozycję, ubiegającego się — trudno ostatecznie przewidzieć z jakim skutkiem — o nowy wizerunek *Europe's Meetings Place*, „miejsca spotkań Europy". Ofensywna strategia dała już owoce w postaci zlokalizowania w Birmingham jednego z największych w skali Wspólnoty Europejskiej centrum konferencyjnego, wielkiej hali sportowej i gigantycznego zespołu pawilonów targowo-wystawowych. O podobne inwestycje ubiega się Lille we Francji, a kilka następnych miast także nie czeka biernie w kolejce po duże subsydia z kasy Wspólnoty Europejskiej.

Ofensywną strategię tych miast wymusiły uwarunkowania wynikające z „nowego międzynarodowego podziału pracy". Równocześnie z doświadczeń miast przemysłowych w dobie powiązanego międzynarodowo kapitalizmu wynika, że nie muszą one być, i najczęściej nie są, biernymi lub wtórnymi odbiorcami przyczyn tkwiących niejako ponad nimi. Globalne czynniki określają co prawda ramowy kontekst, jednak miasta i mieszkający w nich ludzie są w nim nie tylko pasywnymi odbiorcami, lecz również kreatorami swej przyszłości.

Szansa Łodzi

Czy trudno określić sytuację dawnego „królestwa bawełny" na tle opisywanych tu procesów i zjawisk? Wnioski, aczkolwiek ostrożne, nasuwają się same. Kres łódzkiego dużego przemysłu jako głównej bazy ekonomicznej miasta wydaje się nieunikniony. Nieprędko powtórzy się koniunktura na niskoprzetworzone wyroby z ba-

wełny czy wełny, która pozwoliłaby znowu ożyć starym łódzkim gigantom przemysłowym. W „nowym międzynarodowym podziale pracy" ta sekcja jest już zajęta przez kraje tańszej siły roboczej, gdzie możliwe jest dalsze obniżenie kosztów produkcji dzięki automatyzacji, a w nadchodzącej perspektywie — robotyzacji.

Rzecz jasna, niełatwo (czego również uczą doświadczenia innych miast) o prostą receptę na odwrócenie niekorzystnych skutków globalizacji. Tekst ten sygnalizuje jedynie trzy rysujące się w naturalny sposób szanse miasta. **Nieuchronny koniec ery „Łodzi przemysłowej" musi powodować przejściowe załamanie się podstaw egzystencji miasta. W całym rozwiniętym świecie podobną cenę płacą za to miasta mające za sobą piękną kartę przodowania niegdyś rewolucji przemysłowej. Jest nią marginalizacja ekonomiczna sporej części mieszkańców, wzrost bezrobocia i patologii społecznej. Mimo to uważny obserwator już dzisiaj łatwo wskaże łódzkie przykłady przechodzenia z zamkniętej ery „fordyzmu" do „postfordyzmu".** Jego forpocztą w łódzkich warunkach są tysiące małych warsztatów odzieżowych, wśród nich wiele pracowicie i całkiem udanie podrabiających wyroby znanych światowych firm, które następnie rozchwytywane są na największej bodaj giełdzie odzieżowej Europy pod Tuszynem. **W nowym świecie ostrej międzynarodowej konkurencji można próbować zdobyć w międzynarodowym podziale pracy, a następnie utrwalić, solidne miejsce „miasta odzieży".** Takiego, w którym krótko po pierwszym sygnale, nadanym z jednego ze światowych centrów dyspozycyjnych mody, kupuje się ubrania szyte z jakiejś nowej lycry czy superfazy.

„Miasto odzieży" to wcale niezłe *logo* dla Łodzi. Tym bardziej, że pasuje do utrwalonego już historycznie *image* miasta, jaki budują zachowane w ilości większej niż gdziekolwiek pomniki „pierwszej" rewolucji przemysłowej. Trzeba go traktować po prostu jak towar do sprzedania czy też funkcję, jaka — szczęśliwie — przypada miastu w nowym globalnym „podziale pracy". Stołeczna Warszawa będzie musiała w zjednoczonej Europie wytrzymać porównanie z Budapesztem czy Sztokholmem, a Kraków z pobliską Pragą. Łódź nie ma konkurencji w swojej — by tak powiedzieć — kategorii. Warto to wykorzystywać jeszcze intensywniej niż dotychczas jako atut polityki tzw. *city marketing* (marketingu miasta), którą muszą uprawiać wszystkie aglomeracje; nawet te, których miejsce jest niejako z góry określone.

Wreszcie, **transformację „bawełnianej" Łodzi w „miasto odzieży" musi wspierać konsekwentna polityka wspomagania łódzkiego środowiska przedsiębiorczości.** Każda branża produkcji potrzebuje dla swego rozwoju, obok koniunktury, odpowiedniego lokalnego otoczenia (środowiska) złożonego z sieci firm, organizacji, instytucji, infrastruktury materialnej, itp. Relacje i powiązania zachodzące w takim środowisku wywołują efekt synergii lub współdziałania dla wspólnego interesu, wymuszając niejako na wszystkich uczestnikach zmianę dotychczasowych zachowań. W ten sposób tworzy się w danym mieście czy regionie innowacyjne środowisko. Szansa na powstanie nowego klimatu przedsiębiorczości, która wypycha stopniowo stare struktury.

* * *

Konkludując: globalizacja kapitalizmu i związana z nią nowa struktura produkcji stawia tradycyjne ośrodki przemysłu w szczególnie niekorzystnej sytuacji. Na szczęście dla miast takich jak Łódź istotny (jeśli nie decydujący) wpływ na ich położenie może mieć umiejętnie prowadzona i dalekowzroczna polityka odnowy, będąca w stanie otworzyć — chociaż już nie zagwarantować — możliwości ich powtórnego awansu. Na nieszczęście, z samej wiedzy na ten temat i realistycznych oczekiwań rzadko rodzą się owoce.

Emisja obligacji nie jest zadłużeniem,
ale dyskontowaniem przyszłych zysków.

JACEK PAJĄK

Skazani na obligacje

14 września na stronach ekonomicznych niemal wszystkich polskich gazet oraz w telewizyjnych i radiowych serwisach informacyjnych dominowało słowo „Łódź".

— Trudno o lepszą reklamę miasta — stwierdził prezydent Łodzi Marek Czekalski i pewnie miał rację.

„Rekordowe łódzkie obligacje", „Największa transakcja w powojennej historii kraju", „Boom na komunalne papiery wartościowe", „Sukces" — w ten sposób określono sprzedaż pierwszej transzy łódzkich papierów wartościowych.

* * *

Polskie miasta to wciąż worek bez dna. Niedoinwestowane od lat, skazane na okrawane co roku dotacje i subwencje z ubożejącego budżetu państwa samorządy znalazły się między młotem a kowadłem. Z jednej strony przepaść cywilizacyjna z rozwiniętym Zachodem, z drugiej głód pieniędzy — znacznie większy niż w aglomeracjach Wspólnoty Europejskiej. Z dziurawymi drogami, przestarzałą komunikacją masową, rozsypującymi się budynkami, niedoinwestowanymi szkołami i służbą zdrowia, hasła o wejściu do Europy bez granic to tylko slogany.

Nominalnie budżety dużych polskich miast są średnio kilkanaście razy niższe od kwot, którymi dysponują rozwinięte metropolie zachodnioeuropejskie. Realnie te różnice są jednak jeszcze znaczniejsze, ponieważ nasze potrzeby inwestycyjne są bez porównania większe niż na tzw. Zachodzie, gdzie systematycznie, od ponad 50 lat, inwestowano w samorządy tyle, ile potrzeba.

Polskie władze municypalne łakną inwestorów jak wody, bo najtaniej dla kas lokalnych jest wówczas, kiedy ktoś przyjedzie z walizką pełną pieniędzy do miasta i kupi fabrykę, coś wybuduje i da ludziom pracę. Inwestorom trzeba jednak stworzyć

fot. Piotr Zdrzynicki

warunki, rynek, zachęcić do wydawania kapitału, więc samorząd zmuszony jest z własnych kont inwestować w infrastrukturę — drogi, budynki, parkingi, hotele, komunikację. Do rozsypującego się skansenu poprzedniego systemu kapitaliści nie lgną i trudno się im dziwić. Rozwijające się miasto ściąga finansistów, ci uwiarygodniają potrzebę inwestowania w mieście, zachęcając tym samym innych do lokowania tam pieniędzy, a to z kolei napędza koniunkturę, czyli rozwój miasta. Koło się zamyka...

Przed włodarzami rodzimych metropolii stoi zatem jedno podstawowe zadanie: pozyskanie jak najtańszych pieniędzy na inwestycje. Czasem wystarczy „pogrzebać" w historii... W 1934 roku łódzkie obligacje — jako jedyne w Polsce obok warszawskich — były notowane na warszawskiej giełdzie. Po wojnie o giełdzie, symbolu kapitalizmu, nie mogło być oczywiście mowy, a centralne rozdawnictwo zdusiło samorządność.

* * *

13 września organizatorzy emisji Obligacji Komunalnych Miasta Łodzi ogłosili wyniki sprzedaży pierwszej transzy tych papierów wartościowych. Emisję obsługiwały: holenderski ING Bank N.U., Bank Śląski w Katowicach oraz łódzki Bank Przemysłowy. Bez trudu sprzedano obligacje o wartości 7 mln zł (70 mld starych zł) dziewięciu niebankowym inwestorom. Kolejne transze — w wysokości 13 i 9 mln zł — trafią do nabywców w październiku i listopadzie.

Emisja łódzkich papierów wartościowych jest największą (kwotowo) tego typu operacją finansową w powojennej Polsce. Przypomnijmy, że za pieniądze uzyskane z obligacji (29 mln zł) władze miejskie kupią 40 nowych autobusów jelcz i mercedes (kontrakt w tej sprawie już podpisano). Wszystkie obligacje — każda o nominale 100 tys. zł — będą sprzedane indywidualnym adresatom. Termin ich wykupu upływa po 2, 3 i 4 latach, a oprocentowanie „papierów" będzie ustalane co roku na podstawie rentowności 52-tygodniowych bonów skarbowych. W pierwszej sprzedanej transzy przeważały obligacje czteroletnie. Prawdopodobnie trzecia transza trafi do oferty publicznej, czyli obligacje będzie mógł kupić każdy, nie tylko wielkie instytucje finansowe.

— Jeżeli cała emisja zakończy się sukcesem, wówczas jeszcze w czasie trwania tej kadencji samorządu, czyli w ciągu najbliższych dwóch lat, taka forma pozyskiwania pieniędzy przez gminę będzie uruchamiana, na przykład na budowę wielopoziomowych parkingów lub tzw. szybki tramwaj na trasie Widzew-Retkinia — twierdzi prezydent Marek Czekalski, który nie wyklucza wyemitowania w przyszłości euroobligacji, czyli papierów wartościowych notowanych na giełdach zagranicznych (do tego przymierza się Warszawa).

— Potwierdzają się nasze prognozy co do popularności obligacji komunalnych w Polsce — powiedział Stan Szczurek, Dyrektor Generalny ING Bank w Polsce. —

Rady gmin jednak wciąż nie rozumieją, że emisja obligacji nie jest zadłużeniem, ale dyskontowaniem przyszłych zysków. Emisja obligacji łódzkich udowodniła, że Łódź jest nie tylko miejscem dużych inwestycji, ale też atrakcyjnym partnerem dla świata finansowego. Od takiego wizerunku w dużej mierze zależy dynamiczny i pomyślny rozwój miasta.

Pod względem wydatków inwestycyjnych na jednego mieszkańca (19,2 proc. z całości budżetu), Łódź lokuje się na drugim miejscu wśród największych polskich miast. Zagraniczni biznesmeni zainwestowali do tej pory w mieście ok. 250 milionów dolarów. W ciągu trzech ostatnich lat dochody gminy wzrosły niemal 2,5-krotnie — z ponad 330 mln zł w 1993 r. do prawie 800 mln zł planowanych w budżecie na ten rok. Brzmi to dość optymistycznie, ale przyszłość jest wciąż niepewna.

Zdaniem dyrektora ING, na polskim rynku może być uplasowanych 15-20 emisji obligacji gminnych, więc kto pierwszy, ten lepszy...

W październiku ma zapaść decyzja w sprawie sprzedaży stołecznych obligacji.

— Emisję uzależniliśmy od analizy opłacalności tego przedsięwzięcia, którą wykona Agencja Rozwoju Komunalnego — powiedział Krzysztof Szliszka, koordynator ds. obligacji komunalnych.

Według szacunków wysokość emisji warszawskich papierów wartościowych może sięgnąć 260 mln zł (2,6 bln starych zł), czyli dziesięciokrotnie więcej niż w Łodzi — z przeznaczeniem na inwestycje w latach 1996-98. W Warszawie bierze się pod uwagę również inny wariant: przetarg na kredyt bankowy, który — zdaniem stołecznych decydentów — jest tańszym sposobem pozyskania pieniędzy niż obligacje. Największe polskie miasto zaciągnęło już 88 mln zł kredytu na kupno taboru komunikacji miejskiej.

Pierwszym polskim miastem, które wykorzystało sprzedaż obligacji jako sposób na pozyskanie pieniędzy była w powojennej Polsce Gdynia. Podobnie jak w Łodzi, również tam środki uzyskane z emisji przeznaczono w całości na kupno nowych autobusów. Do wypuszczenia własnych papierów wartościowych szykują się Kraków i Poznań. Zapowiada się więc, że konkurencja na rynku obligacji będzie coraz silniejsza.

Jednocześnie trwa dyskusja, co się bardziej opłaca — obligacje czy zwykłe kredyty?

* * *

Przy emisji łódzkich obligacji kalkulowano w następujący sposób:

Skoro połowa łódzkich autobusów zbliża się do tzw. śmierci technicznej, rosną więc koszty amortyzacji, remontów itp. Nowe samochody są tańsze w eksploatacji. Po kilku latach, wynikające z tego oszczędności zrekompensują wydatek na kupno nowoczesnego taboru. Od pewnego czasu systematycznie zmniejsza się liczba osób

korzystających z komunikacji masowej. Trudno się dziwić, skoro prywatny samochód przestaje być luksusem, a podróżowanie nim jest często tańsze niż jazda starym autobusem czy tramwajem. Z drugiej jednak strony łódzkie wąskie ulice nie są z gumy, więc skoro samochodów przybywa, korki są coraz dłuższe i coraz gorzej jeździ się po mieście. Władze samorządowe muszą więc ludzi zachęcić do korzystania z komunikacji masowej, najprościej poprzez podniesienie standardu podróży.

Niedawno, w związku z pierwszą w mieście wystawą komunikacji miejskiej, sprowadzono z Niemiec do Łodzi tramwaj nowej generacji firmy Siemens. Pojazd ciekawy, wygodny, cichy i szybki, kursując przez kilka dni na trasie Widzew-Retkinia wywołał duże zainteresowanie. Niektórzy — zazwyczaj jeżdżący własnymi samochodami — postanowili pojechać tym tramwajem do pracy, zostawiając własne auto przy domu. Wydaje się więc, że nowoczesny tabor może być lekarstwem na zmorę dzisiejszych aglomeracji, czyli uliczny tłok. Takich zmor jest jednak znacznie więcej.

Wolno żywić przekonanie, że pismo i druk długo jeszcze stanowić będą trwały kościec naszej migotliwej kultury.

JANUSZ DUNIN

Łódzkie bibliotekoznawstwo

Tradycje bibliotekarstwa w Łodzi uchodziły za skromne. Ostatnie szczegółowsze badania wykazują, że obok znanych dokonań sieci bibliotek miejskich, zapoczątkowanych w roku 1917 przez Jana Augustyniaka, miały miejsce w naszym mieście różne inicjatywy bibliotekarskie, które od końca XIX w. służyły ludziom zainteresowanym książką.

Łódzkie biblioteki miejskie wsławiły się tym, że jeszcze przed wojną stały się kolebką nowatorskich, w skali kraju, bibliotek dla dzieci i młodzieży. Rozwój księgozbiorów hamowany był wskutek braku w mieście wyższej uczelni, poza oddziałem Wolnej Wszechnicy Polskiej. Liczba potencjalnych odbiorców słowa drukowanego była tu jednak znaczna, w lokalu wypożyczalni przy ul. Andrzeja niejednokrotnie trzeba było oczekiwać na wolne miejsce. Przed wojną rozpoczęto więc budowę imponującego na tamte czasy gmachu przy ul. Gdańskiej, który zdołano wykończyć dopiero po wojnie.

Osiągnięcia dawnych bibliotekarzy łódzkich miały przede wszystkim charakter organizacyjno-techniczny. Jedyną znaną na forum krajowym postacią był Jan Augustyniak, przez blisko 50 lat dyrektor bibliotek łódzkich, autor publikacji, nauczyciel bibliotekarzy, etc. Zainteresowania teoretyczne sprawami książki wiążą się z powstaniem w 1927 r. Towarzystwa Bibliofilów. Założył je, z pomocą dyrektora Augustyniaka, polonista i literat, działacz i znawca książki Przecław Smolik. Ukształtowany w środowisku krakowskim, próbował z dobrym skutkiem przenieść na teren łódzki swoje doświadczenia. Potrafił zgromadzić wokół siebie znaczne grono osób i zarazić niektóre z nich pasją badawczą. W kręgu oddziaływania Smolika znalazł się Władysław Strzemiński, który próbował sił jako teoretyk drukarstwa.

Kiedy Smolika odesłano na wczesną emeryturę, zamierzał on kontynuować pracę nad monumentalną historią ilustracji książkowej. Brakowało mu jednak w Łodzi odpowiednich księgozbiorów, przeniósł się zatem do Warszawy, co dla łódzkiego ośrodka było dużą stratą.

Wielki rozkwit

Po wojnie sytuacja uległa radykalnej zmianie. W związku z organizacją Uniwersytetu Łódzkiego do miasta przybyło wielu naukowców, zarówno ze zniszczonej Warszawy, jak i tzw. repatriantów, którzy wraz z „miejscowymi" stworzyli prężny ośrodek. Pilna stała się potrzeba zbudowania biblioteki uczelnianej z prawdziwego zdarzenia. Dyrektor Augustyniak słusznie odrzucił pomysł przyłączenia do Uniwersytetu istniejącej Miejskiej Biblioteki, która miałaby stanowić zaczątek biblioteki uczelnianej. Od 1945 r. grupa łodzian pod kierunkiem Zygmunta Dylika zaczęła gromadzić książki dla uczelni i budować jej bibliotekę. Była to żmudna praca, która dopiero po latach zaowocowała bogatym księgozbiorem BUŁ.

Silny ośrodek naukowy i dydaktyczny, jaki powstał w Łodzi po wojnie, przyczynił się w dużej mierze do ukształtowania bibliotekarstwa polskiego. Tu bowiem powstały pierwsze studia biblioteko- i księgoznawcze na poziomie uniwersyteckim. Ich absolwenci pracowali w licznych ośrodkach krajowych i zagranicznych, i wpłynęli na dalszy rozwój całej dziedziny — w teorii i praktyce. Warto poświęcić temu nieco miejsca, ponieważ na ogół świadomość tego dorobku nie jest w naszym mieście powszechna.

Wkrótce po wyzwoleniu w Łodzi znaleźli się wybitni znawcy problemów książki i bibliotek. Powrócił Przecław Smolik z gotowym maszynopisem swojej rozprawy o dziejach ilustracji polskiej. Był już jednak chory i zmarł w 1947 r. Niebawem pojawiły się też nowe prądy w polityce kulturalnej. Dzieło Smolika nie doczekało się wydania, rozrzucony został gotowy skład, pozostały tylko odbitki korektowe. Smolik nie spełnił więc ponownie roli katalizatora w środowisku i odszedł prawie zapomniany. Upłynęło wiele lat, nim przypomniano jego zasługi dla książki polskiej oraz dla Łodzi.

W tym czasie przenieśli się tutaj tacy specjaliści jak Adam Łysakowski, Aniela Mikucka, Jan Muszkowski i Helena Radlińska. Niestety, ich współpraca nie ułożyła się całkiem harmonijnie. Mimo to skupili wokół siebie spore grono ludzi zainteresowanych dziedziną książki i można było mówić o środowisku księgoznawczym, najsilniejszym w tym czasie w kraju. Adam Łysakowski, lwowianin, były dyrektor Biblioteki Uniwersytetu Stefana Batorego w Wilnie, znany jako specjalista od katalogów rzeczowych, objął kierownictwo powstającej Biblioteki Uniwersytetu Łódzkiego. Pozostawił w niej po sobie system katalogu przedmiotowego, mało znany wówczas w kraju. Założył też w 1948 r. Państwowy Instytut Ksiażki (PIK), w którym opublikowano szereg prac teoretycznych. W kręgu tego Instytutu znalazła się Krystyna Pieńkowska, podtrzymująca rodzinne tradycje pracy z książką. Jej ciotki prowadziły słynną wypożyczalnię sióstr Pieńkowskich na ul. Andrzeja. PIK przeniesiono w 1949 r. do Warszawy i inkorporowano do Biblioteki Narodowej, natomiast Krystyna Pieńkowska pozostała wieloletnim wicedyrektorem BUŁ. Aniela Mikucka zorganizowała łódzki ośrodek badań czytelnictwa przy spółdzielni „Czytelnik".

fot. Piotr Zdrzynicki

Muszkowski, Mikucka i Radlińska byli przed wojną związani ze studiami bibliotekarskimi w Wolnej Wszechnicy Polskiej w Warszawie. Ta niepaństwowa instytucja, jako jedyna w kraju, próbowała szkolić pracowników bibliotek na poziomie wyższym i prowadziła badania z tej dziedziny. Powstający właśnie Uniwersytet Łódzki podjął się kontynuacji prac tej placówki, Tak zrodziła się idea powołania w Łodzi studiów bibliotekoznawczych.

Najbardziej znana jako senior propagatorów czytelnictwa powszechnego prof. Helena Radlińska (ur. 1879), autorka pracy *Książka wśród ludzi*, zajęła się przede wszystkim pedagogiką społeczną i w ramach tego kierunku tylko pobocznie interesowała się rolą książki. Jej uczennica i następczyni, Irena Lepalczyk, badała m.in. czytelnictwo włókniarzy łódzkich.

Dzieło Profesora

Prof. Jan Muszkowski (ur. 1882) był prawdziwym polihistorem książki — bibliotekarzem, bibliotekoznawca, bibliografem teoretykiem, historykiem i praktykiem edytorstwa i księgarstwa. Wszechstronnie wykształcony, studiował nauki przyrodnicze, germanistykę i filozofię w Krakowie i Lipsku. Był autorem popularnego dzieła *Życie książki*, które w sposób syntetyczny przedstawiało całość historycznej i aktualnej wiedzy o produkcji, rozpowszechnianiu oraz użytkowaniu druku. W ujęciu Muszkowskiego dzieje książki przebiegały ewolucyjnie, tak jak rozwój materii organicznej, od prostych form do wyższych, bardziej wyspecjalizowanych. Był to obraz optymistyczny, w którym nie widać było jeszcze niebezpieczeństw czekających książkę w nowszych czasach. Muszkowski podjął następnie pracę nad *Socjologią książki*.

Ideą profesora było co rychlejsze zorganizowanie w Polsce studiów bibliotekoznawczych. Jej urzeczywistnienie rozpoczął od środowiska łódzkiego. W świadomości organizatorów szkolnictwa wyższego nie istniała potrzeba takich studiów i Muszkowski musiał włożyć wiele wysiłku w przeprowadzenie swego zamiaru. Rzecz opisano w referatach prof. Bolesława Świderskiego i prof. Hanny Tadeusiewicz w księdze z konferencji jubileuszowej z okazji 50-lecia pierwszej Katedry Bibliotekoznawstwa w Polsce — *Rozwój i perspektywy bibliologii polskiej* (Łódź 1995).

Z biegiem lat inicjatywa Muszkowskiego przyjęta została jako coś oczywistego. Obecnie 10 uczelni — uniwersytetów i szkół pedagogicznych — w różnych formach kształci bibliotekarzy. Studia takie przyjęły z czasem nazwę kierunku bibliotekoznawstwa i informacji naukowej. Podkreślić jednak należy fakt, że powojenny rozwój dyscypliny zapoczątkował Uniwersytet Łódzki.

Prof. Muszkowski przeprowadził dwie pierwsze habilitacje bibliotekoznawcze na Uniwersytecie Łódzkim — wspomnianego już Adama Łysakowskiego i Karola Głombiowskiego. Szczególną rolę w dalszym rozwoju dyscypliny odegrał prof. Głombiowski, który osiedlił się na długie lata we Wrocławiu, gdzie nie tylko wychował

szereg następców, ale dał podstawy metodologiczne kierunkowi zwanemu księgoznawstwem funkcjonalnym, będącym — moim zdaniem — rozwinięciem koncepcji prof. Muszkowskiego. We Wrocławiu powstały ważne wydawnictwa i czasopisma bibliotekarskie, z którymi aktywnie współpracował ośrodek łódzki.

W Łodzi wychowało się wiele osób, które odegrały poważną rolę w bibliotekarstwie, m.in. znany bibliotekarz i bibliofil Michał Kuna, Wanda i Wacław Frontczakowie — bibliografowie miasta, Irena Treichel, która doprowadziła do wydania monumentalnego *Słownika Pracowników Książki Polskiej*, wspomniana już Krystyna Pieńkowska i inni. Ogółem prof. Muszkowski wykształcił w Łodzi 71 bibliotekarzy, w tym 35 magistrów.

Słownik

W czasach doktrynerskiego stalinizmu, a zwłaszcza po śmierci profesora w 1953 r. wydawało się, że nastąpił kres łódzkiego bibliotekoznawstwa. Ożyło ono po roku 1956, kiedy dyrektorem Biblioteki Uniwersyteckiej została prof. Helena Więckowska. Rozpoczęła od zorganizowania zaocznego studium magisterskiego dla osób, które skończyły trzyletnie studia zawodowe. W tym trybie uzyskało magisterium 35 osób, m.in. Jadwiga Siniarska-Czaplicka, która po uzyskaniu doktoratu i habilitacji pozostała w Łodzi i stała się znaną w skali światowej specjalistką od historii papieru. Profesor Więckowska nawiązała też pierwsze powojenne kontakty międzynarodowe łódzkiego bibliotekarstwa. Była wieloletnim przedstawicielem Polski w Międzynarodowej Federacji Stowarzyszeń Bibliotekarskich (IFLA). Doprowadziła do obrony siedmiu doktoratów i czterech przewodów habilitacyjnych. Za jej czasów doszła do skutku wspomniana już ogólnopolska inicjatywa — wielki *Słownik Pracowników Książki Polskiej* (wyd. 1972-76). To monumentalne dzieło stało się nie tylko nieodzownym źródłem do wszelkich badań nad historią słowa pisanego, ale też ukierunkowało na lata badania księgoznawców w naszym kraju. Prace redakcyjne uzyskały bardzo wysoka ocenę.

W Katedrze Bibliotekoznawstwa opracowano szereg wydawnictw (obecnie ukazuje się periodyk „Folia Librorum"), jej pracownicy opublikowali liczne artykuły i książki w różnych ośrodkach krajowych i zagranicznych. Na przestrzeni lat uczestniczyli w kształceniu wielu bibliotekarzy na różnych poziomach, również poza własną placówką.

Utrata pierwszeństwa

Po odejściu na emeryturę prof. Więckowskiej jej miejsce zajął prof. Bolesław Świderski. Uruchomił on w 1969 r. Międzywydziałowe Studium Bibliotekoznawstwa, a w 1975 r. przywrócił pełne studia dzienne, uzupełniane zaocznymi i podyplomowymi.

Katedra odczuwała, i do dziś odczuwa, braki kadrowe. Swego czasu władze, z powodów politycznych, nie chciały zgodzić się na zatrudnienie doc. Siniarskiej-Czaplickiej. Z czasem pojawili się nowi samodzielni pracownicy nauki: Jerzy Włodarczyk, Hanna Tadeusiewicz, Anna Sitarska i Janusz Dunin. Jest ich jednak wciąż za mało, a skromne środki finansowe opóźniają bądź uniemożliwiają uzyskiwanie tak potrzebnych stopni naukowych. W tej sytuacji najstarsza i zasłużona placówka bibliotekoznawcza, która wykształciła blisko 1000 bibliotekarzy, ustąpiła pierwszeństwa innym ośrodkom, zwłaszcza wrocławskiemu i warszawskiemu. Trzeba było doprowadzić do unii z łódzką polonistyką (formalnie Katedra utraciła samodzielność), w wyniku czego stała się specjalizacją polonistyczną. Nie jest to rozwiązanie szczęśliwe, ponieważ księgoznawstwo zajmuje się nie tylko książkami z dziedziny szeroko pojętej beletrystyki.

W roku 1995, w półwiecze Katedry, nastąpiły istotne zmiany organizacyjne. Przez długi czas pracownicy Katedry Bibliotekoznawstwa i Informacji Naukowej byli równocześnie zatrudnieni jako bibliotekarze BUŁ, a jej dyrektorzy bywali kierownikami studiów. Ta unia personalna z Biblioteką została zerwana, a ponadto rosnąca ciasnota w gmachu przy ul. Matejki zmusiła do przeniesienia całego kierunku do osobnego lokalu przy al. Kościuszki 17, zabytkowego i pięknie wyremontowanego. Wprawdzie dzięki temu uniknięto nieuchronnego konfliktu, do jakiego prowadzi zawsze sublokatorstwo, ale równocześnie stracono tak istotny dla przyszłych bibliotekarzy codzienny kontakt z poważnym księgozbiorem. Dyrekcja BUŁ pozostawiła w dyspozycji bibliotekoznawców jedynie salę do ćwiczeń. Ważnym zadaniem stała się rozbudowa i unowocześnienie laboratorium komputerowego w Katedrze, którego poziom jest warunkiem sine qua non nowoczesnego kształcenia.

Jaki absolwent

Chociaż istnienie studiów bibliotekoznawstwa i informacji naukowej zostało już usankcjonowane na polskich uczelniach, a ich absolwenci nie maja większych trudności z zatrudnieniem, problem zakresu takiego kształcenia pozostaje wciąż otwarty. Istnieją dwie skrajne jego koncepcje. Pierwsza zakłada, że uczelnia musi wykształcić inteligenta o możliwie szerokich horyzontach, zwłaszcza humanistycznych i językowych, przygotowanego do podejmowania różnego rodzaju zadań, nie tylko bibliotekarskich, ale też np. księgarskich. Przyjmuje się, że tak przygotowany absolwent potrafi w swym przyszłym miejscu pracy nabyć potrzebne wiadomości techniczne. Główną osią studiów ma być teoria książki i innych środków przekazu, ich historia, socjologia itp. Taką koncepcję wypracował ośrodek wrocławski i sadzę, że jest ona zgodna z pierwotną myślą prof. Muszkowskiego.

Istnieje też inna wizja tych studiów, nastawiona przede wszystkim na praktyczne, zawodowe szkolenie pracowników bibliotek. O ile wiem, wszystkie działające

dziś instytuty i katedry bibliotekoznawcze próbują w mniejszym lub większym stopniu iść drogą pośrednią, nie lekceważąc problematyki ściśle zawodowej. Tak też się dzieje na Uniwersytecie Łódzkim.

W skali ogólnopolskiej, przy obecnym zapotrzebowaniu — bibliotek i innych instytucji związanych z książką — na absolwentów, powstaje problem niedostatku osób, które chciałyby poświęcić się pracy naukowej, a zwłaszcza dydaktyce. Poza tym istnieje przekonanie o małej atrakcyjności tego rodzaju studiów. Moda na bibliotekoznawstwo, którą przed paru laty przeżywaliśmy w Łodzi, przeminęła. Pojawiają się na naszym kierunku bardzo zdolni studenci, ale to są chwalebne wyjątki.

Inne studia

Trwają dyskusje nad tym, jak zaradzić kłopotom. Jednym ze sposobów wyjścia z sytuacji byłoby powołanie instytutów poświęconych mediom, odpowiadających obecnym studiom kulturoznawczym i bibliotekoznawczym. Studia takie na pierwszych latach dawałyby wszystkim studentom ogólne przygotowanie literackie, filozoficzne, psychologiczne, pedagogiczne, językowe itp. Następnym etapem byłaby specjalizacja, a w jej ramach przygotowywanie przyszłych teatrologów — nieaktorskich pracowników teatrów i krytyków; filmologów — do analogicznej obsługi świata kina; można by także pomyśleć o kształceniu specjalistów dla potrzeb radia i telewizji. Dalej — specjalizacja księgoznawcza związana z tradycyjnym i ciągle ważnym medium, jakim jest słowo drukowane, przygotowująca nie tylko bibliotekarzy, ale wysoko kwalifikowane kadry dla księgarstwa oraz fachowców dla ruchu wydawniczego. Integracja bibliotekoznawców z tak pomyślanym kierunkiem mediów byłaby bardziej naturalna niż jego mechaniczne przypisanie do filologii polskiej. Zresztą pewne podstawy wiedzy o innych mediach są konieczne dla księgoznawców, którzy będą pracować w kształtującym się multimedialnym otoczeniu. Wolno żywić przekonanie, że pismo i druk długo jeszcze stanowić będą trwały kościec naszej migotliwej kultury. Gdyby powstał taki kierunek, można by poszerzać go o pewne nie istniejące tutaj specjalności, np. dziennikarstwo czy muzealnictwo, pomyślane jako metodyczne przygotowanie kadr dla placówek innych niż związane z wystawiennictwem dzieł sztuki. Kierunek taki przyciągnąłby do współpracy również socjologów i ekonomistów kultury, zainteresowanych np. rynkiem księgarskim, stałby się więc atrakcyjniejszy dla studentów. Byłby przydatny także z organizacyjnego punktu widzenia, pozwoliłby skupić w jednym miejscu specjalistów różnych dziedzin, którzy by wzajemnie się uzupełniali.

Powyższe uwagi scharakteryzować miały osiągnięcia i problemy kierunku, który od półwiecza jest związany z naszym ośrodkiem naukowym, ma na swym koncie wiele poważnych dokonań, a często bywa pomijany przy ocenie naszej uczelni.

Nigdy ścieżki ludzkiego życia
nie przecinają się daremnie.
Wierzę w celowość, logikę,
w sens wszystkiego,
co nas w życiu spotyka.
Helena Duninówna

ANNA SZTAUDYNGER-KALISZEWICZ

Serce swobodne i młode

wspomnienie o Amelii Bursównie

Początek naszej znajomości wiąże się z osobą i domem pisarki Heleny Duninówny i jej męża, aktora filmowego, Tadeusza Małuszyńskiego. Był to dom niezwykły. Pomimo sędziwego wieku gospodarzy, bardzo skromnych warunków materialnych i ciężkiej choroby pani Heleny — pełen radości życia, życzliwości i wyszukanej uprzejmości dla ludzi, dom typowo inteligenckiej atmosfery entuzjazmu dla ciekawych książek, malarstwa, muzyki.

Amelia była zaprzyjaźniona z panią Duninówną, natomiast mój mąż, dr Seweryn Kaliszewicz, był lekarzem jej i jej męża. Pani Helena zmarła w 1971 r., a półtora roku później, na wiosnę 1973 r., odszedł także pan Tadeusz. Był mężczyzną słusznego wzrostu i wyniesienie dużej trumny, zwłaszcza z małego przedpokoju, stanowiło nie lada problem. W najbardziej krytycznym momencie tej ostatniej drogi pana Małuszyńskiego, na klatce schodowej trzasnęły drzwi windy i w progu mieszkania pojawiła się niska pani o bardzo smutnych oczach. Podałyśmy sobie ręce ponad stojącą w przedpokoju trumną, i choć wcześniej znałyśmy się tylko z opowiadań — w jednej chwili stałyśmy się sobie bliskie. Amelia uważała nasze niezwykłe spotkanie, poznanie i przyjaźń za dzieło przyjaciół z drugiej strony Styksu.

Drogi nasze odtąd zaczęły się krzyżować — w kilka dni później spotkałyśmy się na pierwszym dla mnie zebraniu Towarzystwa Bibliofilów, do którego wprowadził mnie wspaniały wydawca, typograf i miłośnik pięknej książki, Michał Kuna. Amelia od lat była aktywnym członkiem bibliofilskiej gromady i od tego czasu razem uczestniczyłyśmy w zebraniach Towarzystwa.

W kilka tygodni później Amelia zabrała mnie, prawie siłą, na spotkanie z ojcem Tomaszem Rostworowskim TJ, który po wielu latach pobytu w Rzymie powrócił do Łodzi na 50-lecie swoich święceń kapłańskich. Tak znalazłam się w małej salce parafialnej kościoła oo. Jezuitów, gdzie przy długim stole, ciasno obok siebie siedziało około czterdziestu osób. Wchodzącego ojca Tomasza przywitano owacją i okrzykami radości.

Ojciec Tomasz opowiadał żartobliwie i z autoironią o swojej pracy w Radiu Watykan, i wzruszająco o swej tęsknocie za Polską. Potem był czas na osobiste rozmowy — kolejno dosiadaliśmy się do ojca Tomasza.

Trochę bałyśmy się z Amelią, jak ojciec przywita mnie — nie znaną mu osobę. Dlatego na pierwszy ogień poszła Amelia, z którą rozmowa toczyła się głównie wokół jej ciężkiej choroby (już wtedy z trudem chodziła). Potem przyszła moja kolej. Ojciec spojrzał na mnie. — A pani nie znam — powiedział z ujmującym uśmiechem, — To moja przyjaciółka Anna, córka Jana Sztaudyngera — pośpieszyła z wyjaśnieniem Amelia.

Ojciec Tomasz roześmiał się i wyrecytował:

Wymagającej
Znowuż pończoszki, moja droga
Czyś ty stonoga?

I zaraz poważnie dodał: — Mój stryj, Karol Hubert Rostworowski, napisał przecież przedmowę do młodzieńczych wierszy Sztaudyngera. A ja pamiętam go z lat 20. z Krakowa, byłem na jego wieczorze autorskim.

Byłam bardzo wzruszona i uradowana tą rozmową. Ale najbardziej cieszyła się Amelia. Wtedy po raz pierwszy odczułam siłę jej bezinteresownej, radosnej, wspaniałej przyjaźni.

* * *

Niestety, stan zdrowia Amelii stale się pogarszał, zwłaszcza po nieudanej kuracji złotem oraz szpitalnym zapaleniu płuc. Ostatecznie przestała wychodzić z domu. Przez wiele lat opiekował się nią jej brat, Stanisław Bursa, sam chory na cukrzycę. Podczas jego ostatniej choroby, a potem po jego śmierci (w 1975 r.), opiekę nad Amelią przejął pan Antoni Zajączkowski, przyjaciel jej brata. Mimo zaawansowanego wieku i związanych z nim własnych dolegliwości z poświęceniem zajmował się osobą unieruchomioną w łóżku, o niesprawnych rękach, coraz gorzej widzącą.

Opieką otaczało także Amelię grono jej koleżanek z Biblioteki Uniwersyteckiej (nie pamiętam wszystkich osób i nazwisk). Najwierniej towarzyszyła jej śliczna, zawsze uśmiechnięta pani Wanda Sulikowska, także pani Irena Treichel. Pani Wanda — jak dobry duch — była pomocna w różnych codziennych kłopotach, zawsze też umiała podnieść na duchu „Myszkę" (jak koleżanki nazywały Amelię). Pani Treichel, redaktor monumentalnego *Słownika Pracowników Książki Polskiej*, osoba o wielkiej wiedzy, budząca swoim dystyngowanym wyglądem i zachowaniem szacunek i sympatię, podczas swoich odwiedzin prowadziła z Amelią poważne fachowe dyskusje i mobilizowała ją do dalszej pracy naukowej. Dzięki temu, mimo ciężkiego stanu zdrowia, Amelia napisała, czy raczej podyktowała, kilkanaście biogramów (o Mrożewskim, Stanisławie Sawiczewskim i in.) do wspomnianego *Słownika*. Pamiętam radość Amelii po każdej rozmowie z panią Treichel, a po ukazaniu się tej uczonej opasłej księgi — jej dumę ze swego w niej udziału (zwłaszcza po liście gratulacyjnym dyrektor BUŁ, Heleny Więckowskiej, wieloletniej szefowej Amelii, która wcześniej ponoć jej nie doceniała). Były to chwile prawdziwej radości, tryumfu nad chorobą i cierpieniem.

* * *

Pewnego dnia zaalarmował mnie telefon Amelii, a była to rzadkość, bo telefonowała tylko w ważnych sprawach (sprowadzenie lekarza, poszukiwanie leków), gdyż pan Antoni uważał, że „nie należy ludziom zawracać głowy". Chyba nie do końca rozumiał potrzebę kontaktu Amelii z bliskimi osobami.

Głos Amelii był jeszcze radośniejszy niż zwykle: — Aniu, przyjeżdża niezwykły ksiądz — jezuita ojciec Mieczysław Bednarz z Krakowa — natchniony kaznodzieja, znawca poezji maryjnej, i odprawi Mszę św. przy moim łóżku. Zbierze się liczne grono osób znających o. Bednarza z rekolekcji, i ty musisz także być.

Stawiłam się zatem w wyznaczonej porze. Maleńkie mieszkanko wypełnione było ludźmi po brzegi. Nie wiem dlaczego o. Bednarz wybrał mnie do pomocy przy ubieraniu się w szaty liturgiczne. Tak zostałam ministrantem, także podczas następnych bytności o. Bednarza.

Myślę, choć nigdy o tym nie rozmawiałyśmy, że to Amelia prosiła o. Bednarza, aby mnie oswoił, a później wyspowiadał (nie miałam jeszcze wtedy ślubu kościelnego — zatem także formalnych uprawnień do otrzymania rozgrzeszenia). Radość Amelii, gdy przy powtórnej bytności o. Bednarza dojrzałam do decyzji, była ogromna. Dopiero teraz w pełni zdaję sobie sprawę, że Amelia stała się moim przewodnikiem duchowym.

* * *

Każda rozmowa z Amelią przynosiła coś interesującego. Choć była nieśmiała i bardzo delikatna, umiała jednym zdaniem trafnie scharakteryzować osobę czy sytu-

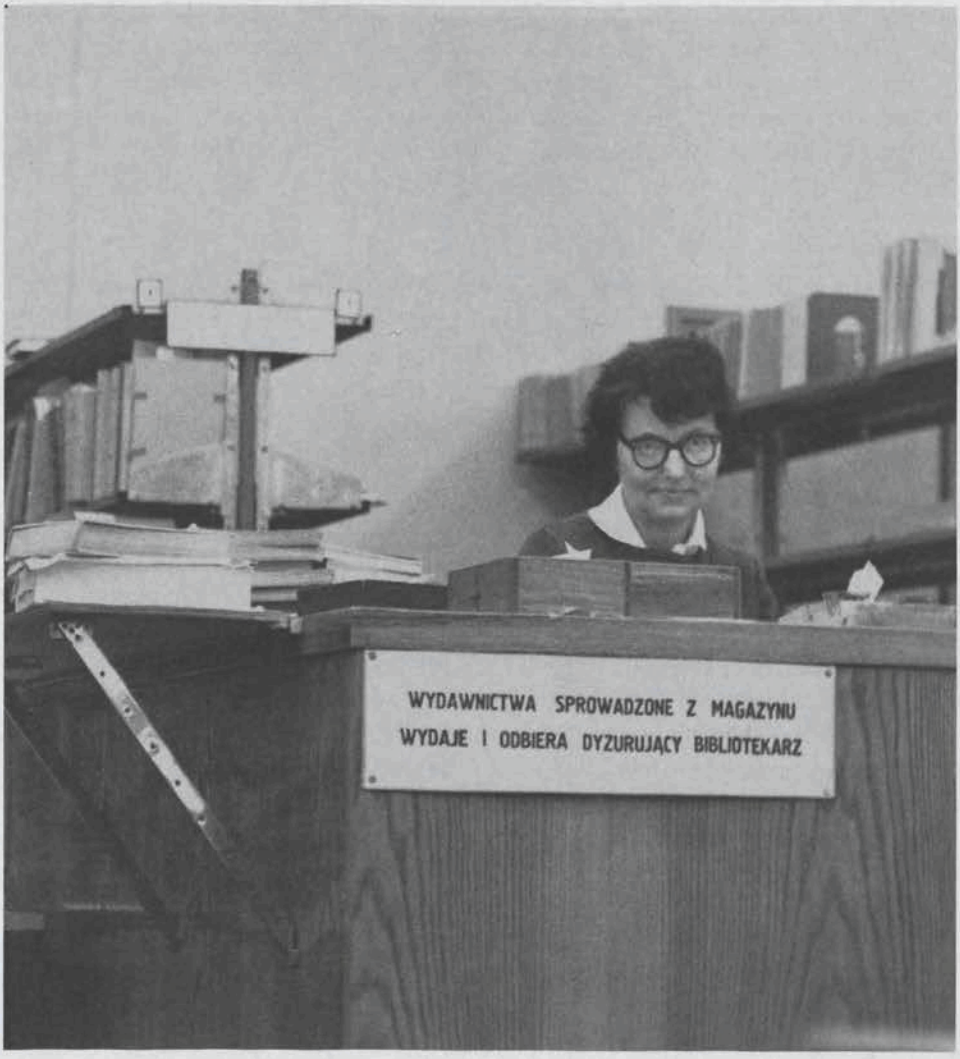
WYDAWNICTWA SPROWADZONE Z MAGAZYNU
WYDAJE I ODBIERA DYZURUJĄCY BIBLIOTEKARZ

ację, zawsze dowcipnie, a niekiedy złośliwie. Miała ogromny dar i wyczucie słowa, tak cenne przy jej próbach poetyckich. Z powodu postępującej choroby nigdy nie widziałam jej przy malowaniu. Ale ściany jej mieszkania były ozdobione kilkoma jej obrazami przedstawiającymi kwiaty.

Rozmowy z Amelią miały posmak przygody — zarówno intelektualnej, jak emocjonalnej. Jej sądy o literaturze czy sztuce były zawsze bardzo osobiste, za nic miała autorytety, mody czy snobizmy. I tak np. uwielbiała *Lalkę* Prusa, a nie lubiła prozy Dąbrowskiej. Zaczytywałyśmy się Pawlikowską, Lipską i Szymborską, lecz nasz podziw dla ich poezji nie miał w sobie nic z feminizmu. Najczęściej jednak z zachwytem czytałyśmy Leśmiana. Czasem rozmawiałyśmy też o sprawach seksu, miłości i o różnicy w podejściu do wielu spraw mężczyzn i kobiet. Myślę, że ani ja, ani ona tak otwarcie nigdy z nikim nie rozmawiała.

Przyjaźń Amelii objęła całą moją rodzinę. Mój mąż zawsze dostawał życzenia na imieniny, z miłymi słowami podzięki za recepty czy lekarstwa, które często zanosiła nasza córka Dorota. Z okazji ukończenia szkoły podstawowej Dorota dostała wspaniałe wydanie *Pana Tadeusza* z ilustracjami Andriollego z taką dedykacją; „Dorotce, mojej sympatii, gratulując małej matury — Amelia Bursówna, Łódź, 5 czerwca 1976 roku".

Amelia miała bardzo hojną rękę. Dostałam od niej kilka książek z miłymi dedykacjami. Niestety, pisała z coraz większym trudem (ręce i oczy były coraz słabsze). Litery stawiała wielkie, nierówne, a ostatnia dedykacja wpisana jest na podwójną kartkę w kratkę, wklejoną do książki Jana Szczepańskiego *Sprawy ludzkie*. Brzmi ona:

Ani — memu promykowi słońca
życzę wszelakich radości bez końca...
Cieszę się z trójkąta:
Ty, Hala i ja

całuję mocno
Amelia

Łódź, 26 VII 1980

Muszę się z tej dedykacji wytłumaczyć.

Uczestniczyłam w ogólnopolskich badaniach domów dziennego pobytu dla ubogich, starych samotnych ludzi i często jeździłam na zebrania zespołu do Warszawy. Opowiadałam Amelii o naszej pracy i o ciekawych ludziach, których tam poznawałam. Razu pewnego z ogromnym przejęciem zaczęłam opowiadać o wielkim uroku osobistym i mądrości prof. Haliny Szwarc (lekarza geriatry) i z zapałem przekonywać Amelię o jej ogromnych zaletach. I tu nastąpiła nieoczekiwana reakcja — Amelia zaczęła się śmiać i śmiała się długo, aż do łez. Kiedy w końcu przestała i otarła oczy, wyjaśniło się, że Halinę Szwarc zna od dawna. Poznały się w końcu 1944 r. w celi niemieckiego więzienia na ul. Gdańskiej 13 w Łodzi. Później dowiedziałam się od pani Szwarc, że śledztwo i więzienie przetrwała dzięki cowieczornym

barwnym opowieściom Amelii o przeczytanych ongiś książkach. Opowiadała ponoć tak ciekawie, dowcipnie i z taką plastycznością, że słuchaczki z celi zapominały o więziennej rzeczywistości, przenosząc się w świat literackiej fikcji. Młodzieńcza przyjaźń obu pań przetrwała całe życie.

Wracając do nazbyt pochlebnej dla mnie dedykacji Amelii. Są w niej zawarte dwie niezwykle ważne sprawy — cudowny zbieg okoliczności, pozwalający mi poznać profesor Halinę Szwarc (dzięki której zajęłam się później Uniwersytetami 3. Wieku), oraz niezapomniane chwile radości przy listach do niej, które dyktowała mi Amelia. Amelię niezwykle cieszyła nasza przyjaźń — nazywała ją najbardziej udanym „trójkątem" jaki zna.

* * *

Amelia często dyktowała swoje listy i wiersze. Pamiętam przychodzące do mnie, w czasie wakacji w Zakopanem, listy pisane pod dyktando pani Amelii pięknym kaligraficznym pismem przez uroczą panią Janinę Sypniewską. Wiersze natomiast układała Amelia zwykle podczas porannej modlitwy, a były to wiersze religijne. Zrobiłam na szczęście odpisy kilku wierszy. Ze wzruszeniem przytaczam jeden z nich:

Bądź w każdej mojej myśli,
W każdym moim słowie,
Bo lękam się opierać wyłącznie na sobie.
Ty jesteś moją siłą, Jezu — i radością
A ja bez Ciebie — nicością.
W brzasku poranka modlę się nieśmiało
(A może ta modlitwa jest prośbą zuchwałą?)
By i moje myśli były Twoimi myślami
I moje drogi — Twoimi drogami.

18 V 1985

* * *

Odwiedzało Amelię wiele osób: przyjaciół, znajomych, ale i złośliwych głupców, a nawet naciągaczy, jak syn pewnego, znanego niegdyś łódzkiego reżysera, który tak barwnie przedstawił swoje kłopoty, że otrzymał sporą kwotę — oczywiście na wieczne nieoddanie. Jednak na ogół okazywano Amelii sympatię i pomoc.

Wystarczy choćby wspomnieć leczących ją lekarzy.

Dr Bazyli Bogorodzki, okulista, przez wiele lat przyjeżdżał wraz z asystentką i niezbędną aparaturą, by zbadać oczy Amelii. I co równie ważne — podtrzymywał ją na duchu, zachęcał do czytania coraz większych, niestety, liter, a kiedy uznał operację za konieczną — zabrał ja do szpitala razem z panem Antonim, którego ustawicz-

na opieka nad zupełnie unieruchomioną Amelią była niezbędna. Ponieważ Amelia nie mogła usiąść — operował ją klęcząc i żartował, że jeszcze nigdy tak długo nie klęczał przed żadną kobietą.

Dr Bronisław Leszczyński, nieprzytomnie zapracowany, zabiegany lekarz, oprócz badań, recept i leków przynosił chorej bukiety kwiatów, prawił jej komplementy, obdarowywał kwietnymi przydomkami i często znajdował czas na rozmowy o sztuce, literaturze czy muzyce.

I wreszcie dr Jerzy Pruszczyński, którego poznałam w szpitalu reumatologicznym na Mińskiej, z wielkim bukietem czerwonych goździków dla chorej. Poza stałymi odwiedzinami przysyłał Amelii także z każdego urlopu śliczne kartki z kapitalnym opisem miejsc, które właśnie oglądał.

Nie wszystkich lekarzy Amelii znałam, nie znam też nazwisk wielu ludzi, którzy pomagali jak mogli panu Antoniemu w ogromnym trudzie opieki nad unieruchomioną chorą.

W domu Amelii spotkałam wiele wspaniałych osób, zarówno wybitnych naukowców, jak i ludzi niepozornych o miłosiernym sercu, młodych i starszych. I pomimo dramatu — postępującej choroby Amelii i jej widocznego cierpienia — był to dom pogodny, serdeczny i otwarty na troski i kłopoty innych. Wielka to zasługa przede wszystkim Amelii, ale także i pana Antoniego.

* * *

Wiadomo, że ciężko chory człowiek potrzebuje opieki czy dobrego słowa innych ludzi, ale w przypadku Amelii była to potrzeba obustronna. Ona potrzebowała nas, ale my (a wyrażę tu opinię wielu bliskich jej osób) potrzebowaliśmy także Amelii. Jej bohaterska postawa wobec cierpienia, pogoda ducha, poczucie humoru, błyskotliwa inteligencja i dar beztroskiego uśmiechu — promieniowały również na nas i dodawały nam sił do znoszenia codziennych kłopotów. Wobec ogromu jej cierpienia malały nasze problemy i stawały się mniej ważne.

Kiedy teraz tęsknię za rozmowa z Amelią, czytam sobie na pociechę wiersz mego Ojca — *Antyfonę o nieśmiałej świętej*. Oto fragment tego wiersza, żywy portret Amelii:

W kąciku kruchty stała
Święta nieśmiała.
Bała się wejść do kościoła,
Aby nie zbudzić anioła,
Bała się stanąć za progiem,
Aby nie minąć się z Bogiem...
Nie śmiejąc wefte ni wefte,
Modliła się cichym szeptem...

[...]
Och, nikogo ona nie ocali,
Nie wyrobi wysokiej protekcji,
Stoi w sieni, jak ludzie nieśmiali
Albo dzieci nie umiejące lekcji.
I tak dobrze mi do niej się modlić,
Jakbym mówił w samo ucho ciszy...
Jakbym modlił się tchnieniem melodii,
Której nawet Pan Bóg nie usłyszy.
I nie pragnę wcale wysłuchania,
I nie pragnę spełnień i faworów,
Niech mi serce jak dzwonek podzwania,
Gdy weń dzwoni cicha dłoń wieczoru...
A więc módlcie się, módlcie, ja proszę,
Tak jak kaczki puszcza się na wodę,
Nie o grosze i nie o rozkosze,
Lecz o serce swobodne i młode.

Amelia była właśnie taką „nieśmiałą świętą" z wiersza mego Ojca. Trudne koleje losu, prostota i skromność nie pozwoliły jej rozwinąć w pełni licznych talentów — poetyckich, malarskich czy naukowych. Cierpliwość i pokora, z jaką przyjmowała swą chorobę i cierpienie, graniczyły ze świętością. A serce miała do końca „swobodne i młode".

Amelia Bursa urodziła się w 1909 r. w Łodzi. Tu spędziła niemal całe życie, z wyjątkiem okresu studiów na Uniwersytecie Warszawskim i pracy w Bibliotece UW i Narodowej. W grudniu 1939 r. wróciła do Łodzi. W czasie wojny związana z AK, przypłaciła to aresztowaniem w 1944 r. — pod zarzutem sabotażu w fabryce gumy „Gummiwerkswartheland" — i skazaniem na Ravensbrück.

Od roku 1946 do emerytury (1970) pracowała w Bibliotece Uniwersytetu Łódzkiego (od 1960 w randze kustosza). W 1963 r. otwarła przewód doktorski na temat „Literatura polska w ilustracji graficznej", pod kierunkiem prof. Jana Durr-Durskiego. Po śmierci promotora temat pracy został zmieniony (mimo zgromadzenia ogromnego materiału — kartoteki ilustratorów polskich książek) na „Elementy literackie w twórczości Stefana Mrożewskiego". Mimo ciężkiej choroby nadal pracowała naukowo i twórczo, publikując artykuły w „Listach Bibliofilskich", przygotowując hasła do *Encyklopedii Wiedzy o Książkach* (1971) i *Suplementu* do niej (1986). Pisała także wiersze, głównie o tematyce religijnej. Zmarła w 1990 r.

TADEUSZ PAWŁOWSKI (1924-1996)

5 stycznia 1996 r. zmarł Profesor Tadeusz Pawłowski, do niedawna kierownik Katedry Estetyki Uniwersytetu Łódzkiego.

Urodził się 10 października w Warszawie. W 1948 r. podjął studia na ówczesnym Wydziale Humanistycznym Uniwersytetu Łódzkiego i od tej pory trwale związał się z Łodzią. Studiował filozofię i socjologię pod kierunkiem znakomitych nauczycieli, m.in. Janiny i Tadeusza Kotarbińskich oraz Marii i Stanisława Ossowskich. Jako wyróżniającemu się studentowi już w 1950 r. powierzono mu obowiązki młodszego asystenta.

Spośród licznych specjalności filozoficznych Tadeusz Pawłowski upodobał sobie metodologię nauk. Zgodnie z programem głoszonym wówczas przez liderów polskiej logiki (m. in. przez Janinę Kotarbińską i Kazimierza Ajdukiewicza) miała to być metodologia analizująca i oceniająca faktyczną praktykę badawczą uczonych w różnych gałęziach nauki. W tym klimacie pisze Tadeusz Pawłowski swoje pierwsze publikacje oraz obronioną w 1958 r. pracę doktorską *O warunkach naukowej użyteczności pojęć przyrodoznawstwa*, której promotorem była J. Kotarbińska. Pierwsza opublikowana przezeń książka nosi tytuł *Z metodologii nauk przyrodniczych* (1959).

W latach 60. zainteresowania Tadeusza Pawłowskiego zwracają się w stronę problemów metodologicznych socjologii empirycznej, z którą zetknął się przebywając w USA na stypendium Fundacji Forda. Pasjonują go zwłaszcza perspektywy i warunki zastosowania pomiaru w naukach społecznych. Z problematyki tej habilituje się na Wydziale Filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego w 1963 r. Z biegiem czasu Tadeusz Pawłowski rozszerza swe zainteresowania metodologiczne na ogół

nauk humanistycznych, czego produktem są monografie: *Metodologiczne zagadnienia humanistyki* (1969), *Pojęcia i metody współczesnej humanistyki* (1977) i *Tworzenie pojęć i definiowanie w naukach humanistycznych* (1978). Wszystkie te monografie mają wersje obcojęzyczne (niemiecką i angielską).

Zainteresowaniom naukowym Profesora Pawłowskiego zawsze towarzyszyło pragnienie — chociażby biernego — uczestnictwa w sztuce. Początkowo była to muzyka, później również plastyka, film i inne gatunki działalności artystycznej. Prawdopodobnie chęć zgłębienia tajemnicy piękna skierowała jego zainteresowania teoretyczne w stronę estetyki. Począwszy od lat 70. estetyka i teoria sztuki stają się główną domeną twórczości naukowej Tadeusza Pawłowskiego. Uzyskany w tej dziedzinie dorobek sprawił, że w 1977 r. został powołany na stanowisko kierownika Katedry Estetyki Uniwersytetu Łódzkiego.

W dociekaniach estetycznych Profesora Pawłowskiego na pierwszym planie znalazła się sztuka awangardy, a w szczególności happening, któremu poświęcił osobną monografię (*Happening*, 1982, wydanie drugie, rozszerzone — 1987). Wybór taki nie był przypadkowy, bowiem autor zmierzał do wypracowania uniwersalnej koncepcji wartości estetycznych, obejmującej również te zjawiska artystyczne, które często bywały traktowane jako przejaw antyestetyzmu. Koncepcję taką nakreślił w ostatniej spośród opublikowanych książek, zatytułowanej *Wartości estetyczne* (1987, wydanie angielskie — 1989). Zdaniem Tadeusza Pawłowskiego wartości estetyczne są obiektywne, można je badać metodami empirycznymi i przysługują nie tylko dziełom sztuki, lecz również wytworom techniki i zjawiskom naturalnym. Stanowisko takie określa się niekiedy mianem panestetyzmu.

Publikacje Profesora Pawłowskiego z dziedziny estetyki noszą wyraźne piętno uprzednich zainteresowań logiczno-metodologicznych, co stanowi o ich istotnej oryginalności, trudnej niekiedy do zaakceptowania dla krytyków i teoretyków sztuki hołdujących innym stylom pisarskim.

Profesor Pawłowski przez ponad czterdzieści lat wykonywał zawód nauczyciela akademickiego. Do 1977 r. uczył logiki. Ci, którzy słuchali jego wykładów, pamiętają, że wyróżniały się one ścisłością, elegancją i — o co nie łatwo w tym przedmiocie — przystępnością. W następnych latach prowadził wykłady i seminaria z estetyki. Parokrotnie gościł jako wykładowca na uniwersytetach niemieckich. Wykładał również na Uniwersytecie Oxfordskim.

Tadeusz Pawłowski był członkiem wielu towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych. W latach 60. przewodniczył Oddziałowi Łódzkiemu Polskiego Towarzystwa Filozoficznego.

U progu wieku emerytalnego podstępna choroba przerwała jego aktywność zawodową.

Adam Nowaczyk

JAN SKĄPSKI

Teatr do wzięcia
część I

(ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN)

Niemal wszyscy dyrektorzy stałej sceny łódzkiej kończąc swoje kadencje byli finansowymi bankrutami. Żegnali Łódź zadłużeni, z nikłą nadzieją na uregulowanie zobowiązań i to też raczej w odległej przyszłości. Wcześniej bowiem w prowadzenie sceny łódzkiej zainwestowali gromadzone przez całe życie majątki. Jeden z nich, Marian Gawalewicz, przez trzy lata kierowania teatrem łódzkim stracił nawet wielotysięczny posag córki.

Ta szczególna przypadłość trapiąca kolejnych dyrektorów łódzkiego teatru skłoniła Adama Grzymałę-Siedleckiego do zestawienia „dostojnego pocztu samobójców". Tak bowiem określał antreprenerów decydujących się na prowadzenie sceny w Łodzi.

A jednak mimo periodycznie powracających informacji o krachu finansowym kolejnej dyrekcji, o wysokości straconego przez antreprenera majątku, jego materialnej ruinie, chętnych do przejęcia steru sceny łódzkiej nie brakowało. Nawet przeciwnie.

Z biegiem lat
przybywało kandydatów
do prowadzenia teatru nad Łódką,

a swoje oferty składali słudzy Melpomeny o coraz bardziej poważanych nazwiskach i cenionym dorobku.

Zaledwie kilkunastu spośród nich miało prawa tytułować się dyrektorami sceny łódzkiej. Jednak analizując ich dokonania zazwyczaj się pomija kontrkandydatów, a przynajmniej — marginalizuje. Sprzyja temu również to, że zachowały się niepełne informacje o ich łódzko-dyrektorskich aspiracjach. No i są one rozproszone w archiwalnych dokumentach i korespondencji. Często jedynym śladem niektórych zabiegów są wzmianki w prasie.

Niewątpliwie przypomnienie przegranych w wyścigu do dyrektorskiego fotela daje podstawy do spekulowania o teatrze, jaki mógłby być. Zadanie nęcące, ale jak każde tego typu rozważanie musiałoby pozostać jedynie grą intelektualną.

Zestawienie, choćby niekompletne, personaliów zainteresowanych prowadzeniem łódzkiej sceny podważa sens czarnej legendy Łodzi: „złego miasta", trudnego i niewdzięcznego, w którym teatr był słabo zakorzeniony. Niezależnie od osobistych motywacji kandydatów do kierowania łódzkim teatrem, nie świadczy źle o mieście i jego ówczesnej kulturze.

Teatr w Łodzi był przedsiębiorstwem prywatnym, a całe ryzyko finansowe ponosił jego dyrektor. Takie właśnie zasady obowiązywały

w 1888 r., kiedy zaczynał
Łucjan Kościelecki.
Jego kadencja inauguruje działania
stałej łódzkiej sceny polskiej.

Kościeleckiemu do objęcia kierownictwa sceny wystarczyła umowa z Emilem Freudenbergiem, ówczesnym właścicielem budynku teatru Victoria (Piotrkowska 67) oraz zgoda władz carskich. Podobne dokumenty każdorazowo zmuszeni byli uzyskiwać także jego następcy. Niemniej pojawiły się i inne okoliczności oraz procedury „zagęszczające" drogę do dyrektorskiego fotela.

Karol Kopczewski,
następca „ojca teatru łódzkiego",
zabiegi o kierowanie sceną
podjął dopiero po namowach
grupki „obywateli łódzkich".

Kupiec Władysław Wizbek i rejent Konstanty Płachecki, inicjatorzy społecznej pieczy nad teatrem, zawiązali sześciosobowy, niesformalizowany „komitet" spośród znanych łodzian. To właśnie ów komitet miał „na dyrektora powołać" Kopczewskiego, aktora od lat związanego ze sceną łódzką. Opiekunowie teatru zadbali też, by nowe zadania nie sparaliżowały scenicznych dokonań lubianego i cenionego artysty. Mecenasi powierzyli zatem aktorowi Cyrylowi Danielewskiemu obowiązki sekretarza teatru. Podlegała mu administracja i sprawy finansowe.

Po roku na czele teatru stał już Czesław Janowski, który wcześniej był aktorem w zespole Kopczewskiego. „Zawarłszy sojusz z administratorem, od początku dążył do poderwania nóg Kopczewskiemu i objęcia teatru na własną rękę"' — demaskowano po latach metody działań Janowskiego. Intryga powiodła się, bo kandydata gorąco popierał też Władysław Wizbek. „Obiecał tak wiele, a żądał tylko 4.000 subwencji, toteż obałamucony komitet zawarł z nim umowę" — po 7 latach ujawniono kulisy przejęcia teatru przez Janowskiego.

Janowski i jego żona Maria Bissen
przez lata należeli do grona artystów
najpopularniejszych i najwyżej cenionych
przez łódzkich widzów.

Jednak o walorach jego dyrektury recenzenci mieli jak najgorsze opinie. Powtarzają te sądy również historycy łódzkiej sceny. Tymczasem niektóre inicjatywy z

czasów dyrekcji Czesława Janowskiego i zachodzące wówczas procesy zasługują na uwagę. Do nich zapewne należy i początek konkurencyjnego wyścigu o dyrekcję sceny łódzkiej.

Zainicjował go, bardzo nieśmiało, Jan Szymborski, którego wędrowna trupa spędzała w Łodzi sezon letni 1891 roku. Pierwsze przedstawienia tego zespołu pozostały bez echa. „Powodzenie pod względem kasowym było fatalne, dość powiedzieć, że teatr bywał zamykany dla braku widzów nawet wtedy, gdy afisz głosił premierę" — wytknął Stefan Krzyszkowski w „Dzienniku Łódzkim".

Po początkowej klapie Szymborski sięgnął po „bomby sceniczne. I ujrzeliśmy na scenie: Ralfów rozbójników, bandy podpalaczów, młyny diabelskie, morderców weneckich, więźniów z galer i wiele innych okropności" — wyliczał krytyk teatralny. Ale tym, a także dodawaną niemal do każdego przedstawienia arią „Jeszcze raz..." z *Ptasznika z Tyrolu* Karola Zellera (śpiewała ją Zofia Kirszensztein), zdobył publiczność.

Podbudowany powodzeniem zdecydował się pozostać w Łodzi na dłużej i zapowiedział kontynuację widowisk również w sezonie zimowym. Ponieważ Victorię zakontraktował już Janowski, Szymborski wynajął od Fryderyka Sellina jego teatr zimowy przy ul. Konstantynowskiej (dzisiaj ul. Legionów). Niestety, prognozy antreprenera okazały się nazbyt optymistyczne. Po 20 dniach uznał, iż przegrał walkę o rząd dusz łodzian (a przede wszystkim ich portfeli) i w pośpiechu opuścił miasto.

Dwa lata później, chociaż Janowskiemu nie wygasła jeszcze dzierżawa budynku teatralnego, pojawiły się pogłoski o zmianie antreprenera. W miesiącach letnich „Kurier Codzienny" wymienił nazwiska pretendentów.

Naprzód dziennikarze pisali, że w sezonie 1893/94 teatralne stery przejmie Marceli Trapszo.

Trapszo, syn znanego dyrektora Anastazego,
brat, mąż i ojciec aktorek,
od trzech lat pracował w teatrze łódzkim
jako aktor i reżyser.

Wcześniej jednak nabył pewne umiejętności kierowania zespołami teatralnymi szefując trupom występującym w małych ośrodkach lub latem w warszawskich ogródkach.

Informacjom o spodziewanym przez niego objęciu teatru łódzkiego artysta zdecydowanie zaprzeczył. „Piórem autora tej wiadomości kierowała widocznie chęć szkodzenia tak dotychczasowej dyrekcji naszej, tj. panu Czesławowi Janowskiemu, jak i mnie, gdyż mogę być posądzony nie tylko o autorstwo tej wiadomości, ale i o skrytą, a nieuczciwą bądź co bądź działalność w celu podkopania mego zwierzchnika" — napisał w liście do redakcji.

Dwujęzyczny program teatralny drukowany dwustronnie na jedwabiu (ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN)

Krótko po tym

pojawiły się spekulacje
o objęciu dyrekcji
przez Jakuba Gliksona,

któremu właśnie wygasł kontrakt na prowadzenie sceny krakowskiej.

Glikson w teatrze imał się różnych zadań. Grał drobne, epizodyczne role, przez wiele lat był sekretarzem teatru krakowskiego za dyrekcji Kajetana Koźmiana, a po nim przez osiem lat stał na czele tegoż zespołu. Na jego dokonaniach z tego okresu zaważył zmysł praktyczny. Glikson bowiem tak prowadził teatr, by nie dopuścić do deficytu. Obok wielkiego repertuaru na afiszu pojawiały się zatem popularne sztuki ludowe i sensacyjne. A że dbał o kasę, nie stronił też od podkasanej muzy.

Pogłosek o przyjściu do Łodzi Glikson nie prostował i im nie zaprzeczał. Wprawdzie na sezon 1893/94 nie udało mu się wydzierżawić teatru, ale z myśli o prowadzeniu sceny łódzkiej nie zrezygnował. Później jeszcze kilkakrotnie w tym celu przyjeżdżał do Łodzi.

Początkowo, o czym donosił w lutym 1894 r. korespondent „Gazety Warszawskiej"

Glikson zamierzał wynająć
teatr Thalia

(dziś w tym miejscu jest kino „Bałtyk"), w którym grywały zespoły niemieckie i skompletować zespół „z pierwszorzędnych sił teatralnych krajowych i zagranicznych". Po trzech miesiącach zmienił plany i zainteresował się służącą polskiej Melpomenie Victorią.

Podekscytowani tymi zamiarami dziennikarze podawali nawet, kogo przyszły dyrektor zamierza zaangażować do Łodzi. Wymieniano m.in. znakomitego tragika Romana Żelazowskiego. Z Krakowa miał przyjechać znany już łodzianom Józef Kotarbiński, świeżo skłócony z tamtejszym dyrektorem Tadeuszem Pawlikowskim.

Pertraktacje przeciągały się, bo Glikson nie tylko chciał wynająć teatr za możliwie najniższą cenę, ale jeszcze uzyskać wsparcie ze strony miejscowych mecenasów. Janowski, który już wcześniej intrygował, aby przejąć scenę po Karolu Kopczewskim, posłużył się podobnymi metodami. Tym razem chodziło o pozbycie się z Łodzi niewygodnego konkurenta.

Dyrektor odwiedził zatem łódzkiego korespondenta „Kuriera Codziennego" i zakomunikował mu, że Glikson wyleczył się już z ambicji prowadzenia łódzkiej sceny. W związku z tym Janowski właśnie wynajął budynek Victorii i to na trzy lata. Tymczasem po kilku dniach zdezorientowani łodzianie przeczytali w konkurencyjnym „Kurierze Warszawskim" ogłoszenie, że Victoria jest do... wydzierżawienia.

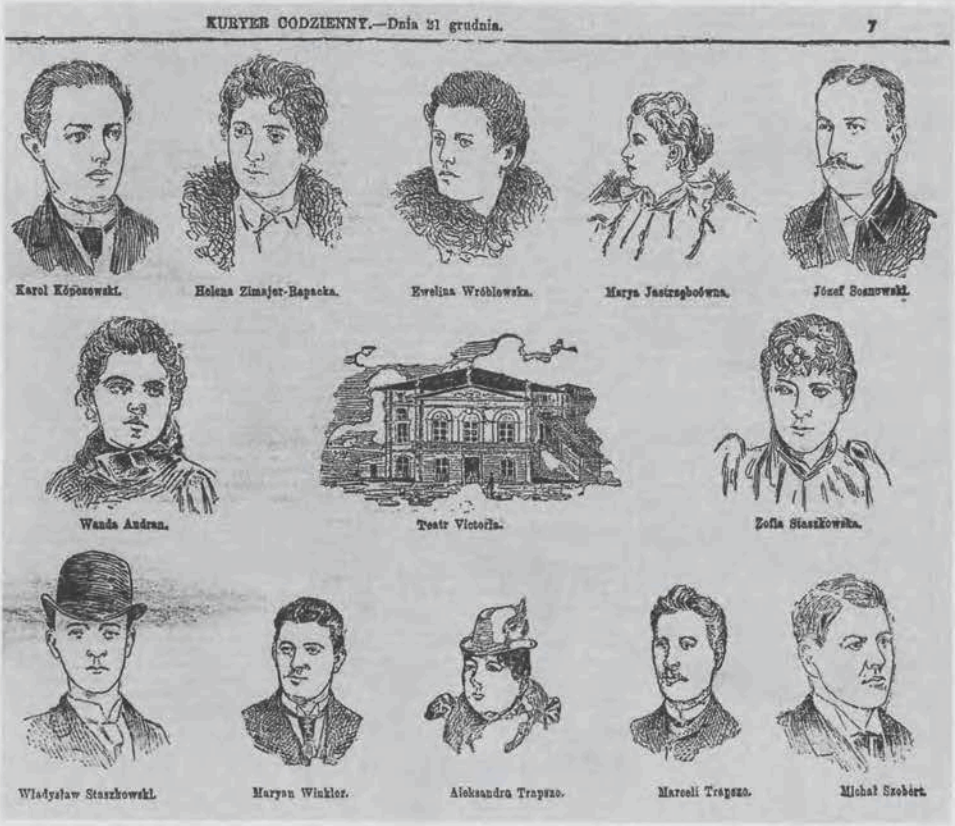

Zespół Teatru Łódzkiego (ze zbiorów Instytutu Sztuki PAN)

Ponownie rozgrzała się linia telefoniczna między Łodzią a Krakowem. Z pośpiechem ściągnięto do Łodzi Gliksona, aby dalej prowadził pertraktacje z Freudenbergiem i miejscowymi mecenasami. Janowskiemu, wobec tak poważnego zagrożenia, nie pozostało nic innego jak finansowo przebić konkurenta. Zaproponował wyższą stawkę dzierżawy i wygrał. Musiał jednak zaakceptować podstawowy warunek — budynek teatralny został oddany do jego dyspozycji zaledwie na sezon 1894/95.

W Łodzi o nowym szefie teatru zaczęto mówić już kilka tygodni później. Korespondent „Wieku" komentując te pogłoski w styczniu 1895 r. zauważył: „może ze zmiany tej kierunek artystyczny coś zyska nareszcie". Rychło też ujawniono, że

prowadzeniem teatru w Łodzi
zainteresowany jest
warszawski literat i publicysta
Michał Wołowski.

Jego kandydaturę przyjęto w Łodzi z ulgą, a kiedy wreszcie w lipcu podpisał umowę dzierżawy gmachu teatralnego, łamy gazet zamieniły się w swoisty koncert życzeń pod adresem nowego dyrektora. „Nareszcie Łódź uzyska teatr pod każdym względem dobry" — rejestrowano oczekiwania mieszkańców. „Przynajmniej nowy dyrektor dbać będzie o dobry repertuar i o staranne wystawianie sztuk" — sprecyzowano minimum programowe.

Tymczasem Czesław Janowski nie zamierzał łatwo skapitulować. Postanowił wydzierżawić od Fryderyka Sellina jego Teatr Letni i tam dawać przedstawienia również w sezonie zimowym. Repertuar, o czym donosił „Kurier Warszawski", miał hołdować podkasanej muzie. „Ale też panuje przekonanie, że skoro operetka upada niemal w całej Europie, to i Łódź jej nie podtrzyma" — korespondent zanotował opinie łodzian.

Ostatecznie Janowski nie zdecydował się na prowadzenie w Łodzi konkurencyjnej sceny, ale zawłaszczył sobie, prawem kaduka, logo teatru. Odtąd objeżdżając ze swoim zespołem mniejsze miejscowości na afiszach wybijał nazwę: Artyści Teatru Łódzkiego. A że w jego zespole pozostała część aktorów łódzkiego zespołu, to zachowanie firmowej nazwy, zdaniem dyrektora, było całkowicie usprawiedliwione.

Pięć lat później, kiedy Wołowski zakończył swoją kadencję,

do prowadzenia sceny łódzkiej
aspirowali
Henryk Grubiński z Warszawy
i Ludwik Heller ze Lwowa.

Grubiński miał doświadczenie aktorskie, był również wykładowcą w szkole dramatycznej. Z kolei Heller od 1896 r. prowadził teatr we Lwowie, początkowo z Juliuszem Bandrowskim, a później sam. Łódzką sceną zainteresował się, kiedy przegrał z Tadeuszem Pawlikowskim rywalizację o kierowanie nowym teatrem lwowskim.

Również Łódź nie dała Hellerowi satysfakcji, bowiem,

Victorię
wydzierżawił ostatecznie
Henryk Grubiński.

Heller natomiast próbował jeszcze, również bezskutecznie, wydzierżawić teatr kaliski. Ostatecznie pozostał we Lwowie i zorganizował tam filharmonię na światowym poziomie. Ściągał do niej jako dyrygentów m.in. Gustawa Mahlera i Ryszarda Straussa.

Tymczasem Grubiński, tak jak Wołowski, zaczynał z dużym kredytem zaufania i u publiczności, i u krytyki. Na dodatek drugi sezon pracy zainaugurował otwarciem nowego budynku teatralnego — Teatru Wielkiego, wybudowanego przez Fryderyka

Sellina. Przy tej okazji dyrektor obiecał zrezygnować z letnich wypraw do warszawskich ogródków, zaś aktorom ufundować na własny koszt ubezpieczenia i wypłacać gażę przez trzy miesiące letnie.

Słowa nie dotrzymał, a na dodatek obniżył aktorom wynagrodzenia. Wiosną 1903 r. nawet zaprzestał wypłacać im pensje. Równolegle w „Gazecie Warszawskiej" ukazał się list krytycznie oceniający łódzkich artystów. Zespół uznał, że był on inspirowany przez dyrektora, aby w ten sposób stworzyć alibi dla marnego opłacania personelu. Grubiński wprawdzie bił się w piersi i przekonywał, że z korespondencją nie miał nic wspólnego, ale tym zapewnieniom nie dawano wiary.

W zespole wybuchł bunt. Aktorzy odmówili dalszej współpracy z dotychczasowym szefem, który ich zdaniem żadnych „nie przedstawia na przyszłość gwarancji, wobec niewypłacalności i bardzo znacznej zaległości w wypłacie gaży" — napisali w oświadczeniu przekazanym do prasy. Dalej

teatr miał funkcjonować jako tzw. działówka.
Na jej czele stanęli:
Karol Kopczewski, Edward Olszewski i Antoni Różański.

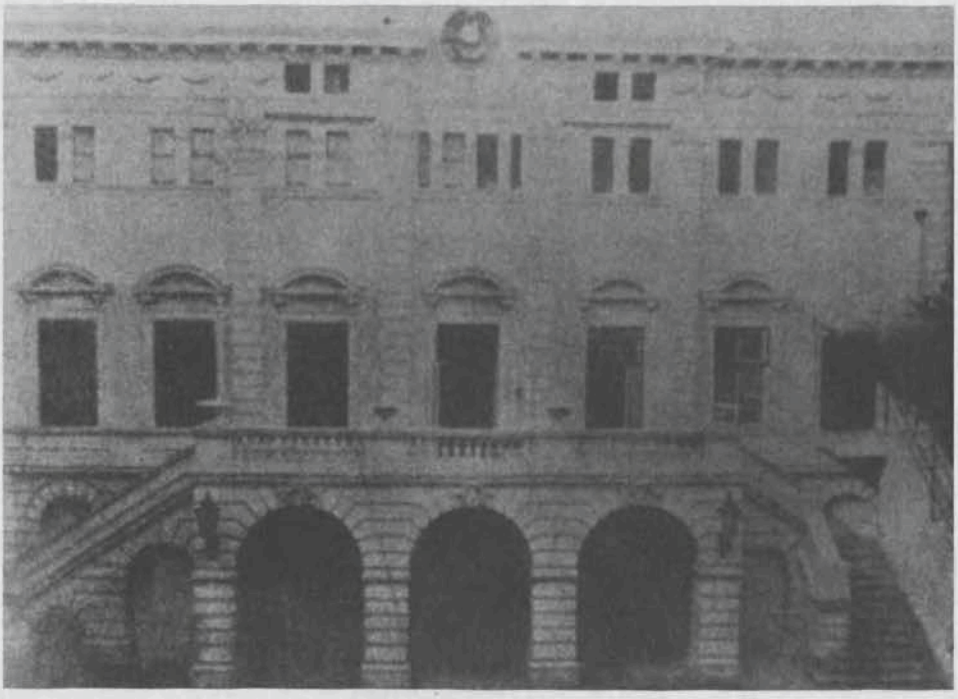

Fronton teatru Thalia (ze zbiorów Wojewódzkiego Archiwum Państwowego w Łodzi)

Działówka wystartowała na przełomie sezonu zimowego i letniego. Obiecujące początki nie usunęły jednak wszelkich obaw o dalszy los sceny i zespołu. Toteż szybko Michał Marfiewicz, sekretarz teatru za dyrekcji Grubińskiego, na rok wydzierżawił od Freudenberga budynek teatralny. Powszechnie interpretowano to jako przejęcie przez niego dyrekcji na sezon 1903/04. Kierownictwo artystyczne mieli sprawować Kopczewski, Olszewski i Różański.

Natychmiast jednak ujawnił się inny kandydat na szefa — Stanisław Książek, recenzent teatralny „Gońca Łódzkiego". A że Książek ofertę zgłosił na łamach gazety i uzasadniał ją swoim dorobkiem artystycznym (w przeszłości próbował sił jako aktor, ale popisywał się głównie w rolach epizodycznych) do ataku przystąpili dziennikarze. Konkurencyjny „Rozwój" bez odrobiny litości wykpił i ośmieszył kandydata.

Książek znalazł jednak inną formę zaspokojenia swoich ambicji artystycznych i kierowniczych zarazem. W sezonie 1903/04 prowadził teatr ludowy, który funkcjonował pod egidą Kuratorium Trzeźwości. Zespół dawał przedstawienia w Teatrze Wielkim.

Choć potencjalny, lecz raczej mało poważny konkurent ubył, to jednak nie Marfiewiczowi pisane było pokierować dalej sceną łódzką.

Zespół działowy grał od 30 maja przemiennie sztuki przygotowane jeszcze za dyrekcji Grubińskiego i przygotowywał nowe premiery. Jedną z nich była *Monna Vanna* Maurycego Maeterlincka. Był to pierwszy utwór belgijskiego dramaturga zrealizowany w języku polskim na scenie łódzkiej. (Trzy miesiące wcześniej *Monnę Vannę* wystawiła w Łodzi rosyjska trupa kierowana przez Grigorija Ge.)

Premierę *Monny Vanny* wyznaczono na 18 czerwca 1903 r., a wieczór miał zainaugurować odczyt „Maurycy Meaterlinck w jego dziełach" warszawskiego literata i dziennikarza Mariana Gawalewicza. Od kilku lat interesował się on twórczością belgijskiego symbolisty. W grudniu 1896 r. wystawiał nawet z grupą amatorów z Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności jednoaktówkę Maeterlincka *Intruz*.

Prelegent przyjechał do Łodzi już w przeddzień premiery, żeby uczestniczyć w próbie generalnej przedstawienia.

Wtedy właśnie aktorzy
zaproponowali Marianowi Gawalewiczowi
objęcie kierownictwa łódzkiej sceny.

A że wcześniej zapowiadał on, iż w sierpniu osiedli się w Łodzi, uznali to za okoliczność sprzyjającą ich planom.

Wybraniec aktorów przyjął ofertę i przez trzy kolejne sezony stery Łodzi teatralnej spoczywały w jego ręku.

Tymczasem wyrzucony przez artystów Grubiński, podobnie jak wcześniej Janowski, mimo niepowodzeń i strat zapałał miłością do łódzkiej publiczności. Rozpoczął zatem zabiegi o przyznanie mu przez władze carskie wyłącznego prawa do pro-

wadzenia w Łodzi teatru polskiego. Kiedy wniosek został odrzucony, pośpiesznie skompletował zespół operetkowy i wynajął dla niego sellinowski Teatr Wielki. O względy widzów zabiegał bez wielkich sukcesów, bo po 10 tygodniach (13 grudnia 1903 r.) już się żegnał z Łodzią.

Elekcja Gawalewicza zamyka pierwszy etap funkcjonowania stałej sceny łódzkiej. Przyczyniło się do tego

zawiązane w Łodzi
Polskie Towarzystwo Teatralne,
które władze carskie
zarejestrowały w połowie 1903 r.

W przyszłości właśnie działacze towarzystwa będą decydować o wyborze dyrektorów.

Kuratelę Towarzystwa uznawał już Gawalewicz. Kiedy bowiem aktorzy zaoferowali mu dyrekcję teatru, podjęcie pracy na tym stanowisku uzależnił od zgody „miłośników sceny". Zyskał ją bez trudu, a w zamian przyjął zwierzchnictwo towarzystwa. Wzajemną miłość dyrektora i działaczy przypieczętowały liczne cesje finansowe na rzecz władz PTT.

Toteż mimo pogłębiającego się deficytu i gróźb dymisji, zarząd Towarzystwa w 1904 i 1905 r. prolongował umowy z Gawalewiczem na prowadzenie teatru w kolejnych sezonach.

Po nową formę wyboru antreprenera sięgnięto dopiero w 1906 r.

MACIEJ WILMAŃSKI

Muzeum wraca do życia...
(1945-1948)

Powołane w kwietniu 1930 roku Miejskie Muzeum Historii i Sztuki im. Juliana i Kazimierza Bartoszewiczów — „szalona galeria" — ważna instytucja kulturalna Łodzi, w wyniku wojennych strat przestała praktycznie istnieć. Lata 1945-48 miały rozstrzygnąć o dalszym istnieniu samego Muzeum.

fot. Piotr Zdrzynicki

Dyrektor

Jak wiemy, na pozytywne rozstrzygnięcie tego problemu wpłynęła przede wszystkim zdecydowana postawa oraz zaangażowanie szeregu osób z dyrektorem Marianem Minichem (1898-1965) na czele. Objął on kierownictwo Muzeum (w drodze konkursu) 1 stycznia 1935 r. Urodzony w Baligrodzie koło Leska, ukończył gimnazjum w Tarnowie i wprost z ławy szkolnej trafił do austriackiej armii, w której służył dwa lata, aby następne dwa oddać Odrodzonej Polsce, również w charakterze żołnierza. Gdy w roku 1920 mógł wreszcie podjąć studia, trafił najpierw na chemię na Politechnice Lwowskiej, aby po trzech latach przejść na Uniwersytet Jana Kazimierza, gdzie odbył studia z zakresu historii i teorii sztuki. W 1932 r. obronił pracę doktorską pt. *Życie i twórczość Andrzeja Grabowskiego*.

Jeszcze w czasie studiów zajmował się organizacją wystaw we Lwowskiej Zachęcie Sztuk Pięknych. Związany z Uniwersytetem Lwowskim, publikował recenzje w lwowskiej prasie — niejednokrotnie o sztuce współczesnej. Reforma szkolnictwa wyższego (tzw. jędrzejowiczowska) — likwidacja katedr — zmusiła zagrożonego redukcją „zaledwie" doktora filozofii do poszukania innego zajęcia. Posada kierownika Muzeum Historii i Sztuki wydała mu się dobrą sposobnością nie tylko do praktycznej działalności wystawienniczej, ale i finansowej stabilizacji.

Przedwojenną działalność Minicha w Łodzi oceniano bardzo wysoko. Mimo że był to czas sporów o sztukę abstrakcyjną, której Minich konsekwentnie bronił, co wymagało wtedy odwagi i mocnych nerwów w rozmowach z przełożonymi.

Wojnę Minich spędził w Generalnej Guberni, w podwarszawskim Ursynowie. Utracił cały swój dorobek naukowy i artystyczny. Pracował jako nauczyciel „korespondencji handlowej" w Gimnazjum Ogrodniczym, angażował się w tajne nauczanie. Oficjalny biogram wspomina również o współpracy z Armią Ludową i Polską Partią Robotniczą. Faktycznie jednak członkiem PPR Minich został w 1946 r. już jako dyrektor Muzeum, zapewne w nadziei, iż dobrze przysłuży się to prowadzonej przez niego instytucji.

Powrót do Łodzi

Wstrząsem musiał być dla Minicha powrót do Łodzi. Przedwojenne renomowane Muzeum praktycznie nie istniało. Niełatwa była też jego sytuacja osobista (choroba żony i syna, 4-osobowa rodzina na utrzymaniu).

Minich to pierwszy muzealnik, który zjawił się w mieście po wyzwoleniu. 20 lutego 1945 r. rozpoczął już pierwsze prace zabezpieczające zbiory i kompletował kadrę dla wszystkich muzeów humanistycznych — Sztuki, Prehistorycznego i Etnograficznego. Muzea te istniały przed wojną, a teraz zamierzano je ponownie uruchomić. Wszystkie one mieściły się przy pl. Wolności 14.

Łódź w tych dniach pełniła funkcję wyjątkową — tymczasowej stolicy — niestolicy. Zburzona i wypalona Warszawa funkcji stołecznych pełnić nie mogła, ponadto niepewna sytuacja polityczna odstręczała wielu wybitnych specjalistów od angażowania się w pracę. Minich do nich nie należał. Gdy prof. Konrad Jażdżewski objął kierownictwo Muzeum Prehistorycznego, a dr Jadwiga Krajewska — Muzeum Etnograficznego, całą energię skupił na Muzeum Sztuki.

Przełomowym dla organizacji Muzeum Sztuki okazał się kwiecień 1945 r. W Zarządzie Miejskim powołano oddzielny Wydział Kultury i Sztuki (przedtem razem z oświatą), któremu podlegały administracyjnie wszystkie miejskie muzea. Umożliwiło to nie tylko zapewnienie pracującym muzealnikom urzędowego poparcia, ale także zabezpieczenie ich bytu, ustalenie budżetu oraz możliwość zatrudnienia nowych, niezbędnych specjalistów.

Sam Minich zdawał sobie sprawę z tego, że mając jedynie czterech pracowników nie będzie w stanie zapobiec trwającemu nieustannie szabrowi dzieł sztuki — prywatnemu i zinstytucjonalizowanemu. Ważne też było uzyskanie poparcia w Warszawie. Pełniący wówczas funkcję Naczelnego Dyrektora Muzeów i Ochrony Zabytków dr Stanisław Lorenz widział Łódź jako istotne ogniwo w zabezpieczaniu zbiorów sztuki. Zdecydowana postawa Minicha spowodowała, iż nie było to podporządkowanie bezwzględne. Gdy Lorenz w kwietniu wyasygnował 50000 zł na zorganizowanie w Łodzi filialnej pracowni konserwatorskiej, Minich — dzięki przychylności ówczesnego prezydenta miasta Kazimierza Mijala — sumę tę wykorzystał nie popadając w zależność od Warszawy. Jednocześnie, z poparciem Ministerstwa Sztuki, nawiązał współpracę z Okręgowym Urzędem Likwidacyjnym i Tymczasowym Zarządem Mienia Państwowego, uzyskując stały dostęp do dokumentacji tych instytucji.

Odzyskiwanie zbiorów

Tylko do końca 1945 r. pracownicy Muzeum Sztuki przejrzeli ponad 2000 sprawozdań z likwidacji mieszkań poniemieckich, przejmując do magazynów muzealnych co cenniejsze dzieła sztuki i wyroby rzemiosła artystycznego. W prasie łódzkiej ukazało się, podpisane przez Zarząd Miasta, a zredagowane przez Minicha wezwanie do zwrotu zagrabionych dzieł sztuki. Różne wydziały Zarządu Miasta i podległe mu instytucje zaczęły przysyłać do Muzeum napotkane obrazy i rzeźby. W maju kilkanaście obrazów przekazał Wydział Gospodarczy, m.in. *Portret syna na koniu* Jana Matejki, z Grand Hotelu odebrano pejzaż paryski Józefa Pankiewicza, ze Studia Teatrów Miejskich *Pochód powstańców* Maksymiliana Gierymskiego.

Specjalna „ekipa rewindykacyjna", składająca się z urzędnika Zarządu Miasta Leona Bożałka i wieloletniego muzealnego woźnego Adama Szmyta, przywiozła ze Słocin pod Gorzowem Wielkopolskim kilkaset książek należących do biblioteki przedwojennego Muzeum. Już w czerwcu, w sprawozdaniu z działalności Muzeum,

fot. Piotr Zdrzynicki

Minich użył sformułowania: „muzeum powoli wraca do życia..." Jego personel liczył już dziesięć osób, ale owo „wracanie do życia" dopiero się rozpoczynało. Optymizm dyrektora wziął się zapewne stąd, iż pod jego opieką znalazła się znaczna część dawnej kolekcji modernistycznej. W lipcu i sierpniu do magazynów trafiają takie obrazy jak: *Na nieznaną nutę* Jacka Malczewskiego, *W poczekalni kolejowej* Leona Pilichowskiego, *Śpiąca Wenus* Pietro Beretini da Cortona (1596-1669), kilkanaście obrazów Karola Millera, a dzięki współpracy z Okręgowym Urzędem Likwidacyjnym — *Pejzaż jesienny z jeleniami* Juliana Fałata. Obrazów tych nie było jednak gdzie wystawiać. W jedynej nadającej się do tego sali, należącej do Muzeum przy pl. Wolności 14, pokazywano wystawę Państwowego Muzeum na Majdanku. Planowana jesienią tego roku ekspozycja dzieł sztuki zebranych przez wojewódzki Wydział Sztuki również nie doszła do skutku, gdyż we wrześniu prezydent miasta K. Mijal przyznał Muzeum zajmowany przez nie do dziś gmach przy ulicy Więckowskiego.

Już w następnym miesiącu odbyła się częściowa przeprowadzka, możliwa dzięki brawurowej akcji „zdobywania" pałacu zajętego nieformalnie na siedzibę powstającej w Łodzi uczelni lekarskiej (Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu). Wymeldowanie „dzikich" lokatorów z gmachu przyznanego Muzeum przeciągnęło się aż do 1947 roku. Tak oto walka o zabezpieczenie zbiorów i odpowiedni lokal odwlekła w czasie uruchomienie ekspozycji.

Podczas przeprowadzki do nowego gmachu Muzeum przejęło 69 obrazów podarowanych przez Władysława Strzemińskiego, dokumentujących prawie całą twórczość artysty. To najcenniejsze eksponaty Muzeum, prawdziwa „perła w koronie" jego zbiorów. Zakupiono także kilkadziesiąt heliografii Karola Hillera. Nie bez powodu — Marian Minich był przyjacielem artysty i miłośnikiem jego sztuki, wiele publikował na jej temat, a jeszcze w 1938 r. zorganizował w Instytucie Propagandy Sztuki w Warszawie wystawę prac Hillera. Sam Hiller nie przeżył wojny — zginął rozstrzelany przez hitlerowców w lasach lućmierskich w 1940 r.

We wrześniu do Muzeum trafiły m.in.: *Drzewo w zimie* Wyczółkowskiego, *Portret damy* Axentowicza, *Kompozycja do „Iliady"* Wyspiańskiego. Przejęto także kolekcję Geyera, która stała się powodem afery, o ograniczonym na szczęście zasięgu. 21 września Minich zwrócił się do swojego przełożonego z Zarządu Miasta z następującym pismem:

„W związku z zabezpieczaniem przez WUBP (Wojewódzki Urząd Bezpieczeństwa Publicznego) mienia poniemieckiego w mieszkaniu należącym do Gustawa Geyera, Kierownictwo Miejskiego Muzeum Historii i Sztuki uprzejmie dziękuje za obywatelskie ustosunkowanie się przedstawicieli WUBP do osoby kustosza naszej instytucji przy pełnieniu jego obowiązków służbowych i społecznych.

Jednocześnie Kierownictwo MMHiS prosi o udostępnienie dla pracowników Muzeum celem badań naukowych i konserwatorskich rzeczonych eksponatów oraz wydawnictw naukowych i książek, jako też o zezwolenie na przewiezienie zakwalifikowanych eksponatów i książek do MMHiS".

Urzędnik pismo do WUBP przesłał, przezornie jednak pozbawiając je pierwszego akapitu. I słusznie, bowiem jego treść była ironiczno-groteskową wersją scysji, jaka miała miejsce w mieszkaniu Geyera pomiędzy muzealnikami a „bezpieczniakami". Niemniej jednak kolekcja Geyera znalazła się w Muzeum. Była to jedna z kilku prywatnych kolekcji sztuki, jakie trafiły w tym czasie do Muzeum. Pozostałe to: zbiory Schultza z majątku Rożdżały koło Opatówka; kolekcja rzemiosła japońskiego i chińskiego, którą w prywatnym mieszkaniu na Bałutach zabezpieczył Henryk Rudnicki — ówczesny sekretarz Komitetu Dzielnicowego PPR, znany dziennikarz i felietonista „Głosu Robotniczego"; fragmenty kolekcji Heinzla.

Do Muzeum trafiały również dary — oprócz obrazów Strzemińskiego także teka jego rysunków o tematyce wojennej, liczne indywidualne darowizny. W grudniu 1945 Rada Załogi Państwowego Browaru nr 2 podarowała Muzeum płótno Władysława Jarockiego *Huculi*.

Działająca w Łodzi Rozgłośnia Polskiego Radia zapraszała Minicha do wygłaszania odczytów o sztuce. Tematem pierwszego z nich była twórczość Karola Hillera, następnych — sztuka Rodakowskiego, sztuka współczesna i jej kondycja w dobie powojennej.

Muzeum, nie prowadzące dotąd działalności wystawienniczej, koncentrowało się na gromadzeniu, zabezpieczaniu, konserwacji i naukowym opracowaniu dzieł sztuki. Zaplecze konserwatorskie Muzeum, aż do roku 1948, stanowiła — prócz własnej pracowni — pracownia dzierżawiona od Jana Markensa, „wybitnego konserwatora — mechanika". Marksen zresztą zajmował się nie tylko konserwacją dzieł sztuki, ale także zaprojektował przebudowę wnętrz pałacu Poznańskich na galerię sztuki.

Prace remontowe zakończone otwarciem ekspozycji trwały od marca 1946 do maja 1948. W tym czasie Muzeum prowadziło właściwie jedynie działalność oświatową, którą zajmował się głównie Minich. Książki, pracowicie zbierane i katalogowane, mogły być udostępniane niemal od ręki, a biblioteka muzealna, czynna od czerwca 1946 przez kilka powojennych lat, miała największy w Łodzi księgozbiór dotyczący sztuki (nie tylko plastyki). To zaplecze Minich przeznaczył również dla celów dydaktycznych. Bibliotekę wykorzystano jako salę wykładową. W ówczesnych warunkach lokalowych uczelni łódzkich było to zrozumiałe. Odbywały się tu zajęcia dla studentów Uniwersytetu, Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych i Wyższej Szkoły Teatralnej.

Właściwy początek

W grudniu 1947 roku można było wreszcie przystąpić do prac nad rozmieszczeniem zasobu, aranżacją ekspozycji, a w lutym 1948 zakupić 200 par pantofli muzealnych dla zwiedzających.

Uroczystego otwarcia Galerii Muzeum dokonał 13 czerwca 1948 roku ówczesny wiceminister Kultury i Sztuki Włodzimierz Sokorski.

W rocznym sprawozdaniu (1948 r.) Wydział Kultury i Sztuki Zarządu Miasta podsumowywał blisko czteroletni okres organizacji placówki:

„Otwarte dla publiczności 13 VI Muzeum jest jedyną placówką w Polsce potraktowaną z punktu widzenia systematyki stylistycznej. Jedyną zawierającą zbiory międzynarodowej sztuki nowoczesnej. Charakter placówki naukowo-dydaktycznej obejmuje w swoim programie:

a) pracę naukową w kontakcie z uczelniami,

b) pracę naukowo-popularyzatorską wśród szerokich mas młodzieży szkolnej [...]

Muzeum posiada następujące kierunki twórczości artystycznej: gotyk, renesans włoski i niemiecki (wczesny i dojrzały), barok włoski, holenderski, flamandzki i francuski, sztukę polską XVIII, XIX, XX wieku, dział międzynarodowej sztuki nowoczesnej: impresjonizm, kubizm, ekspresjonizm, konstruktywizm, futuryzm, puryzm, neoplastycyzm, nadrealizm, unizm.

Z nie wystawianych muzeum posiada eksponaty tworzące zalążek kolekcji międzynarodowej sztuki II połowy XIX wieku, japońskich, chińskich, a także przemysłu artystycznego".

Do końca 1948 r. Muzeum zwiedziło 2927 osób, a w pierwszym kwartale 1949 — już 6492 osoby.

Już wtedy Minich planował budowę nowego gmachu dla Muzeum, wskazując na niedoskonałe oświetlenie w budynku przy ul. Więckowskiego. Budowa miała się zacząć w 1954 r. Jak wiemy, nie zaczęła się nigdy. W czerwcu 1954 na katowickim zjeździe Związku Polskich Artystów Plastyków uchwalono prymat realizmu socjalistycznego w sztukach plastycznych, eksponowanie innych kierunków sztuki współczesnej stało się nieważne dla politycznych decydentów.

Przyznać jednak należy, iż w 1948 r. Muzeum dysponowało bazą i zbiorami nieporównywalnie większymi niż w 1939 r. Mimo wielu niepowetowanych strat instytucja ta uzyskała bazę niezbędną do funkcjonowania na wyższym poziomie niż przed wojną, gdy zbiory sztuki prezentowano jedynie w kilku salach na pierwszym piętrze łódzkiego ratusza.

DOMINIKA ŁARIONOW

Droga plam, kropek i kresek

Często zadaję sobie pytanie: czy jest możliwe wyjście sztuki poza abstrakcję? Czy w zakresie abstrakcji geometrycznej, nieprzedstawiającej, możliwe jest jeszcze coś niezwykłego, co by nas zastanowiło czy wręcz zafascynowało? Może wielu krytyków, analizujących rozwój współczesnej sztuki czuje, że nic ich już nie może zaskoczyć. Każdy artysta do czegoś nawiązuje, bo może wszystko już było. Ale artyści zaraz pewnie się skrzywią, co ja tu wygaduję! Przecież to herezje! A Fijałkowski — ktoś krzyknie. No tak, jest Stanisław Fijałkowski.

Malarz i grafik

Urodził się w 1922 r. w Zdołbunowie, na Wołyniu. Studiował (1946-51) w Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Pięknych w Łodzi. Był uczniem Władysława Strzemińskiego i swój sposób widzenia świata czerpie z myśli awangardzisty. Strzemiński pojmował jednak sztukę w sposób racjonalny, a dla Fijałkowskiego sztuka jest również obcowaniem z Tajemnicą. Dlatego nawet najbardziej abstrakcyjna forma nie może być pozbawiona duchowości.

Jego prace zachwycają niezwykłą lekkością i finezyjną narracją. Często układane są w cykle tematyczne. Każdy obraz spowity jest malowaną, cienką linią ramy. Staje się ona ramą okna wyobraźni, do którego artysta pozwala nam zajrzeć. W obrazach pochodzących z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych odnajdziemy figury geometryczne, układające się w przestrzeni płótna w sposób naturalny. Koła, kwadraty, prostokąty zostały po prostu przez malarza wkomponowane w okno wyobraźni. Wydaje się, że przedmioty wiszą „w próżni" w sposób naturalny. W dziełach z

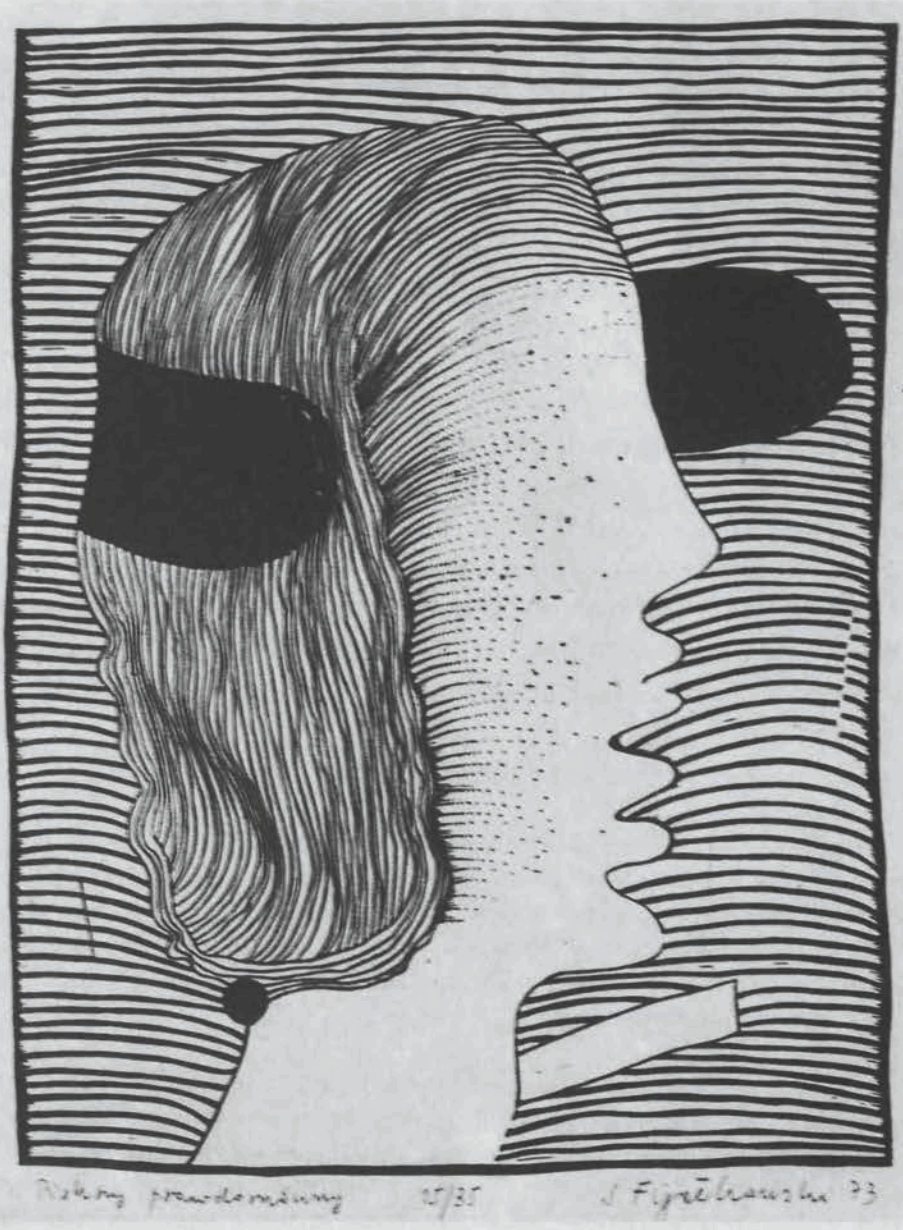

Stanisław Fijałkowski, *Piękny prawdomówny*, 1973
Wystawa „Współczesna grafika łódzka", Galeria „Księży Młyn", 28.06 - 1.09.1996

lat dziewięćdziesiątych często dostrzeżemy jednolitą plamę barwną, do której naszą uwagę przyciąga jeden punkt, czasem dwa lub więcej.

Fijałkowski czuje się przede wszystkim malarzem, mimo iż studiował grafikę i z niej zrobił dyplom u Ludwika Tyrowicza. Cykle grafik powstały dopiero po roku 1960, artysta zaczął je tworzyć, jak sam twierdzi, dla zarobku. Jednak jego prace graficzne wywierają silny wpływ na innych twórców. Widać to było bardzo wyraźnie na wystawie „Współczesna grafika łódzka" zaprezentowanej w Galerii „Księży Młyn" w czerwcu 1996, w Łodzi. Grafika Fijałkowskiego pod względem kompozycji jest odbiciem malarstwa. Estetyczne dopracowanie układu dzieła, lapidarność formy i maksymalna synteza znaczeń cechuje całą jego twórczość. Obok Władysława Strzemińskiego, Stefana Wegnera i Leszka Rózgi stworzył Fijałkowski swoją odrębną szkołę widzenia świata. Na spotkaniu w Muzeum Sztuki powiedział, że malarstwo jest otwarciem człowieka na rzeczywistość duchową.

Trudno wymienić nurty czy prądy w sztuce, które miały wpływ na twórczość artysty. Z pewnością dużą rolę odegrała, wspomniana wyżej, znajomość ze Strzemińskim. Ale nie bez znaczenia była też fascynacja filozofią Carola Gustawa Junga, z którą Fijałkowski zetknął się w latach sześćdziesiątych (za pośrednictwem niemieckiego towarzystwa Inter Nationes w Bonn, wysyłającego do krajów komunistycznych literaturę zachodnioeuropejską). Jung oznaczał dla artysty odkrycie duchowości sztuki, później nastąpiła fascynacja pismami Mircea Eliadego. „Sztuka dociera również do Tajemnicy, ale nie może zastąpić religii — mówi Fijałkowski. — To są dwie różne płaszczyzny rzeczywistości. Za pośrednictwem sztuki człowiek rozwija swoją duchowość w sposób niedostępny dla profana".

Malarstwo i grafika Fijałkowskiego są znane nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Artysta wystawiał m.in. w Paryżu, Londynie, Kyoto, Wiedniu, Wenecji, New Delhi, jest laureatem wielu nagród i wyróżnień. Do 1993 był profesorem Państwowej Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych w Łodzi. Muzeum Sztuki posiada w swoich zbiorach wiele jego prac pochodzących z różnych okresów. Jednak dopiero w 1996 roku (od 18 czerwca do 25 sierpnia) można było w salach przy ulicy Więckowskiego obejrzeć pierwszą indywidualną wystawę malarstwa Fijałkowskiego zatytułowaną „Droga". Zaprezentowano na niej obrazy pochodzące z lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych.

Droga

Tytułowa droga jest nazwą jednej z serii obrazów. Powstają w niej również grafiki przedstawiające drogi, szosy, autostrady dokądś prowadzące, czasem przecinają się ukośnie, prostopadle, poziomo. Cel nie jest oznaczony. Choć nie jest tak zawsze, bo są też autostrady biegnące do nieba. Motyw drogi jest obecny w kulturze od lat. Droga stała się wręcz symbolem przemiany duchowej. Może dlatego

Fijałkowski maluje swoją drogę, która jest wciąż inna. Podobnie dzieje się z replikami obrazów, malowanymi przez artystę, są inne, bo zmieniają się w czasie, tak jak świadomość ich twórcy. Ostatnio pojawiły się w twórczości Fijałkowskiego niebiańskie trakty — *Trudy na autostradzie do niebiańskiego posłańca.* Na tej drodze możemy się natknąć, co najwyżej, na nierównomierne połączenie barw zimnych błękitów. Kolorystyka zimna zaczyna dominować w pracach Fijałkowskiego z lat 90. — łączy się to z pojawieniem tematyki nieba (*Niebo sześćdziesięcioośmioletniego mężczyzny* 1991, *Niebo* 1993). Ta ziemska — szara, czasem czarna autostrada staje się dla Fijałkowskiego coraz bardziej niebiańska. Artysta nie określa jednak kruszcu, z jakiego zostały one zbudowane. Chyba są lekkie i tak samo jak nasze, czasem kiepsko łatane.

Nie kończąca się rozmowa

W dziełach z lat 90. Fijałkowski buduje swoją narrację kropkami, małymi liniami, plamami. Na obrazie nie dzieje się nic przypadkowo. Plama rozbija przestrzeń, nadając jej zawsze znaczenie. Mamy wiele dzieł z datą jako tytułem. Sprawiają one wrażenie literackiego zapisu chwili, nastroju czy ulotnej myśli. Może są uzupełnieniem raptularza od lat prowadzącego przez Fijałkowskiego. Tak samo można czytać „Obrazy dla Walerii". To cykl skrzętnie ponumerowanych płócien m.in.: *II Obraz dla Walerii, X Obraz dla Walerii, co patrzy, XII Śpiewny Obraz dla Walerii, XIII (nieduży) Obraz dla Walerii.* Odnosimy wrażenie, że pomiędzy artystą a Walerią trwa długa, nie kończąca się rozmowa, której każdy kolejny punkt na płótnie czy grupa kresek są momentami zwrotnymi dialogu.

Obrazy z serii „Studia talmudyczne" i „Talmud polski" powstają od 1968 r. Zaskakują jednolitym zabudowaniem przestrzeni przez ukośne kreski o różnej barwie i różnym natężeniu. Są skomplikowane, wielopłaszczyznowe, podobnie jak bogata jest wiedza, do której nawiązują. Talmud obejmuje sfery życia religijnego i duchowego. Stąd wynika czasem całkowite zabudowanie przestrzeni płótna. Tak samo wieloznaczne są dzieła z cyklu „Stawianie pytań", gdzie też odbywa się dialog pomiędzy autorem a jego odbiorcą. Okno wyobraźni Fijałkowskiego wypełniają płaszczyzny barwne rozdzielone małymi punktami (*Stawianie pytań — coraz krócej*) lub przedmiotami wiszącymi (*Stawianie pytań — starasz się oddalić*).

* * *

Na czym polega niezwykłość sztuki Stanisława Fijałkowskiego, który już za życia stał się klasykiem? W obrazach znajdziemy wieczną ciekawość świata, chęć podjęcia dyskursu z widzem. W kompozycjach perfekcyjnie dopracowanych — przejawy duchowości. Oglądając wystawy Fijałkowskiego, możemy odczytać wizeru-

nek artysty, wędrówkę jego wyobraźni. Nie tylko twórca przechodzi swoją drogę, również widz oglądając te dzieła przemierza pewien trakt duchowy. Jego obrazy wymagają zastanowienia i odnalezienia klucza do ich odczytania. Artysta nie podpowiada widzowi drogi zrozumienia. Każdy musi ją sam odnaleźć.

Stanisław Fijałkowski „Droga", Muzeum Sztuki, Łódź 18 VI - 25 VIII 1996; Centrum Sztuki, Bytom, Galeria Kronika 13 IX - 30 X 1996 t. „Współczesna Grafika Łódzka", Galeria „Księży Młyn" — Oddział Muzeum Sztuki w Łodzi, 28 VI - 1 IX 1996 r.

W Łodzi jest miejsce
na jedno porządne, duże wydawnictwo
z prawdziwego zdarzenia...

JOANNA PODOLSKA

Ryzykowny zawód

Oficyny wydawnicze w Łodzi

Zdarza się, że łódzcy wydawcy stają w szranki z innymi polskimi oficynami, wydając książki cieszące się dużym zainteresowaniem czytelników i przychylnością krytyki. Trzeba jednak przyznać, że nie mamy w Łodzi wydawnictwa, które naprawdę liczy się na ogólnopolskim rynku książki, jest rozpoznawalne i kojarzone, jak na przykład poznański Rebis czy wrocławskie Wydawnictwo Dolnośląskie.

W ciągu ostatnich kilku lat diametralnie zmienił się rynek książki w Polsce. W przyspieszonym tempie przeszliśmy kilka etapów. Najpierw — po roku 89 — nowe oficyny powstawały jak grzyby po deszczu. Uważano, że produkcja książek to żyła złota, na której można zarobić ogromne pieniądze. Wydawano tysiące książek, często nie przejmując się nawet tym, że ktoś inny zakupił wcześniej prawa autorskie do danego tytułu. Niedługo jednak trwała tak wspaniała koniunktura. Rynek książki załamał się z powodu wzrostu cen papieru i kosztów produkcji, uregulowania spraw związanych z prawami autorskimi i paru innych przyczyn. Firmy wydawnicze zaczęły plajtować i na placu boju pozostali głównie najwięksi wydawcy albo małe oficyny, które się wyspecjalizowały.

— Wśród dziesięciu najbardziej ryzykownych zawodów w Polsce na drugim miejscu wymieniany jest wydawca. I nic dziwnego. Rynek książki w naszym kraju jest niepewny, nie można go bliżej określić. Plany wydawnicze mogą się zmieniać bardzo często. Naprawdę niczego nie można przewidzieć do końca, dlatego tyle osób rezygnuje z tego interesu — uważa Wiesława Jędrzejczykowa, szefowa wydawnictwa **Literatura**, które powstało na bazie działającej w Łodzi przez kilka lat oficyny **86 Press**.

W 1992 roku skomputeryzowany katalog Biblioteki Publicznej im. Marszałka Piłsudskiego w Łodzi zawierał adresy ponad stu łódzkich wydawców. Oczywiście, większość z nich to przedsiębiorstwa usługowe, które zajmują się publikowaniem folderów, ulotek i reklamówek, ale można wyliczyć kilkadziesiąt oficyn z Łodzi, które w ciągu ostatnich pięciu lat wydały przynajmniej jedną książkę.

Pavarotti nie pomógł

Pod koniec lat osiemdziesiątych w Łodzi liczyło się przede wszystkim **Wydawnictwo Łódzkie**. Była to oficyna z wieloletnim doświadczeniem, która miała na swoim koncie blisko dwa tysiące tytułów. Gdyby ktoś umiał wówczas umiejętnie pokierować komercjalizacją firmy, Wydawnictwo Łódzkie może miałoby szansę dotrzymać kroku nowym, pojawiającym się w Polsce oficynom, ale tak się nie stało. Z roku na rok firma zwiększała deficyt. Sytuacji nie uratowali zmieniający się dyrektorzy, redukcja personelu ani kolejne próby wylansowania „bestselleru". Biografia Pavarottiego, *Linnea w ogrodzie Moneta* czy nawet zapowiadana jako wydawniczy hit Oksfordzka *Encyklopedia Sztuki* nic już nie mogły zmienić. **W marcu 1996 Wydawnictwo Łódzkie ogłosiło upadłość i znalazło się w stanie likwidacji.** Już na początku lat 90. w Łodzi pojawili się natomiast nowi wydawcy, którzy z werwą wtargnęli na ogólnopolski rynek.

Zarobić na czytadłach

Przez jakiś czas konkurentów biły na głowę **Futura Press** i **Pandora Books**. Oba wydawnictwa postawiły na komercję. **Futura Press** zdobyła tłum wielbicie-

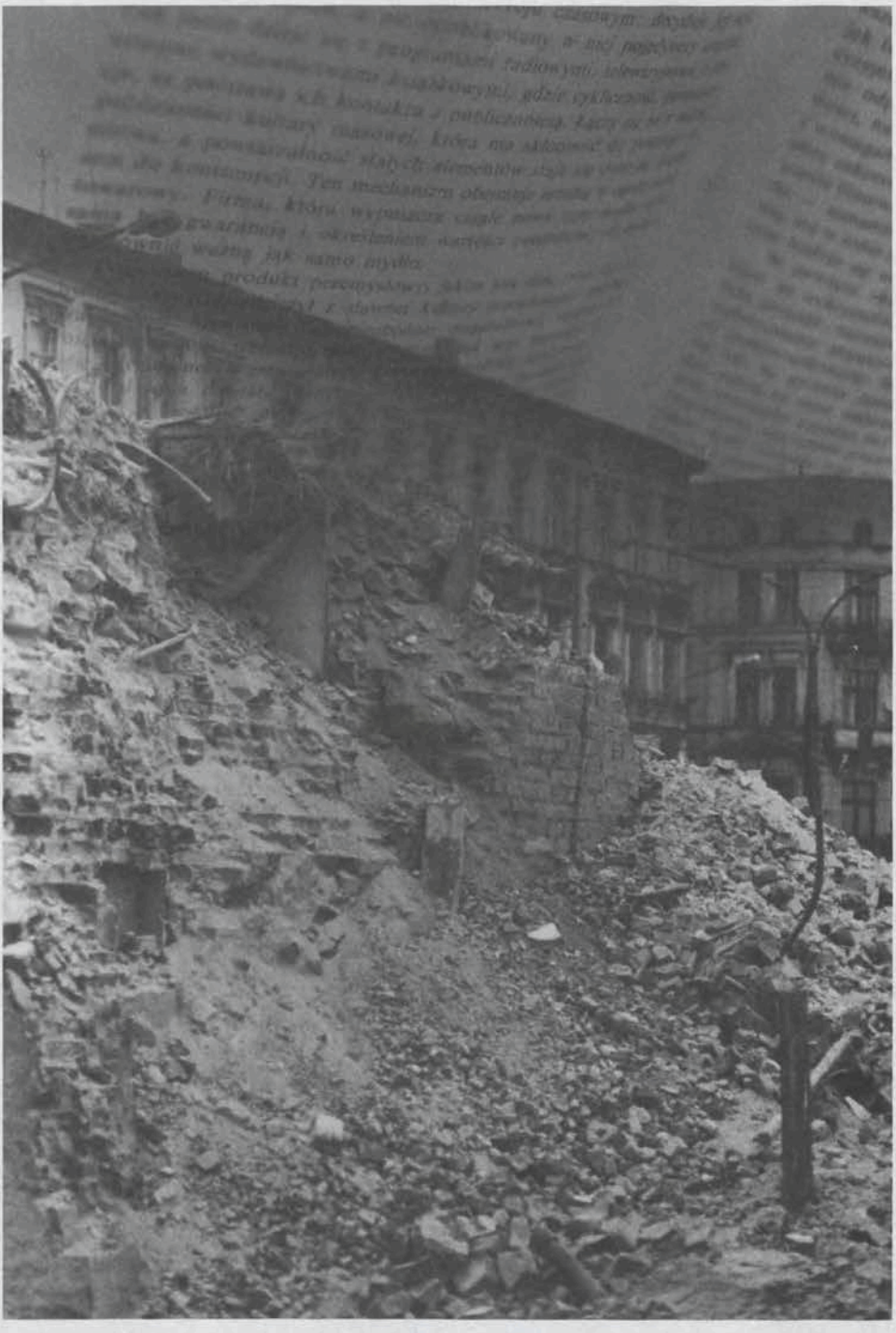

fot. Piotr Zdrzynicki

lek publikując ciąg dalszy *Trędowatej*. W cyklu pisanym „piórem Heleny Mniszkówny" (autorem większości tych powieści był Witold Jabłoński) ukazało się kilka części, m. in.: *Trędowaci*, *Tajemnice baronessy*, *Syn Ordynata*, *Dziedziczka*. Kolejne tytuły, wychodząc z drukarń, niemal od razu trafiały na ogólnopolskie listy bestsellerów. Wydawcy zarabiali na czytadłach, więc wydali dla przeciwwagi *Rozważania o kwestii żydowskiej* Jean-Paula Sartre'a. Książka właściwie nie została w Polsce zauważona, a szkoda.

Pandora Press wybrała całkiem inną tematykę — tropienie rozmaitych zagadek naszej cywilizacji. Przez wiele miesięcy księgarskimi hitami w całym kraju były wydawane przez nich kolejne *Księgi tajemnic*, *Trójkąt bermudzki*, *Księga rzeczy wyklętych*, kilka tomów *Bez wyjaśnienia* itp.

Obie oficyny ostatnio przycichły. Pandora wydała co prawda niedawno *Zdarzenie w Emilcinie* Zbigniewa Blani-Bolnara, a Futura Press sygnowała książkę Arie Akształna *Ciotka Ester*, ale są to już tylko śladowe oznaki istnienia.

* * *

Na początku lat 90. w całej Polsce zauważono też **Parnas**. Po publikacji dwóch starszych książek Agnieszki Osieckiej *Zabiłam ptaka w locie* i *Szpetni czterdziestoletni* udało im się zdobyć i wydać drugą część słynnego bestselleru *Tylko razem z córką* Betty Mahmoody. Na półkach księgarskich wyróżniała się bardzo dobrą grafiką łódzka seria Laureatów Nagrody Nobla wydawnictwa **Magart**. Ukazały się w niej mniej znane utwory noblistów, m.in. opowiadania Jean-Paula Sartre'a i Williama Faulknera, *Zamienione głowy* Tomasza Manna, *Czas dyktatorów* Winstona Churchila, *Suka* Reymonta. Zapowiadano kolejne tytuły. Miał wyjść *Najpiękniejszy topielec świata* Gabriela Garcii Marqueza i eseje Bertranda Russela *Dlaczego nie jestem chrześcijaninem*, ale zdaje się seria już nie powróci na półki księgarskie. Dwa lata temu Magart zawiesił działalność wydawniczą.

Przez parę sezonów bardzo popularne były też małe książeczki wydawane przez łódzki **Cypniew** w serii *Pierwsze słowa*. Ich nakładem ukazał się m.in. wybór sentymentalny poezji miłosnej pt. *Powiedz mi jak mnie kochasz*. W dziesiątkę trafili również założyciele **Omikronu** wydając superpomoce do nauki języków obcych w formie tabel. Ku zaskoczeniu księgarzy dobrze sprzedający się w Polsce (być może na fali filmu *The Doors*) album Jima Morrisona wydały wówczas... Łódzkie Zakłady Graficzne.

Pewnie takich pojedynczych „hitów" wydanych przez oficyny z Łodzi można by wskazać więcej, ale już chyba żaden nie zapisał się na trwałe w świadomości czytelników czy krytyków.

Łódzkie sukcesy

Cztery lata temu najbardziej znanymi na rynku ogólnopolskim wydawnictwami z Łodzi były **Opus** i **Res Polona**.

Opus zdobył renomę dobrze zapowiadającą się serią „Plejada", gdzie ukazały się: *Smutek tropików* Claude Levi-Straussa i *Traktat o historii religii* Mircea Eliadego. Potem były encyklopedyczne leksykony z serii „Vademecum", gdzie wyszło sześć tytułów, w tym cieszące się ogromną popularnością *Najsłynniejsze dzieła muzyki światowej* oraz *Najsłynniejsze powieści literatury światowej*. Do francuskiej wersji tej ostatniej książki łodzianie dodali polski suplement, m.in. omówiono w nim *Bramy raju* Jerzego Andrzejewskiego, *Chłopów* Władysława Reymonta, *Zasypie wszystko zawieje* Odojewskiego oraz parę książek z literatury światowej ważnych z punktu widzenia polskiego czytelnika: np. *Malowanego ptaka* Kosińskiego, *Blaszany bębenek* Grassa czy *Moskwę-Pietuszki* Jerofiejewa. Nakładem Opusu wyszła też nowa seria — „Człowiek i cywilizacja" — oraz świetna biografia Glenna Goulda, legendarnego kanadyjskiego pianisty. Częściowo na konto tego wydawnictwa można wreszcie zapisać *Encyklopedię historii świata*, która pojawiła się we wrześniu 1996 na płycie kompaktowej. Za redakcję i całą stronę merytoryczną odpowiada właśnie Opus, natomiast sprawami elektronicznymi zajęło się nowe wydawnictwo, które pojawiło się na naszym rynku — **Promedia CD**. Tymczasem Opus zniknął z rynku.

Około 1991 roku książkami dla najmłodszych oraz serią encyklopedii doskonale wystartowała też łódzka **Res Polona**. Zasłynęła jako wydawca popularnej dziesięciotomowej serii „Świat dziecka", encyklopedii szkolnych: *Biologia*, *Fizyka*, *Chemia*, *Encyklopedii nauki i techniki dla dzieci* oraz baśni i bajek dla maluchów. Od trzech lat zajmuje się głównie publikacją książek szkolnych. Ostatnio zmieniła nawet nazwę na **Wydawnictwo Edukacyjne Res Polona**.

— Doszliśmy do wniosku, że aby przetrwać musimy mieć jakąś specjalizację. Od początku wydawaliśmy książki edukacyjne, teraz zdecydowaliśmy się głównie na podręczniki i pomoce szkolne. Wydajemy własne tytuły, które po zatwierdzeniu przez MEN wchodzą do szkół. To już nie są nakłady czterech czy pięciu tysięcy, ale znacznie większe. Chyba to był dobry wybór — mówi Józef Fraszczyński, właściciel frmy.

Res Polona wypuściła już komplety podręczników do matematyki i do środowiska dla klas I-III. Autorami tych książek są pracownicy akademiccy i nauczyciele z Łodzi. Wydaje również lektury szkolne oraz następne szkolne encyklopedie. Na przełomie 1995/96 wyszła *Historia świata w datach*, a trzy miesiące potem kolejna w tej serii *Geografia świata*.

Stawiają na młodzież

Do Opusu i Res Polony trzy lata temu dołączyło łódzkie wydawnictwo **Akapit Press**. Ta firma była w ostatnich latach z pewnością najczęściej wymieniana w

omówieniach ogólnopolskich rankingów. Stało się to głównie za sprawą powieści Małgorzaty Musierowicz, które trafiały na pierwsze miejsca list bestsellerów. Łodzianie wydali aż 12 książek tej autorki (!), m.in. *Noelkę*, *Pulpecję* i *Dziecko piątku*. Przed erą Whartona podczas międzynarodowych targów książki w Warszawie Akapit Press był najliczniej obleganym stoiskiem. Gdy Musierowiczowa podpisywała tam swoje książki, nastolatki — a również ich mamy — wręcz szturmowały stoisko.

Dużym zainteresowaniem wśród młodych panienek cieszą się również wydawane przez Akapit Press powieści Krystyny Siesickiej. Oprócz wznowień starych tytułów, m.in. *Jeziora osobliwości*, łodzianie wydali zupełnie nową, trzytomową sagę rodzinną tej autorki: *Falbanki*, *Woalki* i *Wachlarze* oraz zapowiadają jej następne premierowe powieści. Na liście autorów Akapitu są również: Irena Jurgielewiczowa, Hanna Ożogowska, Zofia Chądzyńska, Monika Warneńska, autorki kochane przez młode czytelniczki. Teraz wydawcy szukają młodych talentów.

* * *

Chyba właśnie na polu literatury młodzieżowej mamy szansę stać się prawdziwym potentatem. W 1993 roku zaczęło w Łodzi działalność wydawnictwo **Hamal Books**. Najpierw wydali *Miliarderów*, opowieść o 25 najbogatszych biznesmenach z listy tygodnika „Wprost" a potem wystartowali serią „z serduszkiem". W przeciągu paru miesięcy ukazało się w tym cyklu kilka książek Haliny Snopkiewicz, m.in. jej wspaniałe *Słoneczniki*, które już w styczniu 1994 roku zawędrowały na listę bestsellerów. Następnie wyszły również powieści Aleksandra Minkowskiego, Janiny Zającówny, Ewy Nowackiej, Zofii Chądzyńskiej. Niemal równocześnie „z serduszkiem" Hamal Books rozpoczął wydawanie „ulubionej serii amerykańskich nastolatek" pt. „Sweet Dreams". Ta jednak nie trafiła chyba do polskich nastolatek. Seria utonęła w morzu innych kolorowych powieści dla młodzieży na księgarskich półkach. Od jakiegoś czasu Hamal Books nie wydało żadnego nowego tytułu. Być może szykuje kolejny atak na młodego czytelnika. Byłoby bardzo dobrze. Podobno literatury dla młodzieży ciągle mamy za mało.

* * *

Na młodego czytelnika kieruje swoje książki również **Literatura**, wydawnictwo, które powstało z dawnej oficyny **86 Press**.

W 1991 roku wydawnictwo działające wówczas przy Galerii 86 wystartowało wspomnieniami Ultra Violet o Andym Warholu *15 minut sławy*. Parę miesięcy potem ukazał się pięknie wydany album Stasysa Eidrigeviciusa *Twarze*. Później był dwutomowy cykl opowieści o łódzkich zabytkach Andrzeja Urbaniaka pt. *Śladami*

fot. Piotr Zdrzynicki

starej Łodzi, seria „Curiosa", gdzie wyszły m.in. *Paradoksy o niej i o nim* i coraz więcej książek młodzieżowych. Nakładem 86 Pres wychodziły również szkolne lektury, m.in. *Opowieści o pilocie Pirxie* Stanisława Lema oraz *Nocny lot* Antoine'a de Saint-Exupery'ego. Sztandarowym autorem wydawnictwa stał się jednak Edmund Niziurski. W połowie roku 1996 oficyna przyjęła nową nazwę — Literatura.

— Mamy bardzo wiele pomysłów i próbujemy zaklepać prawa autorskie, ale nigdy nie można być pewnym, czy inni nie wpadną na ten sam pomysł. Kiedy wydawaliśmy *Ziemię planetę ludzi* Saint-Exupery'ego, kupiliśmy od Bieńkowskich prawa autorskie na tłumaczenie, ale w tym samym czasie ukazały się trzy inne wydania tej książki w tłumaczeniach zbiorowych. Jest to więc zawsze ryzyko — mówi o swoich kłopotach Wiesława Jędrzejczykowa.

W najnowszym katalogu Literatury jest aż dziesięć powieści Edmunda Niziurskiego, w przygotowaniu są „absolutne premiery" tego autora — *Dalszy ciąg przygód Marka Piegusa* i *Pięć melonów na rękę*. Łódzka oficyna pokusiła się również o wydanie kolejnych lektur szkolnych, m.in. opowiadań Czechowa. Jej nakładem wyszła też *Kapitanówna* Marii Pruszkowskiej i powieść Natalii Gałczyńskiej *Spotkajmy się w Bangkoku*, ale wydawnictwo nie chce się trzymać wyłącznie jednej „specjalizacji".

Telefonem do diabła 666 66 6 Krystyny Boglar Literatura zaczęła „serię z wiedźmą", którą promuje jako „serię dla kobiet z dobrym smakiem". Zapowiada również kolejne książki o Łodzi oraz nową serię poetycką. W niej ukażą się m.in. wiersze i ballady wielkiej trójki rosyjskich poetów-dysydentów: Aleksandra Galicza, Włodzimierza Wysockiego i Bułata Okudżawy.

* * *

Na Krajowych Targach Książki we wrześniu 96, Łódź reprezentowały tylko trzy oficyny: Akapit Press i Literatura oraz **Juka '91**, specjalizująca się w książkach do nauczania początkowego. Zainteresowania właścicieli Juki pokrywają się częściowo z profilem Res Polony. Wydają też podręczniki dla klas I-III, lektury szkolne i publikacje metodyczne dla nauczycieli. Oprócz tego w ich ofercie są różne wybory wierszy, opowiadań i piosenek dla najmłodszych. Juka jednak właściwie opuściła już rodzimą Łódź i funkcjonuje w stolicy, gdzie mieści się nawet biuro zarządu firmy. Pozostał jedynie łódzki adres.

Nieznany świat parapsychologii

Zupełnie niekonwencjonalną ofertą dysponuje działające w Łodzi od 1994 roku i coraz bardziej widoczne wydawnictwo **Ravi**. Zajmuje się ono publikowaniem książek z pogranicza psychologii i ezoteryki. Ogólnopolskim hitem tej oficy-

ny były: *Samokontrola umysłu metodą Silvy* oraz książka Tadeusza Niwińskiego *Ja*. W recenzjach pisano: „Jeśli stoisz na rozdrożu przeczytaj tę książkę, zanim zrobisz następny krok". Ravi wydało także *Sekrety superpamięci* Lorayne'a, *Nieznany świat astrologii* Leszka Weresa oraz *Mandalę życia*. W ich katalogu znajduje się także podręcznik asertywności i poradnik rozwoju duchowego. Na międzynarodowych targach książki w Warszawie (w maju 1996) ich publikacje cieszyły się sporym zainteresowaniem.

Książki Ravi wychodzą w niewielkich nakładach i nie trafiają do wszystkich księgarń, ale mają stałego, określonego czytelnika. W przededniu ery Wodnika wydawcy mogą liczyć na coraz szersze zainteresowanie. Te książki przecież „uprzytamniają, że każdy z nas jest genialny, gdyż dysponuje umysłem, o którego granicach praktycznie nic nie wiadomo".

Z duchem czasu

Mamy też na miejscu jednego na razie z nielicznych w Polsce producentów kompaktów. Wspominane już wcześniej wydawnictwo **Promedia CD** wraz z Opusem wydało na płycie kompaktowej, *Encyklopedię historii świata*. Nowa firma ma zamiar specjalizować się w realizowaniu książek na kompaktach.

— Na razie nie mamy zbyt dużej konkurencji. Ten rynek dopiero się kształtuje. O ile papier nieustannie drożeje, to rzeczy związane z elektroniką wciąż tanieją — mówią wydawcy. Promedia CD będzie trzymać się specyfiki niebeletrystycznej, encyklopedii, leksykonów. Marzy im się wydanie na CD najsłynniejszych dzieł muzyki światowej z fragmentami koncertów, ale to dopiero przyszłość. Teraz czekają, jak zostanie przyjęte ich pierwsze dziecko.

— Sam program jest w całości napisany przez nas, opiera się o standard hypertekstowy, to znaczy każde hasło posiada szereg odniesień i odsyłaczy. Encyklopedię można w pięć minut zaadaptować do tego, by ją przeglądać w Internecie — mówi Radosław Przybył, współwłaściciel Promedii CD.

W połowie roku 1996 oficyna wydała też pod swoim szyldem przewodnik encyklopedyczny *Cywilizacje starożytne*, książkę, która wcześniej wyszła nakładem Wydawnictwa Łódzkiego, a jest panoramą dziejów od prehistorii i narodzin cywilizacji poprzez historię Egiptu, Bliskiego Wschodu, Chin i Ameryki. Wkrótce ma się ukazać jej wersja na kompakcie.

Miłośnicy poezji

Mniej popularne ze względu na swoją specyfikę są poza Łodzią książki **Wydawnictwa Biblioteka** czy **Stowarzyszenia Literackie im. K.K. Baczyńskiego** zajmujące się głównie poezją.

— To bardzo trudna decyzja, żeby wydawać książki, które nie przynoszą zysków. Jest to możliwe tylko wtedy, kiedy robią to pasjonaci — uważa Jerzy Poradecki, profesor UŁ i jednocześnie twórca Biblioteki. Być może teraz, po powołaniu w Łodzi Klubu Miłośników Poezji, które ma się zajmować wysyłkową dystrybucją książek poetyckich z całego kraju i tworzeniem w miarę pełnego katalogu nowo ukazujących się tomików, sytuacja ulegnie zmianie. Tym sposobem może również poezja, która powstaje w Łodzi trafi do szerszego kręgu zainteresowanych.

O mojej to Łodzi piosenka...

W Łodzi jest też paru wydawców, którzy nie mają zamiaru wypływać na szerokie pozałódzkie wody. Interesuje ich to miasto i jego historia.

Na publikowanie książek o Łodzi nastawiła się całkiem świeża **Widzewska Oficyna Wydawnicza Zora**. W ubiegłym roku ich nakładem, ale pod auspicjami łódzkiego oddziału Towarzystwa Opieki nad Zabytkami, ukazały się *Stare fabryki Łodzi* Mirosława Jaskulskiego. Na początku 1996 wyszło drugie wydanie *Działo się w Łodzi* Mirosława Zbigniewa Wojalskiego, a niedawno pojawiła się *Kieszonkowa historia Łodzi* również jego autorstwa. W łódzkiej tematyce specjalizuje się także Wojciech Grochowalski, który w ramach swojej serii **„Łodziana Papier Service"** wydał m.in. *Kulturę muzyczną Łodzi do 1918 roku* Alfonsa Pellowskiego.

Dość prężna jest również istniejąca tu **Oficyna Bibliofilów** Marka Szukalaka, która ma na swoim koncie już prawie sto tytułów, zwłaszcza tomiki poetyckie oraz całą serię związaną z kulturą żydowską. Niedawno jej nakładem ukazał się album Danuty i Lecha Muszyńskich *Cmentarz Żydowski w Łodzi* oraz *Szkice z dziejów Gminy Żydowskiej oraz cmentarza w Łodzi* Izaaka Kersza.

O pominiętych...

Pisząc o łódzkich wydawnictwach zwykle pomija się Wydawnictwo Naukowe PWN, który uchodzi za wydawnictwo ogólnopolskie, co znaczy powszechnie — warszawskie. Tymczasem od dziesięcioleci mamy **łódzki oddział PWN**, który zajmuje się nie tylko sprzedawaniem, ale i wydawaniem książek. Zwłaszcza ma promować autorów z łódzkiego środowiska naukowego.

Od wielu lat działają też w naszym mieście wydawnictwa uczelniane. W ubiegłym roku nakładem **Wydawnictwa Uniwersytetu Łódzkiego** wyszło ponad sto tytułów, w tym *Kino polskie w dziesięciu sekwencjach*, zbiór esejów o najwybitniejszych polskich reżyserach. W księgarniach pojawiają się także książki **Wydawnictwa Archidiecezjalnego**, a w placówkach muzealnych można znaleźć książki Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego, Muzeum Sztuki czy Muzeum Kinema-

tografii. Są także publikacje stowarzyszeń twórczych, choćby poetyckie książki łódzkiego oddziału Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Ich dorobkiem jednak nie będę się zajmować, a jest to materiał na sporą pracę doktorską. Każda z nich dodaje jakichś barw do wizerunku wydawniczej Łodzi.

* * *

Przyglądając się łódzkim wydawnictwom i ich książkom, można w końcu dojść do wniosku, że nie jest aż tak źle, jak się wydaje. W Łodzi jednak kilka wydawnictw mamy. Niektóre radzą sobie lepiej, inne gorzej. Parę musiało zawiesić działalność, bo nie umiały sobie poradzić z konkurencją, ale pojawiają się następne. Coś się dzieje w tym interesie, i dobrze. Oczywiście szkoda, że nie możemy dorównać Poznaniowi czy Krakowowi, że nie mamy wydawnictwa, które się kojarzy z naszym miastem i jest jego wizytówką. Ale widocznie taki nasz urok. Łodzianie chyba nie potrafią wspólnie działać. Jak coś wspólnie zaczynają, to potem waśnie i kłótnie ich rozdzielają, więc „każdy sobie rzepkę skrobie". Być może rzeczywiście jest tak jak powiedział jeden z wydawców:

— W Łodzi jest miejsce na jedno porządne, duże wydawnictwo z prawdziwego zdarzenia, ale to miasto nigdy takiego wydawnictwa mieć nie będzie. Musielibyśmy skrzyknąć się razem i stworzyć coś wspólnie. A tego z pewnością nie potrafmy.

A może takie wydawnictwo już w Łodzi mamy i potrzeba zaledwie paru miesięcy, żeby to zauważyć? Dajmy sobie trochę czasu.

Ustawę o Szkolnictwie Wyższym porównano do ukazu o zniesieniu pańszczyzny, który zdjął chłopom z nóg kajdany, ale razem z butami.

JAN KRYSIŃSKI

Politechnika Łódzka
w latach 1990-96

Politechnika Łódzka przeszła w latach 1990-96 głęboką transformację, która dotknęła praktycznie wszystkich dziedzin jej aktywności. Władze akademickie, podejmując swe obowiązki 1 XII 1990 r., stanęły wobec całkowicie nowej sytuacji, wynikającej z przemian ustrojowych i gospodarczych zachodzących w naszym kraju.

Warunki funkcjonowania Uczelni w nowej rzeczywistości

12 września 1990 r. Sejm uchwala Ustawę o Szkolnictwie Wyższym, która wprowadza demokratyczne wybory władz uczelni i wydziałów i daje tzw. uczelniom autonomicznym* dużą swobodę w zakresie:

— kształtowania organizacji i uchwalania statutu,
— układania programów studiów oraz ustalania strategii badań naukowych,
— określania warunków rekrutacji,
— prowadzenia współpracy z zagranicą.

Ustawę o Szkolnictwie Wyższym porównano do ukazu carskiego o zniesieniu pańszczyzny, który zdjął chłopom z nóg kajdany, ale razem z butami. Ustawa ta nie wprowadziła bowiem prawnych zasad finansowania szkolnictwa wyższego.

○ Powstaje wolny rynek towarów i usług, upada wielki państwowy przemysł (w tym w Łodzi przemysł włókienniczy), powstaje i nasila się zjawisko bezrobocia, utrzymuje się wysoki stopień inflacji.

---

* Według Ustawy z 12.09.90 uczelnia autonomiczna musi posiadać więcej niż 60 profesorów tytularnych i więcej niż połowę wydziałów posiadających prawa nadawania stopnia doktora habilitowanego. Politechnika Łódzka jest uczelnią autonomiczną, posiada ok. 120 profesorów tytularnych i na 11 wydziałów 6 posiada prawa habilitacyjne.

- MEN zmienia sposób finansowania działalności dydaktycznej uczelni; wprowadzona formuła, tzw. algorytm, uzależnia dotację od liczby studentów i wysokokwalifikowanej kadry, a nie jak poprzednio, od ogólnej liczby zatrudnionych.
- Następuje gruntowna zmiana sposobu finansowania badań naukowych, powstaje Komitet Badań Naukowych, wprowadza się system konkursu projektów badawczych, tzw. grantów oraz kategoryzację wydziałów, od której zależy finansowanie ich działalności statutowej (badawczej).
- Gwałtownie zmniejsza się finansowanie szkolnictwa wyższego, praktycznie upada finansowanie badań naukowych przez przemysł, finansowanie nauki z budżetu jest daleko niewystarczające.

Sytuację Politechniki Łódzkiej w końcu 1990 r. doskonale charakteryzują liczby studentów i pracowników porównane z 1980 r.:

	31.12.1980	31.12.1990
Liczba studentów	11410	628
Ogólna liczba zatrudnionych	3900	3980
w tym nauczycieli akademickich	1450	1480
Liczba studentów na 1 nauczyciela	7,8	4,24

W 10-leciu 1980-90 nastąpił w Politechnice Łódzkiej, podobnie jak i w całym kraju, gwałtowny spadek liczby studentów. Po wprowadzeniu stanu wojennego młodzież nie planowała przyszłości poprzez studiowanie na wyższych uczelniach. Ogólną tendencją była dążność do emigracji. Popularne było hasło: „ostatni zgasi światło".

Z powyższego zestawienia widać, że mimo prawie 2-krotnego zmniejszenia w latach 1980-90 liczby studentów zatrudnienie w PŁ wzrosło, zwłaszcza w grupach administracji, obsługi i pracowników technicznych.

Ogólnie można stwierdzić, że Politechnika Łódzka w roku 1990, podobnie jak i całe szkolnictwo wyższe i polska gospodarka, została gwałtownie przeniesiona w nową epokę ekonomii wolnego rynku z wszystkimi jej konsekwencjami, przy zachowaniu struktury z poprzedniej epoki i przy nawykach oraz ludzkiej mentalności, będących spuścizną 45 lat istnienia irracjonalnego systemu komunistycznego.

Zadania stojące przed Politechniką Łódzką w końcu 1990 r.

Jako najważniejsze uznano:

- Zwiększenie liczby studentów i zmniejszenie zatrudnienia.
- Unowocześnienie programów studiów celem dostosowania ich do wymagań rynku pracy; a więc kształcenie bardziej ogólne, powołanie nowych wydziałów i nowych kierunków studiów.
- Rozwój badań naukowych w nowych warunkach ich finansowania.

- Rozszerzenie współpracy z zagranicą, wejście do programów Unii Europejskiej (TEMPUS, COPERNICUS i innych), rozwój wymiany studenckiej z zagranicą, umiędzynarodowienie studiów.
- Rozwój kadry (doktoraty, habilitacje, tytuły profesorskie).
- Komputeryzacja uczelni, budowa sieci uczelnianej, wejście do sieci światowej.
- Rozwój bazy materialnej (unowocześnienie aparatury i powiększenie stanu lokalowego).
- Pozbycie się struktur nieefektywnych w warunkach wolnego rynku towarów i usług, a więc jednostek, którymi „obrosła" uczelnia w poprzednim okresie (Zakład Poligrafii, Zakład Remontowo-Budowlany, itp.).
- Wprowadzenie zdecentralizowanego systemu zarządzania, wyzwalającego prawidłową gospodarkę jednostek uczelni.

Zmiany w procesie dydaktycznym

- Zmieniono system magisterski na system trójstopniowy (inżyniersko-magisterski-doktorancki) i uruchomiono studium techniczne 2-letnie typu college; studia zaoczne i wieczorowe stały się płatne.
- Unowocześniono programy studiów poprzez:
  * zwiększenie liczby godzin zajęć z przedmiotów ekonomiczno-menadżerskich,
  * wprowadzenie na niektórych wydziałach wykładów w językach obcych, np. program ELSE dla jęz. angielskiego,
  * zlikwidowanie kierunków dyplomowania na rzecz kształcenia szerokoprofilowego, bardziej ogólnego, które w warunkach bezrobocia umożliwia łatwiejsze znalezienie zatrudnienia,
  * ograniczenie programów nauczania na studiach 5-letnich do maks. 4000 godzin (przedtem dochodziło do 5000 godzin),
  * rozwijanie humanizacji studiów (wykłady z filozofii, w tym ekologicznej, prawa, warsztaty muzyczne itp.).
- Uruchomiono uzupełniające studia magisterskie na kierunku zarządzanie i marketing dla absolwentów innych wydziałów.
- Prowadzono aktywną politykę wobec maturzystów, rozwinięto egzaminy wstępne łączone z maturą.
- Uruchomiono nowe kierunki studiów — ogólna liczba kierunków prowadzonych w PŁ w 1995 r. wzrosła do 19 (16 w 1990 r.), w tym na 2 wydziałach uruchomiono informatykę, która poprzednio nie była kierunkiem studiów, tylko na jednym wydziale kierunkiem dyplomowania.
- Rozwinięto bardzo intensywną studencką współpracę z zagranicą; corocznie od 20 do 25 studentów PŁ wykonuje prace dyplomowe w uczelniach Francji, ogółem około 60 studentów wyjeżdża za granicę na staże, PŁ przyjmuje około 60 studentów z zagranicy.

Nowe wydziały, studia i centra

Powołano następujące wydziały i studia:

- WYDZIAŁ ORGANIZACJI I ZARZĄDZANIA, powstał w 1991 r. w roku akad. 1995/96 miał już 2570 studentów, pierwsi absolwenci opuścili Wydział O i Z w czerwcu 1996 r. Wkrótce otrzyma prawa doktoryzowania.
- WYDZIAŁ INŻYNIERII PROCESOWEJ I OCHRONY ŚRODOWISKA, powstał w 1992 r. z Instytutu Inżynierii Procesowej, w roku akad. 1995/96 miał 772 studentów, pierwsi absolwenci opuścili już wydział.
- WYDZIAŁ INŻYNIERII WŁÓKIENNICZEJ I OCHRONY ŚRODOWISKA, powstał w 1994 r. w FILII PŁ W BIELSKU-BIAŁEJ.
- STUDIA SPECJALNE „UNIVERSITE DE LA MODE" — z zakresu menedżmentu mody, powstały w 1993 r. przy pomocy Uniwersytetu Lyon II, Izby Handlu i Przemysłu Lyonu i Zarządu m. Łodzi, przy współpracy z uczelniami Łodzi.

Powołano następujące centra:

- CENTRUM KSZTAŁCENIA MIĘDZYNARODOWEGO — INTERNATIONAL FACULTY OF ENGINEERING, powstało w 1993 r. przy pomocy rządu australijskiego, prowadzi studia całkowicie w języku angielskim na 3 kierunkach:
  * Electromechanical Engineering (1993),
  * Business and Technology (1994),
  * Telecommunications and Computer Science (1995).

  Rok akad. 1996/97 w International Faculty of Engineering (IFE) rozpoczęło około 200 studentów, w tym obcokrajowcy. IFE jest oknem na świat PŁ, realizuje już wymianę studentów z uczelniami W. Brytanii, Danii i Francji.
- CENTRUM KOMPUTEROWE, powstało w 1992 r., główne dokonania to:
  * budowa uczelnianej sieci komputerowej (na ukończeniu),
  * koordynacja budowy sieci m. Łodzi,
  * koordynacja budowy sieci łódzkich bibliotek,
  * komputeryzacja administracji PŁ,
  * zapewnienie połączeń międzynarodowych,
  * rozwój sprzętu komputerowego Centrum.
- CENTRUM DIAGNOSTYKI I TERAPII LASEROWEJ, powstało w 1996 r. w oparciu o przeszło 25-letnią współpracę Instytutu Fizyki PŁ i klinik Akademii Medycznych w Łodzi. Posiada uprawnienia Zakładu Opieki Zdrowotnej, dysponuje nowoczesnym budynkiem stanowiącym przychodnie i mały szpital (sala operacyjna). Główny kierunek badań to walka z nowotworami; prowadzona terapia to głównie usuwanie czerwonych znamion na skórze, stymulowanie zrostu kości długich i gojenia się owrzodzeń (w tym powstałych w przebiegu cukrzycy).

Rozwój bazy lokalowej

Mimo trudnej sytuacji finansowej Politechnika Łódzka w latach 1990—96 wydatnie rozwinęła bazę lokalową.

Zakupiono następujące budynki:

1. Dla International Faculty of Engineering — od gminy Łódź (dawny Pałac Ślubów), eksploatowany od 1993 r.
2. Dla Centrum Ochrony Środowiska — wyremontowany w 1993 r. i eksploatowany
3. Dla Centrum Diagnostyki i Terapii Laserowej — wyremontowany w 1996 r. i eksploatowany.
4. Dla Wydziału Inżynierii Procesowej i Ochrony Środowiska — w końcowej fazie remontu.
5. Dla Dziekanatu Wydziału FTIMS — w końcowej fazie remontu.
6. Dla różnych jednostek uczelni — budynek o powierzchni 12 000 m^2.

Budynki 2, 3, 4 i 5 nabyto poprzez wykupienie przez uczelnię długów Zakładów LODEX, razem z nimi kupiono 2 ha terenu przylegającego bezpośrednio do terenów uczelni. Dało to możliwość stworzenia kampusa PŁ w centrum miasta i zapewniło możliwości rozwoju uczelni w XXI wieku.

W trakcie załatwiania formalności kupna znajduje się budynek przy ul. Wróblewskiego dla Biblioteki Głównej PŁ.

Prowadzono też nowe inwestycje:

- Budynek Instytutu Techniki Radiacyjnej — ukończony, finansowanie KBN.
- Budynek Wydziału Mechanicznego — stan surowy zamknięty, finansowanie MEN.
- Budynek Instytutu Maszyn Przepływowych — zakończony, finansowanie KBN.

Likwidacja nieefektywnych jednostek

W warunkach wolnego rynku towarów i usług koniecznym stało się zlikwidowanie następujących jednostek:

- Zakład Poligrafii (47 etatów) zlikwidowany w 1991 r., budynek i maszyny wydzierżawiono prywatnej spółce wydawniczej. Opłaty z czynszu, dzielone między wydziały, pokrywają obecnie około 1/2 kosztów wydawnictw PŁ. Cykl wydawniczy został skrócony do kilku tygodni. Poprzednio Zakład Poligrafii posiadał 6-letnie zaległości wydawnicze.

Zakład Remontowo-Budowlany (około 50 etatów) zlikwidowany w 1995 r., przynosił permanentny deficyt, zajmował znaczną powierzchnię, którą obecnie przejęły jednostki dydaktyczne uczelni. Remonty wykonują teraz firmy prywatne, angażowane w drodze przetargów.

Likwidacja Zakładu Remontowo-Budowlanego spotkała się z wieloma oporami. Zarzucano rektorowi złamanie uchwały Senatu i chciano wymusić na Ministrze Edukacji Narodowej zmianę decyzji rektora o likwidacji ZRB. Dwukrotnie przekazana przez MEN opinia była jednoznacznie korzystna dla rektora.

○ Pralnia Osiedla Studenckiego, zlikwidowana w 1994 r., 8 etatów, usługi pralni prywatnej dają obecnie oszczędności około 60 000 zł rocznie.

Nowy system zarządzania i finansów

Wprowadzono go uchwałą Senatu PŁ dnia 28.06.95. Prace trwały prawie 4 lata. Istniały duże opory kierowników jednostek uczelni, wynikające z obaw przed odpowiedzialnością finansową, podejmowaniem decyzji i ostatnio przed działaniami w warunkach deficytu uczelni. Nie można tu też pominąć oporów tkwiących w ludzkiej mentalności.

Stary scentralizowany system — typowy dla większości polskich uczelni ma następujące cechy:

* uczelnia kierowana jest centralnie, ograniczone są kompetencje i odpowiedzialność dziekanów i dyrektorów instytutów oraz kierowników katedr;
* jednostki uczelni nie znają ani swych kosztów. ani wpływów, nie mają swego budżetu, który jest jednym wielkim „workiem" dla całej uczelni; obowiązujące hasło to „centrala płaci za wszystko";
* rektor dowiaduje się o wyniku finansowym uczelni w danym roku po 3 miesiącach roku następnego (po dokonaniu bilansu), tak więc bieżące oddziaływanie władz uczelni na wyniki finansowe jej jednostek jest praktycznie niemożliwe;
* następuje zanik odpowiedzialności jednostek za wynik finansowy, ewentualny deficyt uczelni jest anonimowy.

W nowym zdecentralizowanym systemie:

* każda jednostka ma adresowane środki finansowe na działalność dydaktyczną i naukę;
* w jednostce są rejestrowane wszystkie koszty (płace, energia elektryczna i cieplna, telefony itd.);
* każda jednostka zna swój wynik finansowy (informacje są przekazywane co miesiąc z kwestury) i za ten wynik odpowiada, ewentualny deficyt nie jest już anonimowy;
* obowiązuje lista rankingowa jednostek określająca dodatki funkcyjne dla kierownictwa instytutów i katedr*. Głównymi kryteriami tej listy są: wartość sprzedanych prac naukowo-badawczych przypadająca na 1 pracownika, liczba publikacji na 1

* Instytut zatrudnia od 30 do 80 osób, katedra od 5 do 25.

pracownika (z odpowiednią wagą) i ostatnio stosunek wyniku finansowego jednostki (ujemnego lub dodatniego) do przyznanej dotacji MEN. Istnieją oddzielne dwie listy dla instytutów i katedr. Każda lista dzieli jednostki na trzy kategorie, od których zależą dodatki funkcyjne kierownictwa jednostek. Pierwszą listę rankingową jednostek PŁ wprowadzono w 1994 r., obowiązuje ona przez okres jednego roku.

Politechnika jest jedyną uczelnią w Łodzi, która wprowadziła zdecentralizowany system zarządzania i finansów i jedyną w Polsce, która wprowadziła listę rankingową jednostek.

Filia Politechniki Łódzkiej w Bielsku-Białej

W ostatnim 5-leciu Filia rozwijała się niezwykle dynamicznie. Wyraziło się to przez:

* uzyskanie terenów po b. jednostce wojskowej wraz z budynkami, które zostały szybko wyremontowane dla celów dydaktycznych i badawczych;
* powiększenie liczby wydziałów; obok istniejącego Wydziału Budowy Maszyn utworzono:
  - Wydział Inżynierii Procesowej i Ochrony Środowiska,
  - Oddział Wydziału Organizacji i Zarządzania,
* powiększenie liczby studentów od 670 w 1990 do 2861 w 1995 r., a więc ponad czterokrotnie,
* reformowanie programów studiów.

Filia uzyskała znaczną autonomię w ramach uczelni, co niewątpliwie poprawiło skuteczność jej zarządzania. Nastąpiło wyraźne zwiększenie związków Filii z Macierzą, gdzie Filia jest dostrzegana jako mocna naukowo i dydaktycznie część Politechniki Łódzkiej.

Trochę statystyki

W ciągu pięciolecia 1990-95 uzyskano na Politechnice 32 tytuły profesora, 99 stopni doktora hab., 115 stopni doktorskich.

Uczelnia zatrudniała:

	w dniu 31.12.95	31.12.90
profesorów tytularnych	129	122
osób ze stopniem doktora hab.	190	103
osób ze stopniem doktora	747	ok. 780

W ciągu ostatnich 5 lat Politechnika Łódzka, mimo przejścia na emeryturę wielu profesorów tytularnych, utrzymała, a nawet nieco zwiększyła ich liczbę, prawie

dwukrotnie zwiększyła też liczbę doktorów habilitowanych przy nieznacznym spadku liczby doktorów.

Przedstawione wykresy doskonale wskazują drogę, jaką przeszła Politechnika Łódzka od 1990 r. Na wykresie widać ostro pnącą się do góry krzywą liczby studentów, spadającą lekko krzywą ogółu zatrudnionych i lekko rosnącą krzywą liczby nauczycieli akademickich.

W latach 1991-92 zwolniono z pracy w PŁ około 400 osób. Nie byli to nauczyciele akademiccy, tylko pracownicy administracji, obsługi i pracownicy inżynieryjno-techniczni. Była to pierwsza w historii uczelni redukcja zatrudnienia, przeprowadzona centralnie przez władze Politechniki. Spotkała się ona, co jest zrozumiałe, z niezwykle ostrym sprzeciwem związków zawodowych i co jest mniej zrozumiałe, ze sprzeciwem kierowników jednostek. Pamiętać jednak należy, że w tym okresie kierownicy jednostek nie czuli kosztów ich funkcjonowania, bo „rektor płacił za wszystko".

Redukcja całkowitego zatrudnienia o ok. 400 osób, co utrzymuje się do dzisiaj, to oszczędność w płacach 1996 r. około 5 mln zł, a więc koszt rocznego ogrzewania uczelni.

Zmieniła się bardzo korzystnie w ostatnich 5 latach struktura zatrudnienia, co wskazują wykresy kołowe dla roku 1990 i 1995.

Określenie zagrożeń

Uczelnia jest żywym organizmem — wymaga ciągłej pracy i unikania zagrożeń, w tym skonfliktowania społeczności akademickiej. Największym zagrożeniem uczelni jest deficyt budżetowy, który powoduje:

* degradację substancji lokalowej uczelni,
* degradację laboratoriów dydaktycznych,
* obniżenie poziomu nauczania,
* ograniczenie rozwoju uczelni.

Podstawowym warunkiem likwidacji tych zagrożeń jest istotne podniesienie dotacji MEN na dydaktykę oraz zdobywanie środków pozabudżetowych.

Inne zagrożenia wynikające ze zdecentralizowanego zarządzania to:

* tendencje do autarkii dydaktycznej, tzn. zlecania zajęć dydaktycznych spoza specjalności wydziału pracownikom wydziału, przykład krańcowy to prowadzenie zajęć z elektrotechniki przez mechanika na wydziale mechanicznym,
* niebezpieczeństwo federalizacji uczelni wynikające z powierzenia majątku wydziałom, które mogą prowadzić partykularną politykę, niezgodną z interesem całej uczelni.

Można im zapobiec przez ścisły kontakt władz rektorskich z władzami wydziałów oraz przez odpowiednie kompetencje dyrektora administracyjnego i kwestora.

LICZBA STUDENTÓW, ZATRUDNIENIE I JEGO STRUKTURA W LATACH 1990-95

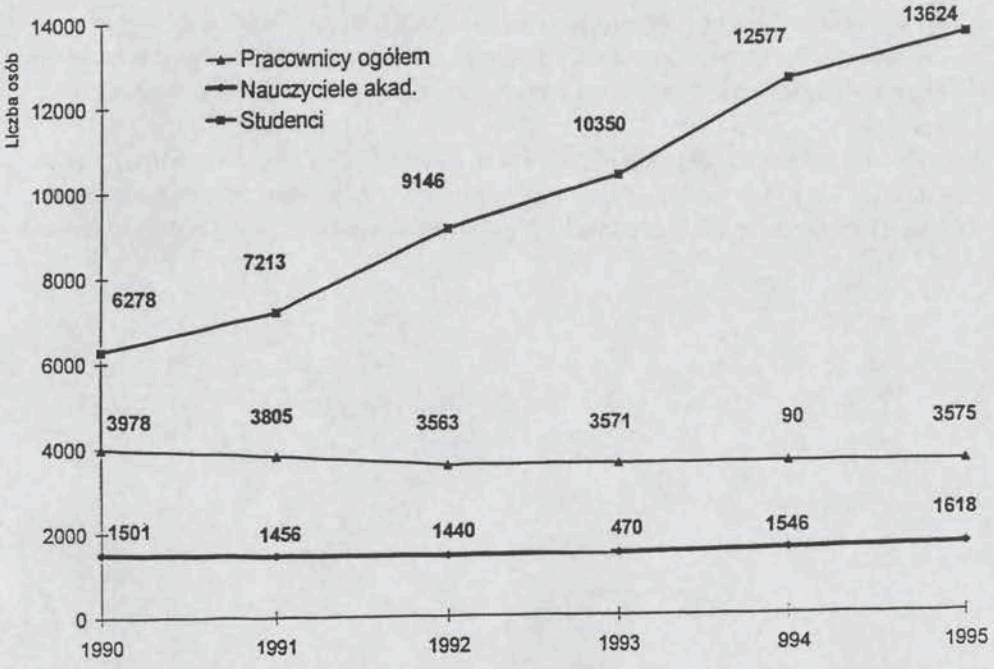

1990

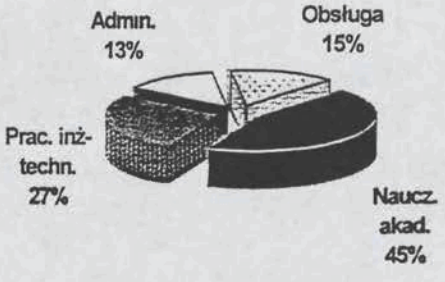

1995

Dalsze zagrożenia to:

* występujące jeszcze nienowoczesne programy studiów, co nie sprzyja rekrutacji kandydatów na studia,
* rozdrobnienie struktury organizacyjnej wydziałów drogą tworzenia małych zespołów czy katedr przez narastającą liczbę doktorów habilitowanych; należy im zapewnić możliwości spełnienia naukowych ambicji w istniejących strukturach uczelni,
* prowadzenie nieuczciwej konkurencji wobec uczelni przez jej pracowników działających we własnych lub obcych spółkach — nowe władze uczelni powinny tu podjąć działania, choć w obecnych uregulowaniach prawnych nie będzie to łatwe.

Jan Krysiński — Rektor Politechniki Łódzkiej w latach 1990-96

30 września br. w Teatrze Wielkim w Łodzi miała miejsce uroczysta wspólna inauguracja nowego roku akademickiego wyższych uczelni łódzkich. Podczas uroczystości podpisano porozumienie o współpracy łódzkiego środowiska akademickiego i naukowego z władzami miasta. Ze strony naukowców podpisy złożyli: prof. Stanisław Liszewski, Przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Uczelni Łodzi, prof. Maria Olszewska, Przewodnicząca Oddziału PAN w Łodzi i prof. Zdzisław Ruszczak, Wiceprezes Łódzkiego Towarzystwa Naukowego. W imieniu władz miasta porozumienie podpisał Prezydent Łodzi Marek Czekalski.

Poniżej drukujemy pełny tekst porozumienia.

POROZUMIENIE O WSPÓŁPRACY

Łódzkie Środowiska Akademickie i Naukowe
reprezentowane przez
Przewodniczącego Konferencji Rektorów Wyższych Uczelni Łodzi
Przewodniczącą Oddziału PAN w Łodzi
Prezesa ŁTN
oraz
Miasto Łódź
reprezentowane przez Prezydenta

uwzględniając doniosłą rolę szkolnictwa wyższego i nauki we współczesnym świecie oraz ich zasadniczy wpływ na pozycję państw i narodów w społeczności międzynarodowej, biorąc pod uwagę doniosłe znaczenie szkolnictwa wyższego i nauki dla roz-

woju naszego Miasta i dla określenia jego pozycji w Państwie, dążąc do jak najlepszego zaspokojenia potrzeb mieszkańców Łodzi w dziedzinie szkolnictwa wyższego i nauki

postanawiają:

1. *Środowiska akademickie i naukowe, wykonując swe statutowe zadania kształcenia na poziomie wyższym, prowadzenia badań oraz zapewnienia wyspecjalizowanej ochrony zdrowia będą się kierowały także potrzebami Miasta, w szczególności poprzez:*
   a) *włączenie do badań naukowych problemów gospodarczych, społecznych, medycznych oraz z dziedziny kultury i sztuki występujących w Łodzi,*
   b) *podejmowanie badań nad nowymi technologiami, które mogłyby prowadzić do zmian struktury gospodarki i produkcji w Łodzi,*
   c) *kształcenie przyszłych elit intelektualnych i zawodowych dla Łodzi,*
   d) *współpracę z miejskimi władzami oświatowymi w procesie reformowania szkolnictwa niższych szczebli, zwłaszcza przez pomoc w opracowaniu programów i udział w kształceniu fakultatywnym.*

2. *Środowiska akademickie i naukowe będą otwarte na konkretne zamówienia pochodzące od władz Łodzi, a także funkcjonujących w mieście instytucji. W szczególności jako priorytetowe będą traktowały:*
   a) *zamówienia na realizację programów badawczych*
   b) *zamówienia na realizację specjalistycznych ekspertyz,*
   c) *zlecenia na opracowanie programów gospodarczych dla łódzkich przedsiębiorstw.*

3. *Środowiska akademickie i naukowe zwrócą szczególną uwagę w swych kontaktach krajowych i zagranicznych na promocję Łodzi i regionu.*

4. *Miasto w ramach istniejących możliwości prawnych i finansowych, będzie uwzględniało potrzeby materialne środowisk akademickich i naukowych, w szczególności poprzez:*
   a) *udostępnianie gruntów i budynków przeznaczonych na prowadzenie działalności dydaktycznej i naukowej,*
   b) *dofinansowywanie remontów budynków i pomieszczeń zajmowanych przez placówki akademickie i naukowe,*
   c) *dofinansowywanie krajowych i międzynarodowych kongresów, konferencji i innych imprez organizowanych w Łodzi przez instytucje akademickie i naukowe, których tematyka jest związana z Miastem*

5. *Miasto przystąpi do opracowania programu pomocy finansowej dla nauki i szkolnictwa wyższego, obejmującego w szczególności:*
   a) *stypendia komunalne, fundowane dla studentów określonych specjalizacji, którzy w przyszłości podejmą pracę w jednostkach organizacyjnych miasta Łodzi,*
   b) *nagrody za najlepsze prace magisterskie, poświęcone szeroko rozumianej problematyce komunalnej;*
   c) *granty na badania naukowe i inne przedsięwzięcia o istotnym znaczeniu dla Miasta.*

6. *Miasto, zlecając wykonanie opracowań naukowych i ekspertyz, będzie korzystało przede wszystkim — z zachowaniem procedur określonych przez obowiązujące przepisy — z potencjału intelektualnego łódzkich środowisk akademickich i naukowych.*

7. *Strony będą przeprowadzały systematyczne konsultacje, zmierzające do bliższego określenia form realizacji poszczególnych zobowiązań, wynikających z niniejszego porozumienia.*

8. *Strony deklarują wolę kontynuowania dialogu w celu rozwijania współpracy zapoczątkowanej podpisaniem niniejszego porozumienia.*

9. *Porozumienie niniejsze zostało sporządzone w czterech jednobrzmiących egzemplarzach, po jednym dla każdej ze stron.*

10. *Porozumienie wchodzi w życie z dniem podpisania.*

Marek Czekalski
Prezydent m. Łodzi

Prof. zw. dr hab. Stanisław Liszewski
Przewodniczący Konferencji Rektorów Wyższych Uczelni Łodzi

Prof. zw. dr hab. Maria Olszewska
Przewodnicząca Oddziału PAN w Łodzi

Prof. zw. dr hab. Zdzisław Ruszczak
Wiceprezes Łódzkiego Towarzystwa Naukowego

Łódź, 30 września 1996 r.

Zmiany we władzach samorządowych

W dniu 9 października 1996 r. na XLIII Nadzwyczajnej Sesji Rady Miasta w Łodzi wybrano nowego Przewodniczącego Rady Miejskiej — **Grzegorza Matuszaka** oraz trzech członków Zarządu Miasta: Wiceprezydenta **Jerzego Kroh**, Wiceprezydenta **Józefa Tazbira** i Członka Zarządu **Jana Mędrzaka**.

Grzegorz Matuszak — lat 55, socjolog, profesor doktor habilitowany w Katedrze Socjologii Zawodu na Wydziale Ekonomiczno-Socjologicznym Uniwersytetu Łódzkiego.

Studia wyższe ukończył w 1963 r., stopień doktora nauk humanistycznych uzyskał w 1977, a doktora habilitowanego w 1990 r. Pracę w szkolnictwie wyższym rozpoczął w 1977 r. Od 1992 r. profesor nadzwyczajny.

W latach 1965-90 członek PZPR. Pełnił m.in. funkcje: sekretarza Komitetu Uczelnianego UŁ, zastępcy kierownika i kierownika Wydziału Nauk i Oświaty KŁ PZPR. Od 1990 r. należy do SdRP. Wchodzi w skład Rady Naczelnej tej partii, a od 1991 r. przewodniczy Radzie Wojewódzkiej SdRP.

Od roku 1990 radny Rady Miejskiej, w 1994 r. wybrany na drugą kadencję. Pełnił funkcje Przewodniczącego Klubu Radnych SLD oraz Przewodniczącego Komisji Kultury. Z obu tych funkcji zrezygnował po wyborze 9 X 1996 r. na Przewodniczącego Rady Miejskiej.

Jerzy Kroh — lat 72, chemik, profesor doktor habilitowany Politechniki Łódzkiej.

Studia wyższe rozpoczął w 1942 r. na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, a ukończył w 1947 na Politechnice Łódzkiej. Związany odtąd z tą uczelnią, uzyskał w 1950 r. stopień doktora, a w 1958 r. habilitował się z dziedziny chemiluminiscencji. W tym samym roku wyjechał na staż naukowy do Anglii i Kanady. Po

powrocie do kraju w 1961 r. organizował na Politechnice Łódzkiej ośrodek badań naukowych w dziedzinie chemii radiacyjnej. W roku 1962 objął kierownictwo powołanej na Wydziale Chemicznym PŁ Katedry Chemii Radiacyjnej, przekształconej następnie w Instytut Techniki Radiacyjnej. Został jego pierwszym dyrektorem i był nim nieprzerwanie do 1994 r.

W 1963 r. uzyskał stopień profesora nadzwyczajnego, zaś w 1968 — profesora zwyczajnego. W 1976 r. został członkiem korespondentem PAN, a od 1968 r. jej członkiem rzeczywistym.

Wysoko oceniany na arenie międzynarodowej, uhonorowany czterema doktoratami honoris causa Uniwersytetów Strathclyde w Glasgow oraz Leeds i w Pawii. Z jego inicjatywy rozpoczęto organizowanie trójstronnych spotkań Pawia — Glasgow — Łódź „Radiation Physic and Chemistry of Solids".

Jest laureatem wielu nagród i odznaczeń, m.in. Krzyża Komandorskiego Orderu Odrodzenia Polski, Medalu Edukacji Narodowej, Nagrody Naukowej Miasta Łodzi i in.

Na Politechnice Łódzkiej pełnił wiele odpowiedzialnych funkcji. W latach 1962-66 był dziekanem Wydziału Chemii Spożywczej. W 1981 r. został wybrany rektorem PŁ i pełnił tę funkcję przez dwie kadencje.

Jako Wiceprezydent odpowiada za sprawy związane z nauką, oświatą i wychowaniem oraz koordynacją kontaktów międzynarodowych Łodzi.

Józef Tazbir — lat 45, doktor nauk medycznych.

Absolwent Wydziału Lekarskiego łódzkiej Akademii Medycznej, pracę zawodową rozpoczął w 1975 r. W 1977 r. zostaje asystentem w Klinice Chirurgii Instytutu Endokrynologii AM. Dwa lata później uzyskuje specjalizację I stopnia w chirurgii ogólnej. Od listopada 1982 do marca 1984 przebywa na stypendium polskiego Ministerstwa Zdrowia i austriackiego Ministerstwa Nauki i Badań w Wiedniu i Salzburgu. W 1984 r. otrzymuje stopień doktora nauk medycznych oraz uzyskuje specjalizację II stopnia z chirurgii ogólnej.

W listopadzie 1987 r., w drodze konkursu, zostaje zastępcą dyrektora do spraw lecznictwa w Wojewódzkim Szpitalu Zespolonym im. Kopernika, a w 1990 — dyrektorem naczelnym tej placówki.

Ciągle zdobywa nowe kwalifikacje: bierze udział w licznych kursach z zakresu chirurgii ogólnej, transfuzjologii, hematologii, kończy kurs medycyny morskiej oraz — w maju 1991 r. — Studium Ekonomiki Zdrowia na Wydziale Nauk Ekonomicznych Uniwersytetu Warszawskiego. Jest współzałożycielem, a obecnie (już drugą kadencję) przewodniczącym Stowarzyszenia Menedżerów Opieki Zdrowotnej w Polsce. Z tego tytułu bierze udział w opracowywaniu ważnych aktów prawnych, m.in. projektu ustawy „O zakładach opieki zdrowotnej". Uczestniczy także w pracach sejmowej i senackiej Komisji Zdrowia.

Jako Wiceprezydent zajmować się będzie sprawami z zakresu ochrony zdrowia i opieki społecznej.

Jan Mędrzak — lat 40, absolwent Wydziału Prawa i Administracji Uniwersytetu Łódzkiego. Pracę zawodową rozpoczął w spółdzielczości mieszkaniowej, gdzie zajmował się problematyką organizacyjno-prawną i z zakresu eksploatacji zasobów mieszkaniowych.

W 1991 r. otrzymuje nominację na stanowisko dyrektora Wydziału Paszportów Urzędu Wojewódzkiego.

Od kwietnia 1994 r. pełni funkcję dyrektora Przedsiębiorstwa Zagranicznego „Lalmi", w którym odpowiada za finanse, kontrakty oraz restrukturyzację przedsiębiorstwa.

W marcu 1995 r. wygrywa konkurs na stanowisko dyrektora Wydziału Gospodarowania Majątkiem Urzędu Miasta Łodzi.

Znany ze swojej działalności społecznej — był m.in. członkiem założycielskim Klubu Inteligencji Katolickiej w Łodzi.

W Zarządzie Miasta odpowiedzialny za gospodarowanie majątkiem gminy oraz sprawy z zakresu inżynierii miejskiej.

Laureaci Nagrody Miasta Łodzi
1996

Rada Miejska w Łodzi, podczas XXXII Sesji w dniu 24 kwietnia 1996 roku, podjęłą uchwałę nr XXXII/350/96 w sprawie przyznania **Nagrody Miasta Łodzi**.

Za wybitne osiągnięcia w działalności zawodowej lub społecznej, a zwłaszcza w zakresie twórczości naukowej, nagrodzeni zostali:

Marian Kryszewski
Czesław Strumiłło
Ignacy Szor

Uroczystego wręczenia nagród laureatom dokonał Przewodniczący Rady Miejskiej Grzegorz Palka, z okazji rocznicy nadania praw miejskich Łodzi, w dniu 15 maja 1996 roku w Małej Sali Obrad Rady Miejskiej, w obecności radnych, licznie zgromadzonych przedstawicieli środowisk naukowych oraz działaczy samorządowych miasta.

Biogramy laureatów

Marian Kryszewski — prof. dr. hab., członek rzeczywisty PAN, wybitny polski fizyk. Twórca łódzkiej szkoły naukowej fizyki i fizykochemii polimerów w Centrum Badań Molekularnych i Makromolekularnych Polskiej Akademii Nauk oraz w Politechnice Łódzkiej. Wychowawca i promotor naukowców, którzy obecnie kontynuują jego twórcze dzieło. Cieszący się uznaniem międzynarodowym. Członek rad redakcyjnych czołowych czasopism światowych w zakresie fizykochemii i polimerów. Autor i współautor około czterystu oryginalnych prac naukowych, monografii i książek. Jego działalność na polu zastosowań praktycznych przyniosła dwadzieścia dwa patenty krajowe i zagraniczne. Laureat m.in. PAN-owskiej nagrody im. Marii Skłodowskiej-Curie, odznaczony medalami uczelni zagranicznych. Doktor honoris causa Politechniki Łódzkiej.

Czesław Strumiłło — prof. dr hab., członek korespondent PAN. Od 1947 roku związany z Politechniką Łódzką, gdzie realizuje powołanie naukowe od studenta do rektora tej uczelni. Kierownik Katedry Procesów Cieplnych i Dyfuzyjnych. Twórca zespołu naukowego podejmującego problematykę teorii i techniki suszenia, mającego czołową pozycję w kraju i cieszącego się uznaniem za granicą. Autor i współautor około dwustu publikacji naukowych, książek i skryptów, w tym pierwszej w języku polskim monografii z teorii i techniki suszenia. Wykładowca na wielu uczelniach zagranicznych. Członek rad redakcyjnych specjalistycznych czasopism naukowych, zarówno polskich, jak i zagranicznych. Wiceprzewodniczący Komitetu Badań Naukowych. Doktor honoris causa Uniwersytetu Strathclyde w Glasgow. Członek towarzystw naukowych polskich i zagranicznych. Zasłużony dla rozwoju współpracy pomiędzy uczelniami oraz władzami lokalnymi regionu Strathclyde w Szkocji i województwa łódzkiego.

Ignacy Szor — działacz społeczny w osiedlu Marysin-Rogi. Animator działań samorządowych mieszkańców w zakresie budowy instalacji wodnych, gazowych, kanalizacyjnych. Zasłużony dla integracji lokalnego środowiska. Pomimo podeszłego wieku aktywny społecznie.

Waldemar Bohdanowicz
Przewodniczący Komisji Nagród i Odznaczeń
Rady Miejskiej w Łodzi

Zasłużeni dla miasta
maj 1996

W dniu 24 kwietnia 1996 roku Rada Miejska w Łodzi, podczas XXXII Sesji podjęła uchwałę nr XXXII/351/96 w sprawie przyznania odznaki **Za zasługi dla Miasta Łodzi**.

Za działalność na rzecz miasta, godną szczególnego uznania, wyróżnieni zostali:

Włodzimierz Witold Konarski
Ryszard Maksymilian Polański
Piotr Czesław Pustelnik

Uroczysta dekoracja wyróżnionych osób odbyła się w dniu 15 maja 1996 roku w Małej Sali Obrad Rady Miejskiej, z okazji rocznicy nadania praw miejskich Łodzi. Odznaki wręczył Przewodniczący Rady Miejskiej Grzegorz Palka. W uroczystości uczestniczyli licznie zebrani przedstawiciele środowisk politycznych, kulturalnych, sportowych i gospodarczych miasta.

Biogramy laureatów

Włodzimierz Witold Konarski — poseł na Sejm RP, członek Sojuszu Lewicy Demokratycznej. Członek Zarządu Fundacji Współpracy Polsko-Niemieckiej. Dzięki jego kontaktom skierowane zostały środki finansowe Fundacji na kontynuowanie budowy i wyposażenia placówek lecznictwa w Łodzi, w tym Instytutu Stomatologii Akademii Medycznej.

Ryszard Maksymilian Polański — łodzianin, ekonomista. Prezes Zarządu Spółki Wólczanka SA, czołowego zakładu produkcyjnego Łodzi, uznawanego w kraju i zagranicą. Wspiera finansowo placówki kultury i sportu w naszym mieście.

Piotr Czesław Pustelnik — łodzianin, inżynier chemik. Pracownik naukowy Politechniki Łódzkiej. Czołowy alpinista polski i światowy. Zdobywca najwyższych szczytów górskich Ziemi. Pierwszy łodzianin, który zdobył Mount Everest. Jeden z nielicznych himalaistów, zdobywców wszystkich „ośmiotysięczników". Obdarzony niezwykłym talentem zdobywania szczytów w pierwszym podejściu. Człowiek niezwykłego hartu ducha i woli zwycięstwa w najtrudniejszych zmaganiach z przyrodą.

Komisja Nagród i Odznaczeń Rady Miejskiej w Łodzi **rozpatrzyła wnioski zgłoszone w terminie do dnia 29 lutego 1996 roku**, opierając się na obowiązującym regulaminie przyznawania odznaki **Za zasługi dla Miasta Łodzi**. Rozpatrzono dziewięć udokumentowanych wniosków indywidualnych. Trzy wnioski zaopiniowano negatywnie, sześć przedstawiono Radzie Miejskiej z opinią pozytywną.

Waldemar Bohdanowicz
Przewodniczący Komisji Nagród i Odznaczeń
Rady Miejskiej w Łodzi

Miłe i piękne są niezliczone poezje i pieśni wielbiące piękno lasu, ale zawsze piękniejszy jest sam las, którego wspaniałość i rozmaitość nieustannie nas pociąga, wciąż nowemi urokami zadziwia i o każdej porze dnia innemi wdziękami zachwyca...

Th. Felber *Natura i sztuka w lesie*

GRAŻYNA OJRZYŃSKA

Las Łagiewnicki

Las Łagiewnicki, położony w części północno-wschodniej Łodzi, liczy 1205 ha i należy do największych lasów miejskich w Europie. Jest ważnym elementem zurbanizowanego krajobrazu miasta, podstawowym ogniwem ekologicznego systemu terenów zieleni, łączącym zieleń świadomie kształtowaną przez człowieka z terenami otwartymi, półnaturalnymi.

Las jest pozostałością Puszczy Łódzkiej, o puszczańskich dziejach szumią 200-letnie dęby.

Mieszkańcom naszego miasta kojarzy się jednak przede wszystkim z różnymi formami krótkiego i dłuższego wypoczynku. Łodzianie wypoczywają, spacerują, zbierają grzyby, jeżdżą konno i na rowerach, ale czy znają prawdziwe wartości Lasu? Czy wiedzą jakie są przyczyny i cel jego ochrony?

fot. Piotr Zdrzynicki

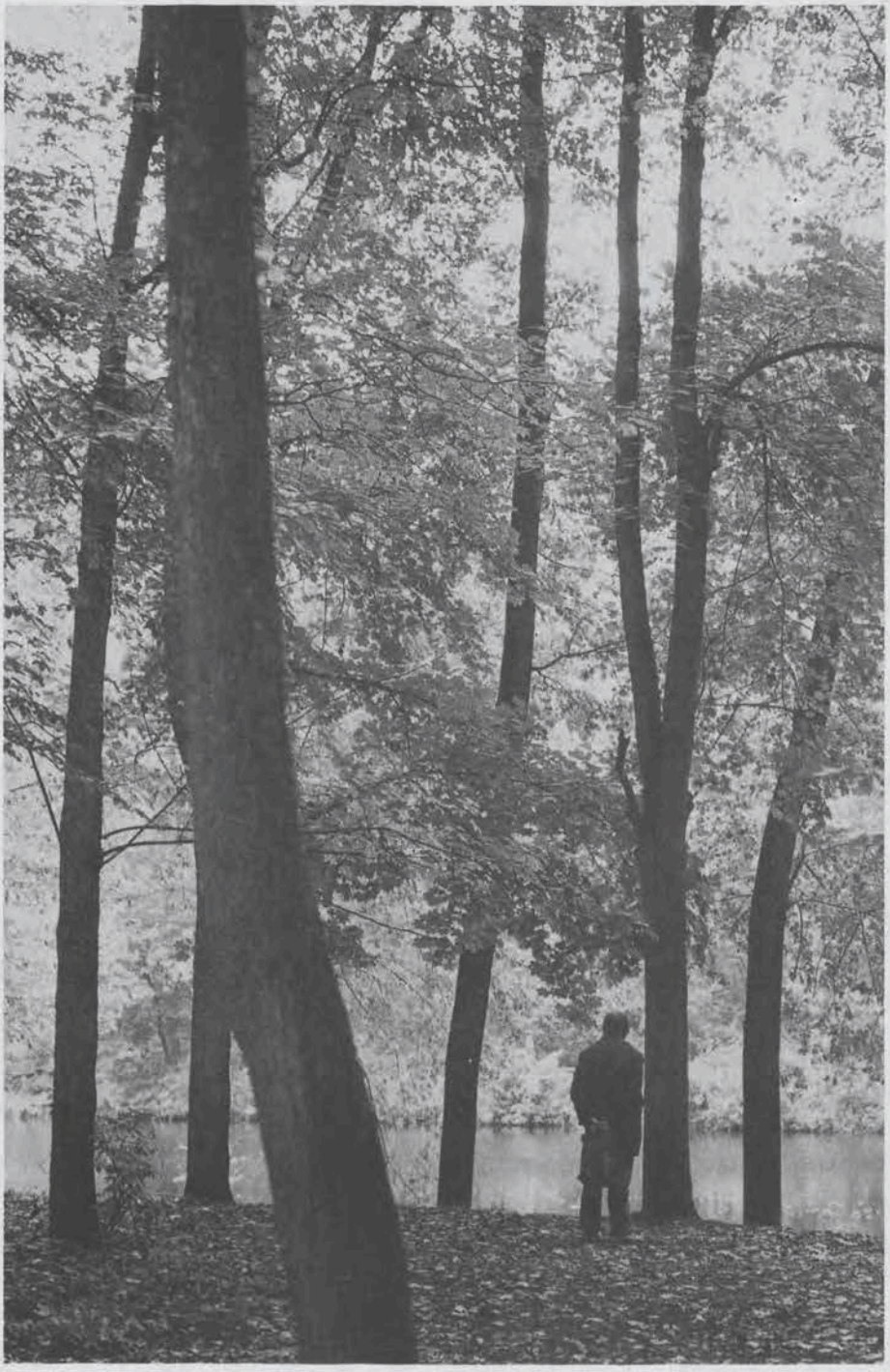

fot. Piotr Zdrzynicki

Historia Lasu

Osada śródleśna Łagiewniki odnotowana została w źródłach pisanych w XIV w. Nazwa jej prawdopodobnie wywodzi się od łagwi, tj. naczyń drewnianych do czerpania wody.

Pierwszym znanym właścicielem lasów był Jan Łagiewnicki (II poł. XVI w.), a kolejnym Jerzy Bełdowski. Od 1676 r. z historią Łagiewnik związał się zakon franciszkanów. Pierwszy drewniany kościółek, jaki zbudowali, został w 1682 r. przeniesiony w dolinę strumienia, jest to istniejąca tam do dzisiaj kapliczka Świętego Antoniego przy ul. Wycieczkowej. Druga kaplica oraz barokowy kościół i klasztor pochodzą z I połowy XVIII wieku.

Kompleks Lasu Łagiewnickiego do roku 1850 stanowił fragment majątku rodziny Zawiszów, obejmującego tereny położone na północ od rzeki Łódki między Aleksandrowem, Ozorkowem i Głownem. W roku 1850 Las został sprzedany kupcom drzewnym i na jego obrzeżu powstały: tartak oraz smolarnie i cegielnie. Zachodnia część kompleksu została całkowicie wylesiona, zręby wykarczowane. Grunty te nabył fabrykant Heintzel i powtórnie zalesił.

W latach 1923-27 zalesione tereny rozparcelowano na działki budowlane „Arturówek". Natomiast część wschodnia kompleksu była użytkowana gospodarczo bez zakładania zrębów zupełnych i w 1908 r. zakupił ją fabrykant Rychter. Po kilkunastu latach, w 1923 r., za pośrednictwem kupca Grossmana, Las został sprzedany ówczesnemu Zarządowi Miejskiemu w Łodzi. Zakupione tereny przeznaczone zostały pod budowę osiedla.

W 1932 r. w trakcie sprzedaży parcel budowlanych, na interwencję Wojewódzkiego Inspektoratu Ochrony Lasu Miasta Łodzi, dalsza parcelacja została wstrzymana.

W okresie powojennym cały kompleks Lasu Łagiewnickiego był stopniowo przekazywany przez Lasy Państwowe Zarządowi Miejskiemu m. Łodzi.

Zakończenie formalne przekazania Lasu nastąpiło w 1957 r. i od tego roku funkcje administratora przejął Zarząd Zieleni Miejskiej, przekształcony później w Łódzkie Przedsiębiorstwo Ogrodnicze.

W styczniu 1994 r. Rada Miejska w Łodzi podjęła uchwałę Nr LXIX/622/94 w sprawie utworzenia zakładu budżetowego pod nazwą „Leśnictwo Miejskie - Łódź".

Przyroda

Las Łagiewnicki leży w zasięgu zlodowacenia środkowopolskiego, w południowej części stadium Warty, w strefie wzgórz stadialnej moreny czołowej, odznaczającej się bogactwem form plastycznych krajobrazu. Urozmaicenie rzeźby geomorfologicznej i zróżnicowanie podłoża geologicznego rzutuje na roślinność Lasu.

fot. Piotr Zdrzynicki

Podstawowym zbiorowiskiem leśnym jest żyzny las dębowy zwany grądem. W drzewostanie, poza dębem szypułkowym i rzadziej bezszypułkowym oraz grabem zwyczajnym występują: klon zwyczajny, klon jawor i lipa drobnolistna. W warstwie podszycia czasem spotyka się chroniony krzew — wawrzynek wilcze łyko. Runo, które rozwija się najbujniej wiosną, tworzą: zawilec zwyczajny, macierzanka wonna, konwalia majowa, fiołki, dąbrówka. Grądy w zależności od żyzności i wilgotności siedliska są zróżnicowane na grądy wysokie, typowe i niskie. W fitocenozie grądu niskiego występują dwa gatunki storczyków: listera jajowate i kruszczyk szerokolistny oraz jedyne w Lesie obserwowane od 25 lat stanowisko pełnika europejskiego (teren projektowanego rezerwatu). Bezzieleniowy storczyk gnieźnik leśny spotykany jest w runie grądu typowego.

We wschodniej części Lasu Łagiewnickiego znaczne powierzchnie zajmują zbiorowiska o charakterze zbliżonym do subatlantyckich kwaśnych dąbrów. Podstawowym gatunkiem drzewostanu jest dąb szypułkowy, któremu towarzyszą dąb bezszypułkowy, świerk pospolity, brzoza brodawkowata, a sporadycznie topola osika i grab zwyczajny. W runie dominuje borówka czarna, poza nią spotyka się orlicę pospolitą, konwalię majową i trzcinnik leśny.

Niewielkie powierzchniowo szczyty i stoki żwirowych pagórków zajmują płaty świetlistej dąbrowy. W bujnym i barwnym runie występują tu gatunki **chronione** jak naparstnica zwyczajna i pierwiosnka lekarska, czy charakterystyczne dla ciepłolubnych dąbrów: groszek czerniejący, wyka kaszubska, koniczyna dwukłosowa, miodownik melisowaty, dzwonek brzoskwiniolistny, turzyca pagórkowata, dziurawiec skąpolistny, ciemiężnik białokwiatowy.

W dolinach strumieni występują fitocenozy łęgowe z drzewostanem olchowym uzupełnianym jesionem wyniosłym. Najniższe tereny, bezodpływowe niecki ze stagnującą wodą, zajmuje bagienny las olszowy zwany olsem. Dwa ostatnie zbiorowiska roślinne cechuje gęsty podszyt i bujne runo utrudniające użytkowanie rekreacyjne. Nieobecność ludzi sprzyja licznie występującej tu faunie.

Świat zwierzęcy Lasu Łagiewnickiego zbadany został tylko fragmentarycznie. Do lepiej poznanych grup zwierzęcych należą owady. W Lesie stwierdzono występowanie 500 gatunków, w tym 21 gatunków objętych ochroną gatunkową, m. in. paź królowej, mieniak stróżniak. Wśród gatunków chronionych aż 13 umieszczonych jest na czerwonej liście zwierząt ginących i zagrożonych. Z płazów zanotowano występowanie 10 gatunków, w tym dwa gatunki traszek, trzy gatunki ropuch. Z gadów występują tylko trzy gatunki jaszczurek: beznogi padalec, żyworódka i zwinka.

Na obszarze Lasu stwierdzono gniazdowanie 115 gatunków ptaków. Do najrzadszych w skali kraju należy zaliczyć krogulca, pszczołojada oraz dzięcioła średniego.

Ssaki reprezentowane są przez 29 gatunków, w tym 6 gatunków ssaków drapieżnych, m.in. kuna leśna i gronostaj. Ssaki z rzędu kopytnych to sarny i dziki.

Wielokrotnie obserwowane były pojedyncze łosie odpoczywające w Lesie w trakcie swoich wędrówek.

Najcenniejsze przyrodniczo fragmenty Lasu Łagiewnickiego, położone w jego zachodniej części, znalazły się w granicach projektowanego rezerwatu, którego powierzchnia wynosi 70 ha. Dokumentację projektową rezerwatu wykonali pracownicy Zakładu Geobotaniki i Ochrony Przyrody UŁ (Kurowski, Mamiński, Andrzejewski w 1988 r.). W międzyczasie Ministerstwo Ochrony Środowiska, Zasobów Naturalnych i Leśnictwa zażądało dwukrotnie aktualizacji dokumentacji. Zgodnie z informacjami Departamentu Ochrony Przyrody rezerwat ma zostać utworzony w najbliższym czasie.

Przyszłość Lasu

Wpływ człowieka na las zwłaszcza w ostatnim stuleciu, poprzez niewłaściwą gospodarkę leśną oraz intensywną i chaotyczną urbanizację terenów przyległych skutkuje degeneracją fitocenoz, zanikaniem rzadkich gatunków roślin i zwierząt. Coraz silniejsza presja na zabudowywanie gruntów położonych na obrzeżu Lasu wymusiła konieczność stworzenia planu ochrony. Rada Miejska w Łodzi Uchwałą Nr LXXVI/697/94 zatwierdziła miejscowy, ogólny plan zagospodarowania przestrzennego obszaru funkcjonalnego Lasu Łagiewnickiego. Plan ustalił główne cele polityki przestrzennej:

— ochrona istniejących walorów środowiska naturalnego przed degradacją,
— wstrzymanie form działań i użytkowania terenów powodujących ich degradację,
— stymulowanie form rehabilitujących tereny zagrożone degradacją,
— uporządkowanie i zharmonizowanie rozpoczętych procesów urbanizacyjnych.

Cele realizowane są w oparciu o plan strefowy, którego podstawę stanowi rozdzielenie strefy zainwestowanej miasta (zurbanizowanej) od strefy niezurbanizowanej, naturalnej. W obrębie strefy naturalnej wyodrębnione zostały tereny wymagające szczególnej ochrony, strefy zdegradowane lub zagrożone degradacją, wymagające działań rehabilitacyjnych oraz tereny możliwe do zabudowy po uprzednim wyposażeniu i przystosowaniu w sposób ustalony planem.

Działania samorządu Łodzi zamykają się w granicach administracyjnych miasta, podczas gdy problemy związane z ochroną Lasu dotyczą również terenów przyległych gmin. Stąd niezbędne dla realizacji warunków biologicznego przetrwania Lasu Łagiewnickiego oraz podniesienia walorów krajobrazu miasta i regionu jest skoordynowanie planów zagospodarowania sąsiednich gmin oraz powołanie przez władze województwa łódzkiego i skierniewickiego **Parku Krajobrazowego Wzniesień Łódzkich.**

Spis treści

Jerzy Kropiwnicki *Jaką miarą...* 4
Nie przeceniać sojuszy. Rozmowa z prof. Janem Karskim 13
Jan Karski *Fragmenty wykładu* 19
Marek Budziarek *Łódź wielowyznaniowa* 24
Andrzej Wojciechowski *Ewangelicy w Łodzi* 37
Mieczysław Gumola *Gimnazjum* 46
Dedecius w Łodzi 54
Tadeusz Nowakowski *Mosty z książek* 57
O mojej to Łodzi piosenka... 60
Aleksander Błoński 61
Dorota Koman 65
Wojciech Górecki *Strajki robotnicze w Łodzi w roku 1948* 68
Andrzej Majer *Łódź w nowym świecie* 84
Jacek Pająk *Skazani na obligacje* 93
Janusz Dunin *Łódzkie bibliotekoznawstwo* 98
Anna Sztaudynger-Kaliszewicz *Serce swobodne i młode. Wspomnienie o Amelii Bursównie* 105
Adam Nowaczyk *Wspomnienie o prof. Tadeuszu Pawłowskim* 113
Jan Skąpski *Teatr do wzięcia* 115
Maciej Wilmański *Muzeum wraca do życia* 126
Dominika Łarionow *Droga plam, kropek i kresek* 133
Joanna Podolska *Ryzykowny zawód. Oficyny wydawnicze w Łodzi* 138
Jan Krysiński *Politechnika Łódzka w latach 1990-96* 149
Porozumienie o współpracy 159
Zmiany we władzach samorządowych 162
Waldemar Bohdanowicz *Laureaci Nagrody Miasta Łodzi, 1996* 165
Zasłużeni dla miasta, maj 1996 167
Grażyna Ojrzyńska *Las Łagiewnicki* 169

WiMBP im. J. P. w Łodzi

10671 - A

-4.

ISSN - 1231-5354